

# Gordon R. Dickson

A black and white illustration for a book cover. In the foreground, a large dragon with a long, curled tail is shown in profile, facing right. A woman with long, flowing hair and a dress stands on its back, holding a long, thin staff or wand. In the background, a castle with a conical roof sits atop a rocky outcrop. A dragon is perched on the castle's edge. Below the castle, a knight in armor stands on a horse, holding a long spear. The scene is set against a light, hazy background.

## smok i Jerzy

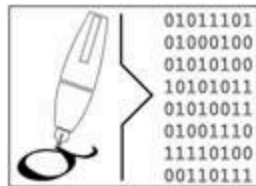
Fantasy



**Gordon R. Dickson**  
**Smok i Jerzy**

Pierwszy tom z cyklu „Smoczy rycerz”

PrzeL: Izabella i Andrzej Sluzkowie



Tytuł oryginału: *The Dragon and the George*

Data wydania polskiego: 1976 r. Data pierwszego wydania oryginalnego: 1991 r.

Rozdział 1

Punktualnie o 10.30 James Eckert zajechał przed Stoddard Hall na terenie college'u w Riveroak, gdzie mieściła się pracownia Grottwolda Weinerja Hansena. Lecz Angie Farrel oczywiście nie było przed budynkiem... jakżeby inaczej.

Był ciepły, słoneczny poranek wrześnieowy. Jim siedział w samochodzie i usiłował zachować spokój. Z pewnością nie ma w tym winy Angie. Grottwold, ten idiota, na pewno coś wymyślił, aby zatrzymać ją po godzinach. A przecież wiedział, że dzisiejsze przedpołudnie postanowili poświęcić na szukanie mieszkania. Trudno było nie złościć się na kogoś takiego jak Grottwold. Nie dość, że nie przynosił światu chwały swoją osobą, to jeszcze w sposób bardzo szczególny starał się odebrać Angie Jimowi i mieć ją tylko dla siebie.

Jedne z dwojga dużych drzwi prowadzących do Stoddard Hall otworzyły się i ukazała się w nich jakaś sylwetka. Nie była to jednak Angie, lecz krępy młody mężczyzna. Dostrzegł Jima siedzącego w samochodzie i podszedł szybko ku niemu.

–Czekasz na Angie? – zapytał.

–Zgadza się, Danny – powiedział Jim. – Miała tu się ze mną spotkać, ale oczywiście Grottwold nie chce jej puścić.

–To w jego stylu – przytaknął Danny.

Danny Cerdak był asystentem na wydziale fizyki i w całym college'u jedynym, poza Jimem, zawodnikiem pierwszoligowej drużyny siatkówki.

–Jedziecie obejrzeć przyczepę Cheryl? – zapytał.

–Jeśli tylko Angie wyrwie się w porę – powiedział Jim.

–Och, pewnie przyjdzie za chwilę. Słuchaj, czy nie chcielibyście wpaść do mnie jutro po meczu? Nic szczególnego, po prostu pizza i piwo. Będzie też paru chłopaków z drużyny, z żonami.

–To brzmi nieźle – rzekł Jim ponuro – chyba że Shorles wynajdzie jakąś dodatkową robotę. W każdym razie, dzięki; i na pewno przyjdziemy, jeśli nic nam nie przeszkodzi.

–Dobrze – Danny wyprostował się. – No to do zobaczenia jutro na meczu.

Odszedł, a Jim powrócił do swoich myśli. Nie wolno mu zapominać, że frustracja to też część życia. Musi przywyknąć do istnienia i egoistycznych kierow-

ników wydziałów, i zbyt niskich wynagrodzeń, i do polityki oszczędnościowej nękającej tak dalece Riveroak College, jak i wszystkie inne instytucje oświatowe, i że doktorat z historii średniowiecza może przydać się jedynie do przetarcia butów przed podjęciem pracy przy łopacie.

Dzięki Bogu miał Angie. Najwspanialsze w niej było to, że zawsze uzyskiwała od ludzi wszystko, czego chciała. Nie irytowała się przy tym nawet w takich sytuacjach, kiedy Jim przysięgłby, że tamci celowo szukają zaczepki. Nie był w stanie pojąć, jak jej się to udawało. Angie była naprawdę wyjątkowa – zwłaszcza jak na kogoś niewiele większego od okruszka. Ot, choćby sposób, w jaki radziła sobie z Grottwoldem, u którego pracowała jako asystentka. Spojrzał na zegarek i skrzywił się: prawie za kwadrans jedenasta. Tego było za wiele. Jeśli Grottwold nie miał dość rozumu, by puścić Angie, to do tej pory ona sama powinna się wyrwać. Postanowił pójść po nią w momencie, gdy Angie już zbiegała po schodach.

–No, jesteście nareszcie – mruknął.

–Przepraszam – Angie zajęła miejsce w samochodzie i zatrzasnęła drzwiczki. – Grottwold był cały podekscytowany. Sądzi, że znajduje się o krok od udowodnienia, że astralna projekcja jest możliwa...

–Jaka... jekcja? – zająknął się Jim.

–Astralna projekcja. Wyjście ducha poza ciało. Inaczej mówiąc możliwość...

–Ale chyba nie pozwalasz mu eksperymentować na sobie? Myślałem, że już raz to ustaliliśmy.

–Niepotrzebnie się złościysz – powiedziała Angie. – Tylko pomagam mu w przeprowadzaniu eksperymentów. Nie martw się, on nie zamierza mnie zahipnotyzować ani nic z tych rzeczy.

–Już raz próbował – Jim nie dał za wygraną.

–On tylko próbował, ale udało się to tobie. Pamiętasz?

–W każdym razie nie wolno ci pozwolić dać się znów zahipnotyzować ani mnie, ani Hansenowi, ani nikomu innemu.

–Dobrze, kochanie – głos Angie zabrzmiał miękko.

Oto cała ona, znowu to zrobiła – dokładnie to samo, o czym dopiero co myślał – powiedział sobie w duchu Jim.

Tym razem poradziła sobie z nim samym. Nieoczekiwanie sprzeczką ucichła, a on zastanawiał się, co właściwie go tak zirytowało.

–W każdym razie – rzekł jadąc autostradą w kierunku placu przyczep, o którym mówił mu Danny Cerdak -jeśli ta przyczepa do wynajęcia okaże się tania, będziemy wreszcie mogli pobrać się. Może uda nam się przeżyć na tyle skromnie, że nie będziesz już musiała jednocześnie pracować dla Grottwolda i trzymać się kurczowo tej asystentury na anglistyce.

–Jim – powiedziała Angie. – Musimy mieć jakiś dom, ale nie oszukujmy się co do wydatków.

–Moglibyśmy rozbić namiot w jakimś nowym miejscu, przynajmniej na kilka pierwszych miesięcy.

–Jak to sobie wyobrażasz? Żeby gotować i jeść, musimy mieć naczynia i stół. I drugi stół, żeby każde z nas miało gdzie poprawiać testy i w ogóle pracować. No i krzesła. Potrzebny jest nam przynajmniej materac do spania i jakaś szafka na ubrania, których nie da się powiesić...

–Więc dobrze, znajdę sobie dodatkową pracę.

–Nic z tego. Będziesz dalej posyłał artykuły do pism naukowych, aż coś ci w końcu wydrukują. I wtedy niech tylko Shorles spróbuje nie zrobić cię wykładowcą. Przez chwilę w samochodzie panowała zupełna cisza.

–Jesteśmy na miejscu – rzekł Jim, ruchem głowy wskazując na prawo.

## Rozdział 2

Plac przyczep w Bellevue nigdy nie wyglądał zbyt atrakcyjnie. Żaden z jego właścicieli w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie uczynił nic, co poprawiłoby ten stan rzeczy. Obecny gospodarz też sprawiał wrażenie, jakby na niczym mu nie zależało.

–No więc – powiedział, wskazując dokoła – tak to wygląda. Zostawiam was teraz, żebyście mogli wszystko dokładnie obejrzeć. Jak skończycie, przyjdźcie do biura.

Jim spojrział na Angie, lecz ona już dotykała spękanej powierzchni drzwiczek przy szafce nad zlewem.

–Raczej kiepsko – zauważył Jim.

Najwyraźniej dom na kółkach dożywał swych ostatnich dni. Podłoga ugięła się, zlew był poplamiony i chropowaty, zakurzone szyby chwiały się we framugach, a ściany były zbyt cienkie, by chronić przed zimnem.

–Zimą będzie to przypominało biwakowanie na śniegu – stwierdził Jim.

Pomyślał o mroźnym styczniu w stanie Minnesota, o dwudziestu trzech milach dzielących ich od Riveroak College, o zdartych oponach Gruchota, o jego zużyтым silniku... Pomyślał o semestrach letnich i o lipcowej spiekocie, gdy tymczasem oni będą tu przesiadywać z nie kończącymi się testami do sprawdzenia. Ale Angie nie odzywała się.

Ponury wygląd przyczepy wywołał w nim przyływ poczucia beznadziejności. Przez chwilę odczuwał gorące pragnienie przeniesienia się w czasy średniowiecznej Europy którymi zajmował się w swych studiach mediewistycznych! Zatęsknił do epoki, w której kłopoty przybierały postać przeciwnika z krwi i kości; do czasów, kiedy spotkawszy takiego Shorlesa można było rozprawić się z nim mieczem, zamiast wdawać się w dyskusje. Nie wierzył, że znaleźli się z Angie w takim położeniu jedynie z powodu kryzysu i że profesor Thibault Shorles – kierownik wydziału historii – nie chciał dać mu stanowiska wykładowcy tylko dlatego, by nie naruszyć istniejącej równowagi sił wewnątrz swego wydziału.

–Chodźmy stąd, Angie – powiedział Jim. – Znajdziemy coś lepszego. Powoli odwróciła się.

–Powiedziałeś, że w tym tygodniu zostawisz to mnie.

–Wiem...

–Przez dwa miesiące szukaliśmy w pobliżu college'u, tak jak tego chciałeś. Od jutra zaczynają się zebrania pracowników przed semestrem jesiennym. Dłużej nie możemy zwlekać.

–Moglibyśmy jeszcze szukać po nocach.

–Już nie. I nie zamierzam więcej wracać do akademika. Musimy mieć własny dom.

–Ależ... rozejrzyj się tylko dookoła, Angie! – wykrzyknął Jim. – A w dodatku do college'u mamy stąd dwadzieścia trzy mile. Gruchot może już jutro nawalić.

–To go naprawimy, tak samo jak wyremontujemy to pomieszczenie. Wiesz, że potrafimy to zrobić, jeśli zechcemy.

Skapitulował. Skierowali się do biura placu przyczep.

–Weźmiemy tę przyczepę – powiedziała Angie do zarządcy.

–Tak myślałem, że się wam spodoba – odpowiedział sięgając po papiery. – Nawiasem mówiąc, skąd się o tym dowiedzieliście? Jeszcze nie dawałem ogłoszenia.

–Poprzednio mieszkała tu bratowa jednego z moich kolegów siatkarzy – odpowiedział Jim. – Kiedy przeniosła się do Missouri, powiedział nam, że jej przyczepa stoi wolna.

Kierownik przytaknął.

–No cóż, możecie uważać się za szczęściarzy. – Podsunął im papiery. – Mówiliście, zdaje się, że oboje uczycie w college'u?

–Istotnie – powiedziała Angie.

–Wobec tego proszę wypełnić te kilka rubryczek i podpisać się. Małżeństwo?

–Już wkrótce – powiedział Jim. – Pobierzemy się, zanim się tutaj wprowadzimy.

–No cóż, jeśli jeszcze nie jesteście małżeństwem, to albo musicie podpisać się oboje, albo jedno z was musi figurować jako sublokator. Łatwiej będzie, jeśli oboje się podpiszecie. Wpłacacie czynsz za dwa miesiące z góry. Razem dwieście osiemdziesiąt dolarów.

Angie i Jim w tym samym momencie podnieśli wzrok znad papierów.

–Dwieście osiemdziesiąt? – zdziwiła się Angie. – Bratowa Danny'ego Cerdaka płaciła miesięcznie sto dziesięć.

–Zgadza się. Musiałem podwyższyć.

–0 trzydzieści dolarów na miesiąc? Za co? – indagował Jim.

–Jak wam się nie podoba – powiedział mężczyzna prostując się – to nie musicie wynajmować.

–Oczywiście – mówiła Angie – rozumiemy, że musiał pan trochę podwyższyć czynsz, skoro wszędzie ceny idą w górę. Ale nie stać nas na płacenie stu

czterdziestu dolarów miesięcznie.

–To źle. Przykro mi, ale tyle to teraz kosztuje. Rozumiecie, nie jestem właścicielem. Ja tylko wykonuję polecenia.

A więc po wszystkim. Znowu znaleźli się w Gruchocie. Wracali tą samą drogą do college'u.

–Mimo wszystko nie jest aż tak źle – odezwała się Angie, gdy Jim zajechał na parking przed akademikiem. – Znajdziemy coś innego.

–Uhu – przytaknął Jim.

–Pod pewnym względem była to nasza wina – tłumaczyła Angie. – Za bardzo liczyliśmy na ten dom na kółkach dlatego tylko, że pierwsi dowiedzieliśmy się o nim. Od dzisiaj nie będę pewna żadnego miejsca, zanim się tam nie wprowadzimy.

Po obiedzie zostało im mało czasu, więc Jim odwiózł Angie do Stoddard Hall.

–Skończysz o trzeciej? – spytał. – Nie pozwolisz, by trzymał cię po godzinach?

–Nie pozwolę – odpowiedziała zatraskując drzwiczki i zwracając się do Jima przez otwarte okno. Jej głos nabrał miękkości. – Nie dziś. Kiedy przyjedziesz, będę już czekała przed budynkiem.

–Dobrze – odparł, patrzył, jak wchodzi po schodach i znika za jednymi z dużych drzwi.

Nie mówił nic Angie, lecz podczas obiadu skryształizowała się w nim pewna decyzja. Otóż zażąda od Shorlesa, by ten bezzwłocznie mianował go wykładowcą.

–Cześć, Marge – powiedział Jim wchodząc do sekretariatu wydziału historii. – Czy zastałem go?

Mówiąc to zerknął w stronę drzwi wiodących do prywatnego gabinetu Shorlesa.

–Nie w tej chwili – odrzekła Marge. – Jest u niego Jellamine. To nie potrwa długo. Chcesz czekać?

–Tak.

Minuta wlokła się za minutą. Upłynęło pół godziny i jeszcze kwadrans na dokładkę. Gdy tylko drzwi otworzyły się, Jim automatycznie poderwał się z krzesła. To był Shorles i Ted Jellamine. Teraz dopiero Shorles zauważył Jima i skinął mu radośnie.

–Znakomite nowiny, Jim! – wykrzyknął. – Ted zostaje wykładowcą na następny rok!

Wyszli, a Jim wpatrywał się w drzwi osłupiały. To oznaczało koniec nadziei. Nie ma wolnego etatu wykładowcy!

–Mówił bez zastanowienia. Dlatego w taki sposób zakomunikował ci tę złą nowinę – powiedziała Marge współczująco.

–Zrobił to celowo i ty dobrze o tym wiesz!



–Nie – Marge pokręciła głową. – Mylisz się. Obaj przyjaźnią się od lat, a na Teda wywierano naciski, by odszedł na wcześniejszą emeryturę. My jesteśmy prywatną uczelnią, bez możliwości automatycznego podwyższania emerytur w miarę wzrostu cen, a przy obecnej inflacji Tedowi zależy na utrzymaniu tej posady tak długo, jak tylko zdoła. Gdy okazało się, że Ted może zostać, Shorles naprawdę się ucieszył. Po prostu nie myślał, co to oznacza dla ciebie.

–Hm! – wykrztusił Jim i wyszedł na sztywnych nogach.

Uspokoił się dopiero, gdy doszedł do parkingu. Wsiadł do Gruchota, zatrzaskał za sobą drzwi i odjechał nie dbając dokąd, byle daleko od college'u. Stopniowo spokój mijanych nadrzecznych okolic zaczął przywracać mu panowanie nad sobą. Spojrzał na zegarek: za piętnaście trzecia. Czas wracać po Angie. Odszukał skrzyżowanie, zawrócił Gruchota i ruszył z powrotem w stronę college'u. Całe szczęście, że poprzednio jechał powoli i nie oddalił się zbyt od miasta.

Zajechał przed Stoddard Hall kilka minut przed czasem. Wyłączył silnik i czekał, zastanawiając się, jak najlepiej powiedzieć Angie o swoim ostatnim niepowodzeniu.

Zerknął na zegarek i ze zdumieniem uświadomił sobie, że upłynęło już prawie dziesięć minut. Angie nie było...

Coś w Jimie pękło. Nagle poczuł narastającą, beznamiętną, zimną wściekłość. O jeden raz za wiele Grottwold nadużył swej taktyki opóźniania. Wysiadł z samochodu, zamknął drzwi i ruszył w kierunku Stoddard Hall. Bez pukania wpadł do pracowni.

Grottwold stał przed czymś, co wyglądało jak pulpity sterownicze. Gdy zobaczył Jima, zaczął się trwożnie rozglądać dookoła. Angie siedziała w fotelu, lecz jej głowa i górna część twarzy były czymś szczelnie osłonięte. Przypominało to suszarkę do włosów w salonie fryzjerskim.

–Angie! – syknął Jim.

I wtedy zniknęła...

Jim stał wpatrując się w pusty fotel. Ona nie mogła zniknąć. Nie mogła tak po prostu rozplątać się. To, co się przed chwilą zdarzyło, było niemożliwe. Czekał, aż znów zobaczy Angie siedzącą tuż przed nim.

–Aportacja!!!

Zduszony okrzyk Grottwolda wytrącił Jima ze stanu odrętwienia. Odwrócił się, by spojrzeć na wysokiego kudłatego psychologa, który z pobladłą twarzą także wpatrywał się w pusty fotel.

–Co to ma znaczyć? Co się stało? – wrzasnął Jim. – Gdzie jest Angie?

–Dokonała aportacji – wyjąkał Grottwold, ciągle wpatrując się w miejsce, gdzie przed chwilą znajdowała się Angie. – Ona naprawdę dokonała aportacji! Ja tymczasem chciałem tylko osiągnąć astralną projekcję.

–Co takiego! – warknął Jim, zwracając się groźnie ku niemu. – Co chciałeś osiągnąć?

–Astralną projekcję! Tylko astralną projekcję, nic więcej! – wyjąkał Grot-twold. – Tak, by jej astralne ja mogło wyjść poza ciało. Lecz zamiast tego ona dokonała...

–Gdzie ona jest? – ryknął Jim.

–Nie wiem! Nie wiem, przysięgam, że nie wiem! – głos Grottwolda wzniósł się na górne rejestry. – Nie umiem w żaden sposób ustalić.

–Lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś wiedział!

–Nie wiem! Wiem, jakie parametry wskazują przyrządy, ale...

Jim schwycił wyższego od siebie mężczyznę za kłapy, uniósł w górę i cisnął nim o ścianę.

–SPROWADŹ JĄ Z POWROTEM!

–Mówię ci, że nie potrafię! – wrzeszczał Grottwold. – Ona nie miała tego zrobić; nie byłem na to przygotowany! Żeby sprowadzić ją z powrotem, musiałbym najpierw spędzić całe dni lub nawet tygodnie na rozpracowaniu tego, co się stało. A nawet gdybym to zrobił, mogłoby się okazać, że jest już za późno, bo do tego czasu ona dawno może opuścić miejsce, w którym znalazła się wskutek aportacji!

Jimowi szumiało w głowie. Było nie do wiary, że stał tutaj, słuchając tych bredni i wciskając Grottwolda w ścianę, ale i tak bardziej prawdopodobne niż fakt, że Angie naprawdę zniknęła. Nawet teraz nie mógł do końca uwierzyć w to, co się zdarzyło.

Ale przecież widział, jak zniknęła. Mocniej zacisnął dłonie na klapach Grot-twolda.

–Dobrze więc, ty ośle! – odezwał się. – Albo sprowadzisz ją tu zaraz, albo rozerwę cię na strzępy.

–Mówię ci, że nie potrafię! Przestań...! – Grottwold krzyknął, gdy Jim chciał go znowu uderzyć. – Zaczekaj! Mam pomysł.

Jim zawahał się, lecz nie zwolnił uścisku.

–Mów – rzucił rozkazującym tonem.

–Jest jedna szansa, bardzo nikła – paplał szybko Grottwold. – Będziesz musiał mi pomóc. Ale to może się udać. Tak, naprawdę to może się udać.

–Zgoda – wycedził Jim. – Mów szybko. O co chodzi?

–Mogę cię posłać w ślad za nią... – Grottwold urwał prawie z okrzykiem przerażenia. – Zaczekaj! Ja nie żartuję. Mówię ci, że to może się udać.

–Próbujesz również i mnie się pozbyć – warknął Jim. – Chcesz pozbyć się jedyne go świadka, którego zeznania mogłyby cię obciążyć.

–Nie, nie! – zaprzeczał Grottwold. – To się na pewno uda. Im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany. A jeśli tak, to stanę się sławny.

Częściowo otrząsnął się już z paniki.

–Puść mnie – powiedział. – Muszę się dostać do przyrządów, w przeciwnym razie nic dobrego nie wyniknie ani dla Angie, ani dla nas. A w ogóle to za

kogo ty mnie masz?

–Za mordercę! – ponuro stwierdził Jim.

–Niech i tak będzie. Myśl sobie, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Ale znasz moje uczucie do Angie. Ja także nie chcę, by spotkała ją krzywda. Tak samo jak ty chcę ją tu bezpiecznie sprowadzić!

Grottwold odwrócił się do pulpitu sterowniczego, mrużąc pod nosem:

–Tak, tak właśnie myślałem... Tak... tak, inaczej być nie mogło.

–O czym ty mówisz? – ostro spytał Jim. Hansen spojrział na niego przez ramię.

–Nie możemy jej sprowadzić z powrotem, zanim nie dowiemy się, dokąd się przeniosła – odpowiedział. – A wiem tylko tyle, że gdy poprosiłem, by skoncentrowała się na czymś, co lubi, odparła, że skoncentruje się na smokach.

–Jakich smokach? Gdzie?

–Przecież mówiłem, że nie wiem. To mogły być smoki w muzeum lub w jakimkolwiek innym miejscu! Dlatego musimy ją zlokalizować. Musisz mi pomóc, inaczej nic z tego nie będzie.

–Dobrze, mów mi tylko, co mam robić – powiedział Jim.

–Po prostu usiądź w tamtym fotelu... – Grottwold urwał, gdyż Jim groźnie uczynił krok w jego stronę.

–Dobrze więc, nie rób tego! Zmarnuj naszą ostatnią szansę!

Jim zawahał się.

–Lepiej, żebyś się nie mylił – rzekł. Podszedł do fotela i ostrożnie w nim usiadł.

–A w ogóle, to co zamierzasz zrobić? – ; spytał.

–Nic, czego mógłbyś się obawiać – odrzekł Grottwold. – Nastawy sterownika pozostawię te same co przy aportacji, ale zmniejszę napięcie. Wtedy nastąpi projekcja, nie zaś aportacja.

–To znaczy, że...

–To znaczy, że wcale nie znikniesz. Pozostaniesz dokładnie w tym samym fotelu, w którym teraz siedzisz. Natomiast twoje astralne ja podąży na spotkanie z Angie. I tak to powinno przebiegać w jej przypadku. Może za bardzo się skoncentrowała?...

–Nawet nie próbuj jej winić!

–Nie próbuję. Ja tylko... W każdym razie nie zapominaj, że i ty musisz się skoncentrować. Angie miała w tym doświadczenie, ty żadnego. Będziesz więc musiał zrobić pewien wysiłek. Myśl o Angie. Skoncentruj się na niej, w jakimś miejscu pełnym smoków.

–Dobrze – burknął Jim. – A co potem?

–Jeśli zrobisz to przyzwoicie, ty wylądujesz tam, gdzie i ona. Oczywiście, tak naprawdę to ciebie tam nie będzie! To kwestia subiektywna. Ale będziesz

miał wrażenie, że tam jesteś; a ponieważ Angie zniknęła przy tych samych parametrach, powinna spostrzec obecność twojej astralnej postaci, nawet gdyby nie widziała tam nikogo innego.

–Już dobrze, wiem! – zniecierpliwiał się Jim. – Ale jak mam ją sprowadzić z powrotem?

–Pamiętasz, jak uczyłem cię hipnozy...?

–Pamiętam znakomicie!

–No, to postaraj się znów ją zahipnotyzować. Musi być całkiem nieświadoma miejsca, w którym się znajduje, zanim dokona się odwrotny proces aportacji. Każ jej skoncentrować się na tym laboratorium, a kiedy już zniknie, będziesz wiedział, że wróciła tutaj.

–A co ze mną? – spytał Jim.

–Och, dla ciebie to drobnostka – odrzekł Grottwold. – Po prostu zamykasz oczy i siłą woli znowu przenosisz się tutaj. Skoro twoje ciało w ogóle nie opuści tego mieszkania, to kiedy zapragniesz wrócić, nastąpi to automatycznie.

–Jesteś pewien?

–Oczywiście. Ale teraz zamknij oczy... Musisz nasunąć osłonę na głowę... Grottwold odszedł od pulpitu i sam naciągnął mu hełm. Nagle Jim znalazł się w półmroku pachnącym lakierem do włosów, którego używała Angie.

–Teraz pamiętaj – głos Grottwolda docierał do niego z oddali – skoncentruj się. Angie – smoki. Smoki – Angie. Zamknij oczy i myśl tylko o tym. Jim zamknął oczy i myślał.

Miał wrażenie, że nic się nie dzieje. Z zewnątrz nie dochodził go żaden odgłos, a to, co miał na głowie, nie pozwalało widzieć nic prócz ciemności. Zapach lakieru Angie stawał się przytłaczający. Skoncentruj się na Angie, powtarzał sobie. Skoncentruj się na Angie... i na smokach...

Nic się nie działo. Kręciło mu się w głowie. Miał wrażenie siedząc tak z zamkniętymi oczami pod suszarką do włosów, że jest ogromny i zwałisty. W uszach waliło mu jak młotem. Powolne, ciężkie tłuczenie. Miał uczucie, jakby ześlizgiwał się w nicość, jednocześnie rozrastając się, aż do chwili, gdy rozmiarami dorównywał olbrzymowi.

Zakipiało w nim od jakiejś dzikiej wściekłości. Przez chwilę zapragnął podnieść się i kogoś lub coś rozedrzeć na strzępy. Najchętniej Grottwolda. Jakiej doznałby ulgi, gdyby tak pochwycił tego osła i rozerwał na sztuki. Jakiś potężny głos zabrzmiał tuż obok, wołał go. Lecz on nie zwracał na to żadnej uwagi, pochłonięty własnymi myślami. Żeby tylko mógł zatopić pazury w tym Jerzym...

Pazury? Jerzy?

O czymże myślał? Te bzdury nie miały najmniejszego sensu.

Otworzył oczy.

Rozdział 3

Hełm zniknął. Zamiast ciemności przesyconej wonią lakieru do włosów widział skalne ściany i kamienny strop wznoszący się wysoko nad głową. Pochodnia

zamocowana na ścianie rzucała czerwone, migotliwe światło.

–Do licha, Gorbash! – zagrzemiał głos, którego nie dało się dłużej ignorować. – Obudź się! Ruszajmy już, musimy dostać się do głównej jaskini. Właśnie złapali jednego!

–Kogo? – wyjąkał Jim.

–Jerzego! Jakiegoś Jerzego, a kogóż by innego! ZBUDŹ SIĘ, GORBASH!

Na tle sufitu Jim zobaczył potężną głowę; szczęki, wielkie jak u krokodyla, uzbrojone były w ogromne kły.

–Nie śpię. Ja tylko... – nagle, pomimo oszołomienia, uświadomił sobie sens tego, co widzi, i mimo woli krzyknął.

–Smok!

–A niby kim ma być twój stryjeczny dziadek ze strony matki, jaszczurką morską? A może znów przyśnił ci się jakiś koszmar? Obudź się. Mówi do ciebie Smrgol, chłopcze, Smrgol! Rusz się, rozprostuj skrzydła. Czekają na nas w głównej jaskini. Nie co dzień chwytny Jerzego. No, pospiesz się wreszcie.

Uzębiona paszcza błyskawicznie oddaliła się. Mrugając z niedowierzaniem, Jim przeniósł wzrok na ogromny ogon, najeżony od góry rzędem ostrych, kostnych tarcz. Im bliżej Jima, tym ogon powiększał się... To był jego ogon.

Wyciągnął ramiona. Były olbrzymie. Co więcej, gęsto pokrywały je kostne płytki, takie same jak na ogonie, tylko znacznie mniejsze... a pazurom niechybnie przydałby się manicure. Jim zdał też sobie sprawę, że zamiast nosa ma długi pysk. Oblizał suche wargi i wtedy, w oparach dymu, zobaczył czerwony, rozwidlony język.

–Gorbash! – raz jeszcze zadudnił ten sam głos. Jim obejrzał się i ujrzał wle piony w siebie, pełen złości, wzrok drugiego smoka, stojącego już w kamiennych wrotach jaskini.

–Dłużej na ciebie nie będę czekał. Możesz iść albo nie, rób, co chcesz.

Zniknął, a Jim z zakłopotaniem potrząsnął głową. Co tu się dzieje? Wedle słów Grottwolda nikt nie mógł go widzieć, z wyjątkiem...

**Smoki?... Smoki, które mówią???**

**Nie mówiąc już o tym, że on, Jim Eckert, sam był smokiem...**

**To było coś całkiem niedorzecznego. On – smokiem? Jak to możliwe, że stał się smokiem? I dlaczego akurat smokiem, nawet jeśli istniały takie stwory? To na pewno jakieś halucynacje.**

**Ależ oczywiście! Przecież Grottwold mówił, że wszystkie jego doznania będą wyłącznie subiektywnej natury. A więc to, co widział i słyszał jak na jawie, nie mogło być niczym innym niż koszmarnym urojeniem. Uszczypnął się... i aż podskoczył. Zapomniał bowiem, że jego „palce” zakończone są pazurami, długimi i ostrymi. Jeśli rzeczywiście śnił, to elementy tego snu były diabelnie realne!**

**No cóż, w końcu nieważne: sen czy jawa – ważne, by znaleźć Angie i wydostać się z nią z powrotem do normalnego świata. Ale gdzie miał jej szukać. Najlepiej kogoś o nią zapytać. A może tego, którego „widział” pod postacią smoka i który usiłował go zbudzić. Co on takiego mówił? Coś o schwytaniu jakiegoś Jerzego...**

**A może był to Jerzy przez duże J? Skoro niektórzy ludzie pojawiali się tutaj jako smoki, to inni pewnie przybierali postać św. Jerzego, smokobójcy. Ale dlaczego tamten użył określenia „jeden z nich”? Może tym imieniem smoki nazywały wszystkich ludzi bez wyjątku, co oznaczałoby, że tak naprawdę schwytaly...**

**–Angie! – Jim dopiero teraz połapał się w sytuacji. Przetoczył się na cztery łapy i ciężko poczłapał w stronę otworu. Dalej był długi, oświetlony pochodniami korytarz, którym szybko posuwał się jakiś smoczy kształt. Jim ruszył za nim, zgadując, że to stryjeczny dziadek ciała, w które wniknął.**

**–Zaczekaj na mnie, ee... Smrgolu! – zawołał. Ale tamten skręcił za róg. Jim rzucił się za nim. Pędząc zauważył, że sklepienie korytarza było niskie. Zbyt niskie dla jego skrzydeł, które odruchowo usiłował rozwinąć przy nabieraniu prędkości.**

**Przez duży otwór dostał się do ogromnej, sklepionej sali, ponad miarę przepełnionej smokami, szarymi i zwalistymi w świetle ściennych kaganków. Nie patrząc, dokąd pędzi, Jim zderzył się nagle z jakimś smokiem.**

**–Gorbash! – zagrzmiał znajomy już głos, a Jim rozpoznał stryjecznego dziadka. – Do kroćset, chłopcze! Trochę więcej szacunku!**

**–Przepraszam – zadudnił Jim. Wciąż jeszcze nie przywykł do swego smoczego głosu i okrzyk zabrzmiał jak wystrzał armatni.**

**Smrgol najwyraźniej nie czuł się dotknięty.**

**–Już dobrze, dobrze. Nic się nie stało – zagrzmiał w odpowiedzi. – Siadaj tu, młodzieńcze. Właśnie zaczyna się dyskusja na temat Jerzego.**

**Jim wsunął się pomiędzy smoki i zaczął zastanawiać się nad sensem tego, czego był świadkiem. Najwidoczniej w tym świecie smoki porozumiewały się między sobą współczesną angielszczyzną... ale czy na pewno? A może to on**

mówił po „smoczemu”? Postanowił zająć się tym problemem w dogodniejszej chwili.

Rozejrzał się dokoła. Na pierwszy rzut oka ogromna, wyrzeźbiona jaskinia aż roiała się od tysięcy smoków. Jednak, po dokładniejszym przyjrzeniu się, tysiące zmieniły się w setki, te zaś ustąpiły miejsca znacznie wiarygodniejszej liczbie około pięćdziesięciu smoków, wszelkich rozmiarów. Jim z zadowoleniem stwierdził, że nie należał do najmniejszych. Co więcej, żaden smok w pobliżu nie mógł się z nim równać. Po drugiej stronie sali znajdował się jednak pewien potwór. To był jeden z tych, co najgłośniej krzyczeli, pokazując od czasu do czasu na pudło (lub raczej coś na kształt pudła) rozmiarów smoka. Leżało ono na kamiennej posadzce obok potwora, przykryte bogato tkanym gobelinem, którego kunsztowna robota dalece przekraczała możliwości smoczych pazurów.

A co do samej dyskusji – to znacznie lepiej pasowałoby do niej określenie „burda”. Wszystkie smoki mówiły jednocześnie, a siła ich głosów była tak duża, że skalne ściany i sklepienie zdawały się drżeć. Smrgol nie tracił czasu i też włączył się do ogólnego zamętu.

–Zamilcz, Bryagh! – huknął na olbrzymiego smoka stojącego obok pudła zakrytego gobelinem. – Niech nareszcie zabierze głos ktoś, kto lepiej się zna na Jerzych i na całym naziemnym świecie niż wy wszyscy razem wzięci. Uśmierciłem olbrzyma w Zamku Gormely, gdy ani jeden z was nie wyklął się jeszcze z jaja.

–Czy znów musimy słuchać o walce z tym olbrzymem? – ryknął ogromny Bryagh. – Mamy ważniejsze sprawy do omówienia!

–Słuchaj, ty gąsienico! – zagrzmiał Smrgol. – Żeby pokonać olbrzyma, trzeba było mieć rozum – a więc coś, czego ty nie posiadasz. Cała moja rodzina ma tęgie głowy. Gdyby dzisiaj pojawił się podobny wielkolud, to przez najbliższe osiemdziesiąt lat na powierzchni widziano by tylko dwa smoki: mnie i tego tu Gorbasha!

Inne smoki, jeden po drugim, cichły i zajmowały z powrotem swe miejsca, aż w końcu jedynymi, którzy wrzeszczeli, był jego stryjeczny dziadek i Bryagh.

–Wobec tego, co proponujesz zrobić z tym Jerzym? – zażądał odpowiedzi Bryagh. – Schwyciłem go tuż nad wejściem do głównej jaskini. To szpieg, ot co!

–Szpieg? Skąd ta pewność? Nie spotkałem jak dotąd Jerzego, który szpiegowałby smoki. Przybywają tu po to, by walczyć. Dzięki temu stoczyłem w życiu sporo walk – tu Smrgol wypiął dumnie pierś.

–Walczyć! – szydził Bryagh. – Czy w dzisiejszych czasach słyszał ktoś o Jerzym, który ruszyłby do walki bez swej łuski? Od czasów, gdy napotkaliśmy pierwszego Jerzego, wiadomo, że zawsze, kiedy szukają zwady, mają na sobie łuski. A ten był praktycznie wyluskany!

Smrgol mrugnął porozumiewawczo do znajdujących się obok smoków.

–Czy aby na pewno sam go nie wyluskałeś? – zagrzmiał.

–A czy on na to wygląda? Popatrz!

I jednym ruchem Bryagh zdarł gobelin, odsłaniając żelazną klatkę. W klatce, za grubymi prętami, żałośnie skulona siedziała...

–ANGIE!!! – wykrzyknął Jim.

Zapomniał, jak straszliwymi możliwościami głosowymi dysponuje smok. Odruchowo zawołał ją po imieniu z całych sił, a okrzyk z całych smoczyczych sił był dla słuchacza nie lada przeżyciem – pod warunkiem, że z zatkanymi uszami stał bezpiecznie poza linią horyzontu.

Nawet tak potężne zgromadzenie było wstrząśnięte, Angie zaś albo zemdląła, albo padła rażona siłą smoczego głosu.

Pierwszy otrząsnął się z wrażenia stryjeczny dziadek Gorbasha.

–Do kroćset, chłopcze! – ryknął normalnym (co dopiero teraz Jim zauważył) tonem. – Nie musisz uszkadzać nam bębenków! Coś ty powiedział – „handzii”?

Jim myślał pospiesznie.

–Kichnąłem – odparł.

Zapadła martwa cisza. W końcu Bryagh wypalił.

–Kto kiedykolwiek słyszał kichającego smoka?

–Kto? Kto, powiadasz? – prychnął Smrgol. – Ja słyszałem kichnięcie smoka. Zanim się narodziłeś, oczywiście. Stary Malgu, trzeci kuzyn siostry mojej matki, sto siedemdziesiąt trzy lata temu kichnął jednego dnia aż dwa razy. Nie wmawiaj mi, że nigdy nie słyszałeś kichającego smoka. Cała moja rodzina kichała. To oznaka inteligencji.

–To prawda – pospiesznie wtrącił Jim. – To znak, że mój umysł pracuje. Kiedy się myśli, wierci w nosie.

–Dobrze powiedziane, chłopcze! – zadudnił Smrgol wśród kłopotliwego milczenia, które powtórnie zapadło.

–A to dopiero! – zaryczał Bryagh, zwróciwszy się do reszty zgromadzonych. – Wszyscy znacie Gorbasha. Wałęsa się po powierzchni ziemi przez pół dnia, w kompanii jeży, wilków i różnych takich. Smrgol od lat robi wiele szumu wokół swego stryjecznego wnuka, ale jak dotąd Gorbash nie wykazał się niczym, a już najmniej inteligencją! Siedź cicho, Gorbash!

–A dlaczego to? – zawołał porywczo Jim. – Mam takie samo prawo głosu, jak każdy inny. A co do tego... hm, Jerzego...

–Zabić go!

–Spalić żywcem!

–Urządźmy loterię, a ten, którego diament wygra, pożre go! – zgiełk propozycji zagłuszył słowa Jima.

–Nie! – zagrzmiął. – Posłuchajcie mnie...

–Racja, nie! – wrzasnął Bryagh. – To ja znalazłem tego Jerzego. Jeśli ktoś ma go zjeść, to tylko ja! – potoczył wzrokiem po sali. – Ale mam lepsze rozwią-



zanie. Wystawimy go w jakimś miejscu widocznym dla innych Jerzych, a kiedy przyjdą, by go odbić, rzucimy się na nich i pochwycimy. Potem wszystkich odsprzedamy ich pobratymcom za dużo złota.

Jim spostrzegł, że na wzmiankę o złocie oczy wszystkich smoków rozjarzyły się silnym blaskiem, a i on sam poczuł, jak chciwość przepelnia mu żyły. Myśl o złocie rozsądzała mu głowę mniej więcej tak, jak umierającym z pragnienia – myśl o wodzie. Złoto... pomruk zadowolenia powoli wzmagął się w jaskini niczym fale nadciągającego sztormu.

Jim zwalczył w swym smoczym sercu żądzę złota i w jej miejsce wkradło się uczucie paniki. Będzie musiał jakoś ich zniechęcić do planu Bryagha. Przez chwilę walczył z szalonym pragnieniem porwania klatki z uwięzioną Angie i spróbowania ucieczki. Po chwili doszedł do wniosku, że właściwie ten pomysł nie był aż tak szalony. Do momentu, kiedy ujrzał Angie obok Bryagha – a Bryagh dorównywał mu wzrostem – nie zdawał sobie sprawy, jak był ogromny. Gdyby choć na chwilę udało się odwrócić uwagę smoków od klatki... Lecz nagle uświadomił sobie, iż nie zna wyjścia z podziemia. Gdyby zabłądził i został przyparty do ściany w jakimś ślepym zaułku, smoki na pewno rozszarpałyby go na sztuki; Angie zaś, nawet jeśli przeżyłaby walkę, straciłaby bezpowrotnie szansę na powrót do normalnego świata. Musiał istnieć jakiś inny sposób.

–Poczekajcie chwilę! – zawołał. – Wstrzymajcie się!

–Zamknij się, Gorbash! – zagrział Bryagh.

–Sam się zamknij! – ryknął w odpowiedzi Jim. – Mówiłem wam, że mój mózg intensywnie pracuje. I właśnie wpadłem na najlepszy pomysł.

Kątem oka zauważył, że Angie znów usiadła w swej klatce, i odczuł ulgę.

–Jerzy, którego tu macie, jest płci żeńskiej. Pewnie żaden z was nie dostrzegł w tym nic szczególnego, ale ja na tyle często bywałem na powierzchni, że nauczyłem się tego i owego. Czasami ich kobiety są ogromnie cenne...

Tuż obok Jima chrząknął Smrgol, a odgłos, jaki przy tym wydał, przypominał młot pneumatyczny wwiercający się w szczególnie twardy beton.

–Najprawdziwsza prawda! – huknął. – Może nawet mamy księżniczkę. Tak, wygląda mi na księżniczkę. No cóż, dzisiaj niewiele z was wie, co to księżniczka; ale dawniej niejeden smok, zdarzyło się, ścigany był przez całą sforę Jerzych, ponieważ Jerzy, którego pochwyił, był księżniczką. Kiedy starłem się z olbrzymem z Baszty Gormely, trzymał on pod kluczem pewną księżniczkę wraz z mnóstwem innych Jerzych płci żeńskiej. Szkoda, że nie widzieliście Jerzych, kiedy już odzyskali swą księżniczkę. Jeśli więc wystawimy tę naszą na zewnątrz, to dla odbicia jej mogą wysłać przeciwko nam regularne wojsko. Nie, wystawianie jest zbyt ryzykowne, równie dobrze możemy ją zjeść...

–Z drugiej strony – szybko wykrzyknął Jim -jeśli potraktujemy ją dobrze i zatrzymamy jako zakładnika, to moglibyśmy zrobić z Jerzymi, co tylko zechcemy...

–Nic z tego! – zaryczał wściekle Bryagh. – To mój jerzy. Nie będę tolerował...

–Na mój ogon i skrzydła! – pojemność płuc Smrgola była tak olbrzymia, że całkiem zagłuszył Bryagha. – Jesteśmy zorganizowaną wspólnotą czy bandą błotnych smoków? Jeśli ten jerzy jest rzeczywiście księżniczką i może zostać wykorzystany do powstrzymania tamtych Jerzych w łusce od urządzania na nas polowań, to staje się on własnością wspólnoty! Ilu z was chciałoby stawić czoło jednemu nawet Jerzemu w łusce, z nastawionym w waszą stronę rogiem? Hę? Ten chłopak wpadł na znakomity pomysł – dziwię się, że sam o tym nie pomyślałem. Ale ostatecznie to w nosie wierciło tylko jemu. Głosuję, by zatrzymać tego Jerzego jako zakładnika, aż młody Gorbash nie dowie się, ile on wart dla pozostałych!

Najpierw z ociąganiem, a w końcu z rosnącym entuzjazmem smocza społeczność przegłosowała projekt Smrgola. Bryagh całkiem wyszedł z siebie ze złości; kłął przez bite czterdzieści sekund niemal z całych smoczycych sił, aż wreszcie z wściekłym tupotem opuścił zebranie. Widząc, że już po emocjach, stopniowo i inni członkowie wspólnoty zaczęli się rozchodzić.

–Dalej, chłopcze – sapał Smrgol, pierwszy podchodząc do klatki, którą znów przykrył gobelinem. – Podnieś to, o tak. Ostrożnie! Nie tak gwałtownie! Nie chcesz go chyba wytrząść za mocno. Dobrze, a teraz – za mną. Zanieś my go do jednej z najwyższych grot, otwierającej się na urwisko. Żaden jerzy nie potrafi latać, więc możemy go tam bezpiecznie zostawić. Możemy go nawet wypuścić z klatki; będzie miał więcej światła i powietrza. Potrzebuje tego, jak każdy jerzy.

Dźwigając klatkę, Jim podążał za starym smokiem na górę krętymi chodnikami, aż dotarli do maleńkiej pieczary. Przez wąski, w mniemaniu smoków, otwór w ścianie wpadała tam odrobina światła. Jim postawił klatkę, a Smrgol przetoczył głaz, by zablokować wejście. Jim podszedł do krawędzi szczeliny i rozejrzał się po okolicy. Widok zapierał dech w piersiach – ponad sto stóp skalnego urwiska opadało stromo ku najeżonemu rumowisku.

–No, dobrze, Gorbash – powiedział Smrgol, stając obok młodego smoka i po przyjacielsku kładąc swój ogon na jego opancerzonym karku. – Sam się w to wpakowałeś.

Odchrząknął.

–Nie chciałem cię urazić, ale mówiąc między nami – ciągnął – naprawdę nie jesteś zbyt inteligentny. Całe to włóczenie się po ziemi i zadawanie się z lisem, wilkiem czy też jakimś innym z twoich przyjaciół nie przystoi dorastającemu smokowi. Prawdopodobnie powinienem w to wkroczyć, ale jesteś ostatnim z naszego rodu i... że tak powiem, sądziłem, że nie stanie się wielka szkoda, jeśli pozwolę ci na odrobinę zabawy i swobody, skoro jesteś jeszcze taki młody. Naturalnie, zawsze broniłem cię wobec innych smoków, bo krew nie woda i... w ogóle. Ale myślenie to naprawdę nie najmocniejsza twoja strona...

–Jestem może inteligentniejszy, niż przypuszczasz – stwierdził ponuro Jim.

–No, no, nie bądź taki obraźliwy. To tylko tak między nami, w cztery oczy.

Ociężałość umysłu nie przynosi smokowi ujmy; jednak jest pewnym utrudnieniem w tym współczesnym świecie, w którym Jerzym wyrastają długie, ostre rogi, żądła, a nawet łuski. A teraz posłuchaj. Otóż jeśli możemy przetrwać, to wcześniej czy później musimy dojść do jakiegoś porozumienia z tymi Jerzymi. Ustawiczna wojna nie zmniejsza za bardzo ich szeregów, za to dziesiątkuje nasze. Ach, prawda, nie wiesz, co to słowo oznacza.

–Oczywiście, że wiem.

–Zaskakujesz mnie, mój chłopcze – Smrgol popatrzył na niego ze zdumieniem. – Co w takim razie znaczy? Mów!

–Jest to zagłada znacznej liczby czegoś – oto i znaczenie.

–Na pierwotne jajo! Może jeszcze nie wszystko stracone? No, no. Chciałem jedynie w pełni ukazać ci wagę twojej misji i jej niebezpieczeństwa. Nie ryzykuj za bardzo, stryjeczny wnuku. Pozostałeś mym jedynym żyjącym krewnym, gdy tymczasem – mówię to wyłącznie z życzliwości – pomimo całej twojej siły pierwszy lepszy jerzy z odrobiną doświadczenia w godzinę zdołałby poćwiartować cię na kawałki.

–Tak sądzisz? To może lepiej zrobię, jeśli nie będę się do niczego mieszał?...

–He? Niepotrzebnie się unosisz. Pragnę się tylko dowiedzieć od tego Jerzego, skąd się tu wziął. Zostawię cię z nim samego, aby moją obecnością nie przerażał go niepotrzebnie. Gdyby nie zechciał mówić, zostaw go tutaj, gdzie jest bezpieczny, a sam poleć do czarodzieja, który mieszka przy Dźwięcznej Wodzie. Wiesz oczywiście, gdzie to jest. Stąd na północny zachód. Za jego pośrednictwem prowadź dalsze pertraktacje. Powiedz mu, że mamy Jerzego, opisz jego wygląd i zakończ stwierdzeniem, że chcemy omówić warunki rozejmu. Załatwienie wszystkiego pozostaw jemu. Bez względu na to, czego dokonasz – Smrgol przerwał, by surowo popatrzeć Jimowi w oczy – nie schodź więcej do mnie na dół po radę. Po prostu ruszaj w drogę. I tak mam niemało kłopotu z utrzymaniem posłuchu wśród reszty, nawet przy moim autorytecie. Chcę, by tamci uwierzyli, że jesteś zdolny sam to przeprowadzić. Zrozumiałeś?

–Zrozumiałem – potwierdził Jim.

–To dobrze – Smrgol począł do wylotu jaskini. – Powodzenia, chłopcze! – powiedział i dał nurka w przestworza.

Jim podszedł do klatki, ściągnął gobelin i zobaczył Angie, skuloną w kątku.

–Wszystko w porządku – uspokoił ją pospiesznie. – To tylko ja, Jim...

Gorączkowo szukał jakichś drzwiczek. Po chwili znalazł je zamknięte na ciężką kłódkę; klucza jednak nie było. Spróbował uchwycić drzwi jedną wielką łapą, drugą przytrzymał klatkę za pręty i pociągnął. Kłódka szczęknęła i rozpadła się. Angie wrzasnęła.

–To przecież ja, Angie! – powiedział, lekko zirytowany. – Możesz już wyjść.

Angie jednak nie wyszła. Wzięła do ręki jeden z pękniętych kawałków pręta i trzymała przed sobą jak sztylet.

–Nie waż się do mnie zbliżyć, smoku – zagroziła. – Jeśli podejdziesz, oślepię cię!

–Czyś ty oszalała, Angie? – wykrzyknął Jim. – Mówię ci przecież, że to ja! Czy przypominam ci smoka?

–Co do tego nie mam cienia wątpliwości – odparła zapalczywie.

–Naprawdę? A Grottwold twierdził, że...

W tym momencie doznał wrażenia, że strop zwałił mu się na głowę.

... Kiedy oprzytomniał, zobaczył nad sobą zatroskaną twarz dziewczyny.

–Co się stało? – spytał drżącym głosem.

–Nie wiem – odpowiedziała. – Po prostu nagle upadłeś. Jim... to naprawdę ty, Jim?

–Tak – odrzekł półprzytomnie.

–... powiedziała Angie.

Sens jej słów częściowo mu umknął. Coś dziwnego działo się w jego głowie. Miał wrażenie, że myśli są produktem dwóch różnych umysłów pracujących jednocześnie. Uczynił wysiłek, by skupić się na jednym tylko toku myślenia i do pewnego stopnia udało mu się. Dużo jednak trudu kosztowało go utrzymanie tej niepodzielności.

–Czuję się, jakby ktoś zdzielił mnie pałką po głowie – rzekł.

–Naprawdę? Przecież nic się nie zdarzyło! – Angie wydawała się strapiona. – Po prostu runąłeś, jakbyś zemdlał lub coś w tym rodzaju. Jak się teraz czujesz?

–W głowie mam zamęt – odpowiedział Jim.

Teraz dość sprawnie panował nad odruchem dwutorowego myślenia, ale nadal świadom był jakiegoś obcego składnika w swoim umyśle, gdzieś na krańcach świadomości. Skoncentrował się na Angie.

–Dlaczego teraz mi wierzysz, a przedtem nie chciałaś?

–Początkowo nie zauważyłam, że zwracasz się do mnie po imieniu – odparła. – Ale kiedy kilkakrotnie wymieniałeś swoje i wspomniałeś o Grottwoldzie, nagle zrozumiałam, że to możesz być rzeczywiście ty i że on postanowił wysłać cię na ratunek.

–Postanowił! Bzdura! Zagroziłem mu, że albo cię sprowadzi, albo... Powiedział wtedy, że w moim przypadku nastąpi tylko projekcja i że inni mogą mnie nawet nie dostrzegać.

–Ja zaś widzę smoka, jednego z tych, jakie się tu kręcą. Nastąpiła projekcja, a jakże! Tyle tylko, że twojej świadomości w smocze ciało.

–Ale ciągle nie pojmuję... Czekał – powiedział Jim. – Najpierw myślałem, że mówię językiem smoków. Lecz skoro mówię po smoczemu, to dlaczego

ty mnie rozumiesz?

–Nie wiem, ale rozumiałam i tamte smoki. Może one wszystkie mówią po angielsku?

–Ani one, ani ja. Posłuchaj dobrze tego, co mówisz, i tego, co ja mówię.

–Ależ używam zwyczajnej, potocznej... – Angie urwała nagle, a na jej twarzy pojawiło się zmieszanie.

–Nie, masz rację. Sądzę, że oboje wydajemy takie same dźwięki. Powiedz „sądzę”.

–Sądzę.

–Tak – w zamyśleniu rzekła Angie – to brzmi identycznie. Z tą różnicą, że twój głos jest o jakieś cztery oktawy niższy. Prawdopodobnie oboje używamy takiego języka, jakim się tutaj mówi. I jest to ten sam język dla ludzi i smoków. To niedorzeczne!

–„Niedorzeczne” to właściwe słowo – zgodził się Jim. – Nic z tego nie rozumiem.

–Ani ja. Najważniejsze, że rozumiemy się nawzajem. Jak on cię nazwał, ten drugi smok?

–„Gorbash”. To chyba imię jego stryjecznego wnuka, w którego ciele teraz przebywam. A tamten nazywa się Smrgol. Liczy sobie pewnie ze dwieście lat i cieszy się sporym poważaniem wśród reszty smoków. Ale mniejsza o to. Muszę cię odesłać z powrotem, a to oznacza, że najpierw trzeba cię zahipnotyzować.

–Kazałeś mi przecież przysiąc, że nigdy więcej nie dam się zahipnotyzować.

–Tak, ale teraz to zupełnie co innego. Nasze położenie jest krytyczne. Na czym mogłabyś oprzeć rękę? Tam, na tamtym kamieniu. Podejdź do niego.

Wskazał samotnie leżący głaz, który sięgał Angie do bioder; podeszła do niego.

–Teraz – ciągnął Jim – oprzyj łokieć i skoncentruj się na powrocie do pracowni Grottwolda. Twoja ręka staje się coraz lżejsza. Wznosi się i wznosi...

–Dlaczego chcesz mnie zahipnotyzować?

–Angie, błagam, skoncentruj się. Twoja ręka staje się lżejsza, unosi się. Jest coraz lżejsza, wznosi się, wznosi coraz wyżej. Jest coraz lżejsza...

–Nie – zdecydowała Angie, cofając łokieć – nie jest. I nie uda ci się mnie zahipnotyzować, zanim nie powiesz mi, o co chodzi. Co się stanie, gdy mnie zahipnotyzujesz?

–Będziesz mogła bez reszty skoncentrować się na powrocie do laboratorium Grottwolda i znowu się tam pojawisz.

–A co stanie się z tobą?

–Och, moje ciało wciąż tam jest, więc w każdej chwili, kiedy tylko zechcę, mogę wrócić.

–Pod warunkiem, że byłbyś duchem wolnym od powłoki cielesnej. Czy jesteś pewien, że równie łatwo zrobisz to teraz, gdy wcieliłeś się w tego smoka?

–No... – zawahał się Jim. – Oczywiście, że tak.

–Oczywiście, że nie! – stwierdziła Angie. Wyglądała na zdenerwowaną. – To wszystko moja wina.

–Twoja wina? To przez Grottwolda... a może nawet i nie... W jego aparaturze mogła nastąpić jakaś awaria. Ty całkowicie zniknęłaś, a ja skończyłem w ciele tego Gorbasha, gdyż aportacja była niezupełna.

–Nie było żadnej awarii – upierała się Angie. – Zwyczajnie zagalopował się, swoim zwyczajem, i dalej eksperymentował, nie wiedząc dokładnie, co robi. A ja wiedziałam, co się dzieje, nic ci jednak nie mówiłam, bo potrzebne nam były pieniądze, a sam wiesz, jaki jesteś...

–Jaki jestem? – ponuro spytał Jim. – No, jaki?

–Byłbyś zły na mnie... Nie wracajmy już do tego.

–To dobrze – ucieszył się Jim. – A teraz tylko połóż rękę z powrotem na kamieniu i rozluźnij się...

–Nie to miałam na myśli! – zaprotestowała Angie. – Chciałam powiedzieć, że w żadnym wypadku nie wracam bez ciebie.

–Ależ ja mogę powrócić siłą woli, jeśli tylko zechcę.

–No, to spróbuj.

Jim spróbował. Zacisnął powieki i powiedział sobie, że nie ma ochoty przebywać dalej poza swoim ciałem. Wreszcie otworzył oczy. Obok stała Angie, a wokół wznosiły się ściany jaskini.

–A widzisz – odezwała się Angie.

–Jak mogę chcieć być gdzie indziej, skoro ty wciąż jesteś tutaj? – wykrzyknął Jim. – Musisz wrócić bezpiecznie do naszego świata, żebym także zapragnął tam się znaleźć.

–I mam zostawić cię tu samego, bez pewności, że uda ci się powrócić, gdy tymczasem Grottwold nie będzie miał zielonego pojęcia, jak mnie tu w ogóle wysłał i nigdy nie będzie w stanie wysłać mnie powtórnie. Co to, to nie!

–Więc dobrze. W takim razie decyduj. Co innego nam pozostaje?

–Myślałam... – zaczęła Angie.

–O czym?

–O tym czarodzieju, o którym opowiadał tamten smok.

–Ach, o tym – mruknął Jim.

–No, właśnie. A wiesz dobrze, że żaden z Jerzych – czyli z ludzi, którzy tu żyją – nigdy o mnie nie słyszał. Pierwsze, co zrobią, kiedy czarownik powie im o mnie, to rozejrzą się w poszukiwaniu kogoś, kto zaginął; i nie znajdą nikogo. A skoro nie należę do nich, to czemu mieliby pertraktować ze smokami w mojej sprawie, nie mówiąc już o ustępstwach, jakich zdaje się oczekiwać twój stryjeczny dziadek...

–Angie – wyjaśnił Jim – to nie jest mój stryjeczny dziadek. To stryjeczny dziadek smoka, w którego ciele przebywam.

–Mniejsza z tym. A więc, jak już dotrzesz do tego czarodzieja...

–Chwileczkę! Kto powiedział, że cię zostawię i dokądkolwiek pójdę?

–Przecież wiesz, że musisz to zrobić – odrzekła Angie. – Nie mamy innego wyjścia. Ten czarodziej może nam obojgu pomóc wrócić do naszego świata. W ostateczności możesz nauczyć go, jak zahipnotyzować nas oboje jednocześnie, albo... och, naprawdę nie wiem! To nasza jedyna szansa i ty wiesz o tym równie dobrze jak ja. Musimy ją wykorzystać!

Jim już otworzył usta, by zaprotestować, lecz natychmiast je zamknął. Jak zwykle kilkoma zręcznymi chwytami, niczym judoka, obaliła wszystkie jego argumenty.

–A co będzie, jeśli czarodziej nie zechce pomóc? – słabo oponował. – W końcu, dlaczego miałby nam pomagać?

–Nie wiem, wymyślimy jakiś powód. Musimy – odpowiedziała Angie. – Idź już i odzyskaj go! I bądź wobec niego szczery. Po prostu powiedz mu o nas i o Grottwoldzie; spytaj, czy istnieje jakiś sposób, by nam pomógł, i jak moglibyśmy mu się odwdziżyć. Niczym nie ryzykujemy, jeśli będziemy wobec niego uczciwi.

W przeciwieństwie do Angie Jim uważał, że jest to przedwczesny wniosek. Ale to ona zdobywała przewagę.

–I tymczasem mam cię tu zostawić? – tyle tylko zdołał z siebie wykrztusić.

–Możesz mnie tu zostawić! Nic mi się nie stanie – odparła Angie. – Słyszałam, co powiedziałaś na dole w dużej pieczarze. Jestem zakładnikiem; jestem zbyt cenna, by miała mnie spotkać jakaś krzywda. A poza tym ze słów starego smoka wynika, że Dźwięczna Woda musi być niedaleko. W tej chwili zbliża się chyba południe. Dowiesz się, co zrobić, i bezpiecznie wrócisz tu przed zapadnięciem zmroku.

Jim przyznał, że w niezauważalny sposób, swoim zwyczajem, zatrzasnęła wszystkie furtki z wyjątkiem tej, którą przeznaczyła dla niego.

–Zgoda – rzekł w końcu smutno.

Podszedł do skraju stromego urwiska i zawahał się.

–Coś nie w porządku? – spytała Angie.

–Tak tylko sobie pomyślałem – powiedział Jim nieco ochrypniętym głosem – że Gorbash z pewnością umiał latać, ale czyja potrafię?

–Musisz spróbować – zasugerowała. – Najprawdopodobniej samo ci się przypomni. Jak tylko znajdziesz się w powietrzu, to instynkt podpowie ci, co robić.

Jim popatrzył daleko w dół na postrzępione skały.

–Może lepiej będzie, jeśli odsunę tamten głaz i wydostaniemy się podziemnym wyjściem...

–Przecież stary smok... jak mu na imię?

–Smrgol.

–Przecież stary Smrgol przestrzegał cię przed powtórnyim zejściem do jaskini. Co będzie, jeśli spotkasz go po drodze? Dźwięczna Woda może być na tyle daleko, że i tak będziesz musiał użyć skrzydeł, by się tam dostać.

–To prawda – głucho przyznał Jim. Przemyślał wszystko jeszcze raz i chyba nie miał innego wyjścia. Wzdrygnął się i zamknął oczy.

–No to jazda.

Rzucił się przed siebie, bijąc wściekle skrzydłami. Był pewien, że spada. Nagle wydało mu się, że w tyle głowy poczuł bezgłośny wybuch, skrzydła rozpostarły się szeroko, a ich ruchy stały się spokojniejsze.

Zatliła się w nim iskierka nadziei. Gdyby miał rozbić się o skały, już by się to stało...

Nie mógł już, dłużej znieść niepewności.

Otworzył oczy i rozejrzał się.

Rozdział 4

Raz jeszcze nie docenił smoczycy możliwości. Znajdował się na wysokości co najmniej dwóch tysięcy stóp i ciągle szybko się wznosił.

Na chwilę znieruchomiał, a jego skrzydła same ułożyły się do lotu żaglowego – mimo to nie spadał. Nagle zdał sobie sprawę, że szybuje w powietrzu, gdyż instynktownie dał się porwać ciepłemu prądowi wznoszącemu, tak jak to czynią duże ptaki, szybownicy i piloci balonowi.

Najwyraźniej instynkt podpowiadał ciału Gorbasha, jak należy szybować. Jim odkrył, że bezwiednie zrównał się ze słońcem, które teraz świeciło tuż nad jego prawym barkiem. Leciał w kierunku północnozachodnim, pozostawiwszy w tyle skalne urwisko.

Daleko przed nim, na linii horyzontu rozciągała się szerokim pasem ciemnozielona puszcza. Zbliżał się do niej bez najmniejszego wysiłku. I tak, prawie niezauważalnie dla niego samego, zaczęło mu to sprawiać przyjemność.

Poczuł się silny, zręczny i trochę szalony. W każdej chwili był gotów zawrócić i zmierzyć się z wszystkimi smokami, aby uwolnić Angie, oczywiście, gdyby zaistniała taka konieczność. W swej rozdwojonej podświadomości miał dziwną pewność, że nikt inny nie dorównuje mu w sztuce latania. Zastanawiał się właśnie, skąd to przekonanie, gdy przypomniał sobie słowa Smrgola, że Gorbash więcej czasu spędzał na powierzchni, niż było to w zwyczaju smoków. Może to dlatego Gorbash był w lepszej niż inni kondycji?

Pytanie pozostało bez odpowiedzi, ale przywiodło mu na myśl wszystkie inne problemy wynikające z tej niewiarygodnej przygody. W tym świecie istniało więcej nierealnych sytuacji, niż zdrowy na umyśle człowiek mógłby sobie wyobrazić. Już same smoki... – a co dopiero mówiące smoki! Ten świat jednak musiał rządzić się jakimiś fizycznymi i biologicznymi prawami i ktoś z doktoratem z historii oraz ze sporą liczbą ukończonych kursów z nauk ścisłych i przyrodniczych powinien umieć te prawa rozszyfrować, oczywiście z korzyścią dla siebie i Angie.

Więc jeśli będzie miał oczy szeroko otwarte i umiejętnie wyciągał wnioski...



**Sunął równo w przestworzach, nie przestając intensywnie myśleć. Lecz jego myśli zatoczyły koło i ostatecznie zawędrowały donikąd. Nie zebrał jeszcze wystarczająco dużo danych, by wyciągnąć jakieś wnioski. Dał za wygraną i raz**

jeszcze popatrzył w dół.

Najwyraźniej puszcza nie leżała tak blisko, jak sądził. Nie odczuwał jednak zmęczenia. Wydawało mu się, że mógłby tak lecieć w nieskończoność.

Tymczasem poczuł pierwsze, delikatne ssanie w żołądku i zastanowił się, co też on, jako smok, jada. Chyba nie... – skrzywił się na samą myśl – nie, zdecydowanie nie mógł jadać ludzi! Jeżeli stanowili oni regularne pożywienie smoka, to będzie musiał chodzić głodny!

Nareszcie zaczął zbliżać się do lasu. Mógł już odróżnić poszczególne drzewa. Zastanawiał się, jak znaleźć Dźwięczną Wodę.

Nagle ujrzał ją; maleńką polankę wśród drzew, z przepływającym strumykiem, który w jednym miejscu tworzył niewielki wodospad. Nie opodal była sadzawka z tryskającą fontanną i nieduży, zdumiewająco wąski domek o spadzistym dachu. Dookoła trawa i kwietniki, z wyjątkiem żwirowej alejki prowadzącej od skraju gęstego lasu do samego źródła. Przed frontowymi drzwiami stał jakiś słup z szyldem.

Jim usiadł z głuchym łoskotem.

W ciszy, jaka zapanowała po tym dość ciężkim lądowaniu, usłyszał odgłos bijącej fontanny i wody rozpryskującej się o brzegi sadzawki. Woda ta rzeczywiście dźwięczała.

Wolno ruszył alejką, ale przed domem zatrzymał się i zerknął na szyld. Była to zwykła, pomalowana na biało deska, na której kanciastym gotykiem wypisane było imię S. Carolinus. Podeszedł do zielonych frontowych drzwi i zapukał.

Z wnętrza dobiegły szybkie kroki. Drzwi gwałtownie się otworzyły i starzec o wychudłej twarzy ubrany w czerwoną szatę i czarną myckę wystawił głowę, porośniętą z rzadka siwą, źle utrzymaną brodą. Obrzucił Jima wściekłym spojrzeniem.

–Niestety, dzisiaj smoków nie przyjmuję – burknął. – Proszę przyjść we wtorek.

Schował głowę i zatrzasnął drzwi. Przez chwilę Jim stał w osłupieniu.

–Hej! – zawołał i zaczął walić w drzwi z siłą godną smoka.

Jeszcze raz otworzyły się gwałtownie.

–Smoku! – złowroźnie zaczął czarodziej. – Co byś powiedział na to, by stać się żukiem?

–Musisz mnie wysłuchać – powiedział Jim.

–Już ci mówiłem – odparł Carolinus – że dziś nie przyjmuję smoków. A poza tym boli mnie brzuch. Rozumiesz? **DZIŚ NIE PRZYJMUJĘ SMOKÓW!**

–Aleja nie jestem smokiem.

Przez długą chwilę Carolinus wpatrywał się w Jima.

–Jakim to sposobem – zażądał wyjaśnień – smok posiadał inteligencję zdolną tak rozwinąć wyobraźnię, że ulega złudzeniu, iż nie jest smokiem? Od powiedzcie mi, o Wy, Moce!

–Informacja ta jest prawdziwa w sensie psychologicznym, choć nie fizjologicznym – tuż obok, z wysokości blisko pięciu stóp nad ziemią jakiś tubalny głos przemówił wprost z powietrza. Jim, który potraktował pytanie czarodzieja jako retoryczne, wzdrygnął się.

–Czy tak jest w istocie? – spytał Carolinus, spoglądając na Jima z zainteresowaniem i szeroko otworzył drzwi. – Wejdz, Anomalio – a może masz lepsze imię dla siebie?

Jim znalazł się w zagraconym pomieszczeniu, które najwidoczniej zajmowało cały parter domku. Stały w nim meble i dziwaczne przyrządy alchemiczne, przemieszane bezładnie. S. Carolinus zamknął drzwi i obrócił się twarzą do Jima.

–Właściwie nazywam się James – Jim Eckert – powiedział. – Ale przebywam w ciele smoka o imieniu Gorbash.

–I wnoszę, że ci to przeszkadza – stwierdził S. Carolinus, krzywiąc się z bólu i masując sobie brzuch. Przymknął powieki i dodał słabym głosem:

–Czy znasz coś, co byłoby dobre na nieustający ból brzucha? Jasne, że nie. Mów dalej.

–Obawiam się, że nie. No więc, chodzi o to... Chwileczkę, czy ty mówisz po smoczemu, czarodzieju, czy też ja mówię językiem, którym ty mówisz?

–Jeśli istnieje taki język, który zwie się „smoczym” rzekł Carolinus gderliwie – to, naturalnie, mówisz nim. Gdybyś ty się nim posługiwał, to i ja też bym nim mówił do ciebie oczywiście. W rzeczywistości po prostu rozmawiamy. Czy mógłbyś trzymać się tematu? Opowiadaj dalej o sobie.

–Ale chciałem spytać, czy tutejsze smoki i ludzie – mam na myśli Jerzych – używają tego samego języka? To znaczy, wydaje mi się, że posługuję się waszym językiem, nie swoim...

–A czemu by nie? – Carolinus zamknął oczy. – W krainie Mocy z założenia możliwy jest tylko jeden język. Lecz jeśli w ciągu pięciu sekund nie wrócisz do tematu, będziesz żukiem – ogólnie mówiąc.

–Och! Chodzi o to – wyjaśniał Jim – że nie tyle interesuje mnie wydostanie się z ciała smoka, ile powrót tam, skąd przybyłem. Moja... hm, Angie – dziewczyna, z którą zamierzam się ożenić...

–Tak, tak, trzynastego października – niecierpliwie przerwał Carolinus. – Kończ szybciej.

–Trzynastego października? W tym roku? To znaczy, już tylko za trzy tygodnie?

–oIVSZ3.1GS prZGCIGZ.

–Ale, chciałem rzec... aż tak szybko? Nie spodziewaliśmy się, że... Carolinus otworzył oczy. Nie wspomniał o żukach, ale Jim w lot pojął.

–Angie... – zaczął pospiesznie.

–Która jest gdzie? – przerwał Carolinus. – Ty jesteś tu. A gdzie jest ta Angie?

–U smoków, w jaskini.

–Więc i ona jest smokiem?

–Nie, człowiekiem.

–Rozumiem w czym trudność.

–No, tak... Nie – odrzekł Jim – nie sędzę. Kłopot w tym, że umiem wysłać ją z powrotem, ale chyba sam nie potrafię wrócić; a ona nie odejdzie beze mnie. Słuchaj, czarodzieju, najlepiej będzie, jeśli opowiem ci całą tę historię od początku.

–Znakomity pomysł – odrzekł z grymasem Carolinus i zamknął oczy.

–To jest tak – zaczął Jim. – Jestem asystentem na uczelni noszącej nazwę Riveroak College. Właściwie powinienem być wykładowcą na wydziale historii... – i szybko zrelacjonował całą sytuację.

–Rozumiem – rzekł Carolinus. – Czy pewien jesteś tego wszystkiego? Nie chciałbyś zmienić swej historii na coś prostszego i bardziej sensownego – jak, na przykład, że jesteś księciem zaklętym w smoka przez rywala mającego kontakty z tymi szarlatanami z Wewnętrzznego Królestwa? Nie? – westchnął ciężko i znowu skrzywił się. – Co chcesz, bym w związku z tym uczynił?

–Sądziłem, że może będziesz w stanie wysłać nas oboje z powrotem.

–To jest możliwe. Trudne, ma się rozumieć. Ale przypuszczam, że mógłbym podołać, mając do dyspozycji dużo czasu i odpowiednio wyważone szale Przypadku i Historii. To będzie kosztowało pięćset funtów w złocie lub pięć funtów rubinów, płatne z góry.

–Co takiego?

–A dlaczego by nie? – zapytał lodowato Carolinus. – To uczciwa cena.

–Ależ ja... – Jim prawie wyjąkał – nie mam złota... ani rubinów.

–Nie traćmy czasu! – rzucił przez zęby Carolinus. – Jasne, że masz. Jaki byłby z ciebie smok, gdybyś nie posiadał skarbów?

–Ale to prawda! – upierał się Jim. – Może ten Gorbash ma gdzieś jakieś skarby. A jeśli nawet, to i tak nie wiem gdzie.

–Bzdura. Mimo to chcę być rozsądny. Czteryście sześćdziesiąt funtów w złocie.

–Przecież mówię, że nie mam skarbu.

–Dobrze. Czteryście dwadzieścia pięć, ale ostrzegam cię, że ani funta mniej. Nie mogę pobierać niższych honorariów i jednocześnie utrzymywać się z tego.

–Nie mam skarbu!

–Czteryście, wobec tego, i niech klątwa czarodzieja... zaraz, zaraz. Chcesz przez to powiedzieć, że naprawdę nie wiesz, gdzie znajduje się ten skarb Gorba-sha?

–To właśnie usiłowałem ci powiedzieć.

–Jeszcze jeden klient po proście! – wybuchnął Carolinus, wściekle wygrażając w powietrzu kościstymi pięściami. – Co się dzieje w Wydziale Kontroli?

Odpowiedzcie mi!

–Przykro nam – odparł ten sam tubalny głos znikąd.

–No, tak! – sapnął Carolinus, uspokoiwszy się nieco. – Żeby to się więcej nie powtórzyło, przynajmniej przez najbliższe dziesięć dni. – Ponownie zwrócił się do Jima: – Nie masz w ogóle nic, czym mógłbyś zapłacić?

–No cóż – zaczął ostrożnie Jim – myślałem właśnie o twoim bolącym brzuchu...  
Czy ból przechodzi po jedzeniu?

–Tak – przyznał Carolinus – istotnie przechodzi na jakiś czas.

–Chyba masz dolegliwość, którą tam, skąd pochodzimy, nazywają wrzodem żołądka. Ludzie, którym życie i praca upływają w dużym napięciu nerwowym, często na to cierpią.

–Ludzie? – Carolinus popatrzył na niego podejrzliwie. – Czy smoki?

–W moim świecie nie ma żadnych smoków.

–No już dobrze, dobrze – rzekł Carolinus w rozdrażnieniu – nie musisz aż tak naciągać prawdy. Wierzę ci w kwestii tego diabła w żołądku. Tak się tylko upewniałem, czy wiesz, o czym mówisz. Napięcie nerwowe – ot, co! Jak egzorcyzmujecie te wrzody?

–Mlekiem – odparł Jim – szklanka krowiego mleka sześć do ośmiu razy dziennie, aż objawy ustąpią.

–Ha!

Carolinus obrócił się na pięcie, pomknął ku ściennej półce i zdjął z niej czarną butelkę. Odkorkował ją i do zakurzonej szklanej czary nalał czegoś, co przypominało czerwone wino. Następnie uniósł czarę pod światło.

–Mleko – powiedział.

Czerwony płyn stał się biały. Wypił go duszkiem.

–Hmmm! – stał z głową przekrzywioną na bok i czekał. – Hmmm...

Powoli jego broda rozstępowała się w uśmiechu.

–Ależ tak, doprawdy wierzę – wyrzekł niemal łagodnie – to pomaga. Tak, na Moce! Pomaga!

Odwrócił się, cały rozpromieniony.

–Wyśmienite! Krowia natura mleka działa wyjątkowo powściągajaco na gniew wrzodu, który, nawiasem mówiąc, musi być członkiem rodu Demonów Ognia, jeśli się dobrze nad tym zastanowić. Gratulacje, Gorbash lub Jim czy też jeszcze inaczej. Będę wobec ciebie szczery. Kiedy wspomniałeś, że byłeś asystentem w college'u, nie uwierzyłem ci. Ale teraz wierzę. Od tygodni już nie widziałem równie świetnego popisu magii leczniczej. Dobrze, a teraz – zatarł kościste dłonie – do pracy nad twoją sprawą.

–Jeśli to możliwe... – powiedział Jim – gdybyś zechciał zahipnotyzować nas oboje jednocześnie...

Siwe brwi Carolinusa wystrzeliły w górę jak spłoszone króliki.

–Jajko mądrzejsze od kury! – syknął. – Na Moce! Oto co dolega dzisiaj szemu światu: nieuctwo i anarchia!

Pogroził Jimowi długim, niezbyt czystym palcem.

–Smoki hasają tędy i owędy, rycerze hasają owędy i tędy; durnie, olbrzymy, orki, piaszczomroki oraz inne dziwolągi i wybryki natury uprawiają ten swój ho-kuspokus najlepiej, jak umieją, byle tylko zastraszyć choć maleńką cząstkę świata.

Każdy zuchwalec i asystent w swym zaślepieniu stawia się na równi z Magistrem Sztuki. To nie do zniesienia!

Jego oczy zapłonęły jak żywe ognie.

–Nie myślę tego dłużej znosić. Będziemy mieli porządek i spokój, i Sztukę, i Naukę, nawet jeśli będę musiał wyrzucić wszystko na drugą stronę!

–Ale sam mówiłeś, że za pięćset, to znaczy czterysta funtów w złocie...

–Wtedy chodziło o transakcję, teraz – o etykę! Carolinus pochwylił kilka włosów z brody i przez chwilę -je żuł.

–Myślałem – rzekł wreszcie – że potargujemy się trochę o cenę, aż zorientuję się, ile jesteś wart. Lecz teraz, gdy odpłaciłeś mi tym zakłębieniem na wrzód... – nagle zamyślił się, oczy zaszyły mu mgłą i w rozkojarzeniu zdawały się patrzeć gdzieś indziej. – Tak, tak, doprawdy... to bardzo ciekawe...

–Sądziłem tylko – pokornie rzekł Jim – że hipnoza mogłaby zadziałać, gdyż...

–Zadziałać! – zakrzyknął Carolinus, gwałtownie wracając do rzeczywistości. – Oczywiście, że zadziałałaby. Ogień też poskutkowałby w leczeniu ostrego przypadku puchliny wodnej. Ale martwy i spopielający pacjent to nie pacjent uzdrowiony! Nie, nie, Gorbash (nie pamiętam drugiego z twoich imion), przypomnij sobie Pierwsze Prawo Magii!

–Co takiego?

–Pierwsze Prawo, Pierwsze Prawo! Czy niczego nie nauczono cię w tym college'u?

–No, cóż, właściwie to moją dziedziną była...

–Już zapomniałeś, jak widać – kpił Carolinus. – Ach, ci młodzi! Prawo o Zapłacie, ty cymbale! Za każde odwołanie się do Wiedzy Tajemnej należy uiścić żadaną lub odpowiednią cenę! Jak sądzisz, dlaczego żyję zarabiając na swoje utrzymanie, zamiast odwoływać się do liczby Alef? Nie możesz dostać czegoś za nic tylko dlatego, że liczba jest nieskończona. Czemu korzysta się z pomocy sów i kotów, i myszy, i innych rekwizytów zamiast patrzeć na kryształ? Dlaczego czarodziejski napój jest niesmaczny? Za wszystko trzeba płacić, oczywiście stosownie! Nigdy nie zrobiłbym tego, co ten wasz ograniczony dyletant Hansen, zanim nie wyrobiłbym sobie dziesięcioletniego kredytu w Wydziale Kontroli – a jestem przecież Magistrem Sztuk. On obciążył swe konto do granicy wytrzymałości – dalej już nie da rady.

–Skąd wiesz? – spytał Jim.

–Ależ, mój dobry asystencie – odparł Carolinus – czyż to nie oczywiste? Był w stanie wysłać tę twoją dziewicę – zakładam, że jest dziewicą.

–No...

–Nieistotne, będę nazywał ją dziewicą, dla zasady. W końcu to i tak jałowa dyskusja. Chodzi mi o to, że był w stanie całkowicie ją wysłać, ale potem kredytu w Wydziale Kontroli starczyło mu zaledwie na przeniesienie twego ducha. A wynik – jesteś Zakłóceniem Równowagi w tym świecie, Ciemne Moce zaś przepadają za czymś takim. W rezultacie wytworzyła się tu niezła sytuacja! Ha! Gdybyś był choć trochę sprytniejszy i wykształcony, zrozumiałbyś, że mogłeś uzyskać mą pomoc bez potrzeby odpłacenia mi tymi egzorcyzmami na wrzód. I tak bym ci pomógł, choćby po to, by pomóc sobie samemu i nam wszystkim tutaj.

Jim wpatrywał się w niego z uwagą.

–Nie rozumiem – wyrzekł w końcu.

–Naturalnie, że nie – taki zwykły asystent jak ty. Dobrze więc, wyłożę ci to. Twoje pojawienie się tutaj – twoje i tej Angie – zakłóciło równowagę między Przypadkiem a Historią. Poważnie zakłóciło. Wyobraź sobie huśtawkę, na której jednym końcu siedzi Przypadek, na drugim zaś Historia i tak huśtają się w górę i w dół. Raz Przypadek jest w górze, potem znów Historia. Ciemne Moce uwielbiają to. W odpowiednim momencie obciążają jedną ze stron, tę zdążającą właśnie do dołu, tak że w górze na długo zawisa albo Przypadek, albo Historia. W pierwszej sytuacji mamy Chaos; w drugiej – Porządek i kres Romantyzmu, Sztuki, Magii i wszystkiego, co interesujące.

–Ale... – Jim doznawał wrażenia, jakby tonął w morzu słów -jak można się temu przeciwstawić?

–Jak? Pchać do góry, gdy Ciemne Moce pchają w dół. Pchać w dół, kiedy Ciemne Moce popychają do góry! Wymusić tymczasową równowagę, a potem otwarcie na nie uderzyć – zmierzyć nasze siły z ich siłami. Jeśli wygramy tę ostateczną bitwę, będziemy wreszcie mogli doprowadzić twoją sprawę do końca i znów powrócić do stałej równowagi. Ale przedtem będą kłopoty.

–A jednak posłuchaj... – zaczął Jim.

Chciał właśnie powiedzieć, że Carolinus niepotrzebnie stara się przedstawić sytuację jako zbyt skomplikowaną, gdy domkiem wstrząsnął potężny łoskot i smoczy głos zagrział:

–Gorbash!

–Wiedziałem, że tak będzie – powiedział Carolinus -już się zaczęło.

Rozdział 5

Podszedł pierwszy do drzwi, energicznie je otworzył. Jim ruszył za nim. W alejce siedział Smrgol.

–Witaj, Magu! – huknął stary smok i skinął głową. – Być może nie pamiętasz mnie. Nazywam się Smrgol. Czy przypominasz sobie tę historię z olbrzymem z Baszty Gormely? Widzę, że mój stryjeczny wnuk znalazł drogę do ciebie.

–Aha, tak, Smrgol. Pamiętam, pamiętam – odrzekł Carolinus. – To była dobra robota.

–Miał zwyczaj po każdym ciosie opuszczać maczugę głowicą w dół – wyjaśnił Smrgol. – Spostrzegłem to w czwartej godzinie walki. Całkiem odsłaniał się na tę jedną sekundę. Kiedy następnym razem chciał tak zrobić, zaskoczyłem go i wydarłem mu biceps z prawego ramienia. Potem to już była tylko kwestia dobicia.

–Pamiętam. Osiemdziesiąt trzy lata temu. A więc to jest twój stryjeczny wnuk?

–Przyznaję, że trochę nierozgarnięty i w ogóle, ale to krew z mojej krwi, ma się rozumieć. Jak ci z nim szło, Magu?

–Nieźle – sucho stwierdził Carolinus. – Ośmielę się nawet obiecać, że on już nigdy nie będzie tym samym stryjecznym wnukiem co dotąd.

–Mam nadzieję – ożywił się Smrgol. – Każda zmiana jest zmianą na lepsze. Ale przynoszę złe wieści. Magu.

–Nie mów.

–Nie? – Smrgol stropił się.

–Powiedziałem to z sarkazmem. Ależ mów. Co zdarzyło się teraz?

–Tylko tyle, że ta glista, Bryagh, zbiegł wraz z naszym Jerzym.

–CO?! – wrzasnął Jim.

Kwiaty i trawa ugięły się jakby pod uderzeniem huraganu; Carolinus zachwiał się, a Smrgol aż drgnął.

–Mój chłopcze – rzekł z wyrzutem. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie krzyczał? Powiedziałem, że Bryagh porwał Jerzego...

–DOKĄD? – wykrzyknął Jim.

–Gorbash! – zaczął surowo Smrgol. – Skoro nie potrafisz rozmawiać na



ten temat w kulturalny sposób, wykluczmy cię z dalszej dyskusji. Nie rozumiem, dlaczego zawsze, kiedy napomyka się o tym Jerzym, tak się denerwujesz.

–Posłuchaj – rzekł Jim. – Czas już, byś dowiedział się czegoś o mnie. Ów Jerzy, jak ją nazywacie, jest kobietą, którą ja...

Nagle sparaliżowało mu krtań. Nie był w stanie wypowiedzieć ani jednego słowa więcej.

–... iż pewnością – szybko wtrącił Carolinus – jest to sprawa, która inte resuje nas wszystkich. Jak już mówiłem Gorbashowi, sytuacja jest i tak wystar czająco zła, więc nie należy jej jeszcze bardziej pogarszać. Hej, Gorbash? Utkwił przenikliwy wzrok w Jimie.

–Chcemy być rozważni i nie pogarszać jeszcze bardziej naszego położenia, nieprawdaż? Nie chcemy bardziej poplątać i tak już splątanego wątku zdarzeń. W przeciwnym razie moja pomoc okaże się niewystarczająca.

Nieoczekiwanie dla samego Jima jego struny głosowe ponownie odzyskały sprawność.

–Tak? Tak... oczywiście – powiedział odrobinę chrapliwie.

–No, już dobrze – powtórzył gładko Carolinus. – Gorbash zadał właściwe pytanie. Dokąd Bryagh uprowadził tego, jak go zwiecie, Jerzego?

–Nikt nie wie – odpowiedział Smrgol. – Sądziłem, że może ty będziesz wiedział.

Magu.

–Proszę bardzo. Piętnaście funtów w złocie.

–Piętnaście funtów? – stary smok zachwiał się w widoczny sposób. – Ależ, Magu! Sądziłem, że zechcesz nam pomóc. Sądziłem, że... Nie mam piętnastu funtów złota. Swój skarb roztrwonilem już dawno temu.

Cały roztrzęsiony zwrócił się do Jima:

–Chodź, Gorbash, to na nic.

–Nie – zawołał Jim. – Posłuchaj, Carolinus! Ja ci zapłacę. Jakoś zdobędę te piętnaście funtów...

–Chłopcze, czyś ty chory? – przeraził się Smrgol. – To tylko jego cena wywoławcza. Nie bądź w gorącej wodzie kąpany!

Odwrócił się do czarodzieja.

–Możliwe, że z trudem uda mi się zbierać kilka funtów złota, Magu – rzekł.

Przez kilka minut targowali się jak dwie przekupki, a Jim siedział drżąc z niecierpliwości. W końcu stanęło na czterech funtach złota, jednym funcie srebra i dużym porysowanym szmaragdzie.

–Załatwione! – stwierdził Carolinus.

Wydobył małą fiolkę i napełnił ją do połowy wodą z fontanny. Potem zaczął się bacznie przyglądać miękkiej trawie przy końcu jednego z klombów, aż dostrzegł małą dziurkę w piasku między delikatnymi zielonymi źdźbłami. Pochylił się nad nią, a smoki wyciągnęły szyję, by też popatrzeć.

–Teraz bądźcie cicho – ostrzegł Carolinus. – Chcę nawiązać kontakt z żukiem podwórzowym, a one są bardzo płochliwe. Nie oddychać.

Jim wstrzymał dech. Carolinus lekko przechylił fiolkę. Wyciekła z niej kropelka i spadła do małej dziurki w piasku, wydając przy tym pojedynczy, melodyjny dźwięk jak maleńki dzwoneczek.

Przez chwilę nic się nie działo, potem mokry piasek zamieszał się, zapadł, a ze środka sypnęło suchym, jaśniejszym piaskiem. Niewielka jego część utworzyła dołek, który coraz bardziej pogłębiał się. Przypominało to wejście do mrowiska. Raz po raz błyskały małe, czarne owadzie nóżki szybko poruszające się. Z dziury do połowy wysunął się dziwny czarny żuk. Do uszu Jima doszedł cichy, skrzypiący głosik.

–Uszedł do Twierdzy Loathly. Uszedł do Twierdzy Loathly. Uszedł do Twierdzy Loathly.

Zuk podwórzowy raptownie urwał i schował się do dziurki.

–Nie tak prędko – rzucił Carolinus. – Czy pozwoliłem ci odejść? Wiesz chyba, że nie tylko żuki podwórzowe żyją na tym świecie – są jeszcze padalce. Wyłaż natychmiast, mój panie!

Raz jeszcze piasek sypnął w górę. Znowu ukazał się żuk, niespokojnie przebierając w powietrzu przednimi nóżkami.

–No, dobrze – rzekł Carolinus. – Co jeszcze masz do przekazania?

–Kompani! – zaskrzypiał żuk podwórzowy. – Przyjaciele! Towarzysze! I znów się schował.

–Hmmm – mruknął w zamyśleniu Carolinus. – A więc ten twój Bryagh zabrał dziewicę do Twierdzy Loathly.

Smrgol głośno odchrząknął.

–To ta zrujnowana twierdza na zachód stąd, otoczona bagniskami, czyż nie tak, Magu? – spytał. – To przecież to samo miejsce, skąd, jak głosi wieść, pochodziła matka mojego olbrzyma z Zamku Gormely. I to samo miejsce, skąd przed pięciuset laty spadały klęski na błotne smoki.

Carolinus potaknął, ukrywając oczy pod gęstymi, białymi brwiami.

–Jest to miejsce od zamierzchłych czasów związane z magią – odparł. – Z Czarną Magią. Takie miejsca są jak zastarzałe wrzody na ziemi: na krótko za sklepiają się, by pęknąć od nowego zła wówczas, kiedy zachwiana zostaje równowaga pomiędzy Przypadkiem a Historią.

Mówił dalej w zadumie, bardziej do siebie niż do smoków.

–Właśnie tego się obawiałem. Ciemne Moce nie zwlekając przystąpiły do działania. Wasz Bryagh należy teraz do nich, nawet jeśli przedtem im nie służył. To one spowodowały, że uprowadził tam dziewicę w charakterze zakładnika i jako oręż przeciwko naszemu Gorbashowi. Dobrze się stało, że tak surowo obszedłem się z żukiem i wydostałem z niego całą informację.

–Całą informację? – jak echo powtórzył Jim, zaskoczony tym.

–Tak jest, pełną informację – Carolinus zwrócił się do niego zdecydowanym tonem. – Teraz, gdy już wiesz, gdzie przebywa dama twego serca, bez wątpienia nie możesz doczekać chwili, gdy podążysz na jej ratunek, nieprawdaż?

–Oczywiście – odpowiedział Jim.

–Oczywiście, że nie! – prychnął Carolinus. – Czyżbyś nie usłyszał drugiej części wiadomości? „Kompani”! Będziesz musiał znaleźć sobie towarzyszy, zanim odważysz się zbliżyć do twierdzy. W przeciwnym razie i ty, i twoja Angie jesteście zgubieni.

–Kim jest ta Angela? – spytał zdziwionym głosem Smrgol.

–Pani Angela, smoku – poprawił go Carolinus. – To jerzy rodzaju żeńskiego uprowadzony przez Bryagha do twierdzy.

–Aha! – trochę smutno westchnął Smrgol. – A więc to nie żadna księżniczka. No cóż, nie można mieć wszystkiego naraz. Ale dlaczego Gorbash chce wyruszyć jej na ratunek? Niech inni jerzy przybędą jej z pomocą, jeśli to konieczne.

–Jaja kocham! – z zapalem powiedział Jim.

–Kochasz ją? Ależ mój chłopcze – jęknął Smrgol z przerażeniem – w przeszłości tolerowałem wielu twoich dziwacznych znajomych – tego wilka i jemu podobnych. Ale zakochać się w Jerzym! Istnieje granica, której żaden przyzwoity smok...

–No, no, uspokój się, Smrgolu – rzekł zniecierpliwiony Carolinus. – Różne wątki splątały się w tej sprawie.

–Wątki...? Nie rozumiem, Magu.

–To złożona sytuacja, pochodna wielu czynników, zarazem oczywistych i niejasnych. Krótko mówiąc, twój stryjeczny wnuk Gorbash jest równocześnie, w innym tego słowa znaczeniu, mężczyzną zwanym Sir Jamesem z Riveroak, który zobowiązany jest odebrać swą damę Ciemnym Mocom z Twierdzy Loath-ly posługującym się obecnie Bryaghem. Inaczej mówiąc ten, którego znasz jako Gorbash, musi teraz podjąć się misji przywrócenia równowagi pomiędzy Przypadkiem a Historią. I nie twoją rzeczą jest krytykować lub przeciwstawiać się.

–Ani też rozumieć, przypuszczam – pokornie dodał Smrgol.

–Można to i tak określić – mruknął Carolinus. – W samej rzeczy, tak to określe! – głos mu nieco złagodniał. – Wszyscy zostaliśmy wciągnięci do nowej walki z podnoszącymi głowę Ciemnymi Mocami, Smrgolu. A będzie to walka, przy której twoja bójka z olbrzymem z Zamku Gormely wydaje się nieistotna. Możesz stać na uboczu, jeśli chcesz, ale nic nie możesz zrobić, by zmienić bieg nadchodzących wydarzeń.

–Stać na uboczu? Ja? – zirytował się Smrgol. – Za jakiego smoka mnie masz? Jestem z Gorbashem... i z tobą także, Magu, skoro jesteś po tej samej stronie co on. Powiedz mi tylko, co mam robić?

–Świetnie, Smrgolu. Wobec tego najlepiej będzie, jeśli wrócisz do pozostałych smoków i wytłumaczysz im, o jaką tu stawkę chodzi oraz jaką rolę odgrywa w tej sprawie Bryagh i ty. A co do ciebie... – zwrócił się do Jima.

–Ruszam do tej twierdzy bez względu na to, czy ci się to podoba, czy nie – rzekł Jim.

–Idź, a nigdy już nie ujrzysz swojej damy! – głos Carolinusa zabrzmiał jak wystrzał z karabinu. Oczy mu raz jeszcze zapłonęły. – Idź, a ja umyвам ręce od tego i wówczas nie ma dla ciebie nadziei.

Jim pokonał pierwszy impuls nakazujący mu natychmiastowy odlot. Może warto posłuchać, co Carolinus ma do powiedzenia.

–Wysłucham cię – odparł.

–A więc dobrze. Ciemne Moce uprowadziły twą damę do twierdzy właśnie po to, by ściągnąć cię na swoje terytorium, zanim zdobędziesz siły potrzebne do stawienia im oporu. Łudzą się, że natychmiast ruszysz na ratunek pani Angeli, a wówczas pokonanie cię nie sprawi im trudności. Lecz jeśli wstrzymasz się aż do chwili, kiedy zbierzesz kompanię, to nie ty, ale one mogą zostać pokonane. Dlatego byłbyś głupcem, gdybyś udał się tam teraz.

–A co stanie się z Angela, to jest z Angie, jeśli się zorientują, że nie ruszam po nią od razu? Dojdą do wniosku, że Angie nie na wiele się zda i może zrobią jej coś straszego...

–Nie zrobią! – krótko rzucił Carolinus. – Moce, przez fakt uwięzienia twej pani, nadwerężyły swe siły, wręcz odsłoniły swój słaby punkt. Jeżeli nie będą jej dobrze traktować, to wszyscy zjednoczą się przeciwko nim. Działają tu pewne reguły: gdybyś natychmiast pospieszył jej z pomocą, przegrałbyś na pewno, natomiast gdyby one skrzywdziły swego zakładnika, to z pewnością one by przegrały.

–Czy jesteś pewny, że nic się jej nie stanie, jeśli zaraz nie wyruszę do twierdzy? – spytał Jim.

–Stanie się, jeśli zaraz wyruszysz.

Z głębokim westchnieniem Jim dał za wygraną.

–Zgoda – powiedział. – Co więc mam robić? Dokąd mam się udać?

–Przed siebie! – odparł Carolinus. – To znaczy w kierunku przeciwnym, niż ten, który obrałeś, chcąc się dostać z powrotem do jaskini smoków.

–Ależ, Magu – wtrącił się zaskoczony Smrgol. – Kierunek przeciwny do jaskini oznacza dokładnie mokradła i Twierdzę Loathly, a przecież dopiero co powiedziałeś, że nie powinien tam zmierzać.

–Smoku – wykrzyknął Carolinus, obracając się twarzą do Smrgola. – Czy teraz muszę spierać się z tobą? Powiedziałem „przed siebie”. Nie powiedziałem „do twierdzy”. O, Moce, dajcie mi cierpliwości. Czy muszę wyjaśniać zawilosci Wyższej Magii każdej niemocie i tępej głowie, która tu przyleci? Pytam was?

–Nie! – przemówił tubalny głos wprost z powietrza.

–Ot, co! – z wyraźną ulgą sapnął Carolinus i przetarł skronie. – Sami słyszeliście odpowiedź Wydziału Kontroli. Ani jednego słowa więcej na ten temat. I tak mam ręce pełne roboty. Dalej, do jaskini smoków, Smrgolu. A ty, Gorbash, przed siebie, w przeciwnym kierunku.

Odwrócił się na pięcie, poszedł do domku i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

–Chodź, Gorbash! – zadudnił Smrgol. – Mag ma rację. Odprowadzę cię kawałek we właściwą stronę. No, któż by pomyślał, że u schyłku życia doczekam się tak interesujących czasów?

Kiwając w zadumie głową, sędziwy smok odbił się od ziemi z ogłuszającym łopotem rozpinanych skórzastych skrzydeł i coraz bardziej nabierał wysokości. Po chwili wahania Jim uczynił to samo.

## Rozdział 6

Właśnie tam zaczynają się mokradła! To ta zamglona, niebieskawa linia za lasem.

Smrgol urwał, gdy tylko opuścili prąd wznoszący i musieli użyć skrzydeł, by dotrzeć do następnego. Wiatr wiał wprost na nich.

Jim zauważył, że stary smok miał skłonność do milknięcia zawsze wtedy, gdy latanie wymagało zwiększonego wysiłku. Nadawało to jego wypowiedziom charakter nieco fragmentaryczny.

–W dzisiejszych czasach nie dzieje się na mokradłach nic, co mogłoby mieć jakieś znaczenie dla nas, smoków, ma się rozumieć. To znaczy z wyjątkiem...

–Smrgol przerwał, by dokończyć po chwili, gdy uniósł ich następny prąd – ... błotnych smoków. To nasi krewni. Naturalnie dalecy. Znalazłoby się pewnie piętnastu czy szesnastu twoich kuzynów wśród nich, choć może nie wiedzą nawet

o związkach rodzinnych. Nigdy nie stanowiły silnej gałęzi naszego rodu, a po tylu nieszczęściach, które na nie spadły, praktycznie rozproszyły się.

Smrgol zamilkł na chwilę, by odchrząknąć.

–Przystosowały się do życia w pojedynkę. Pośród tego błota i wody nie ma, rzecz jasna, żadnych przyzwoitych jaskiń. Jak sądzę, żywią się głównie rybami morskimi. Czasami zapięci się na te tereny jakiś piaszczomrok, jaszczurka morska albo zagubione kurczę. Aha! Na skraju mokradeł jest trochę poletek i podupa dłych gospodarstw. Od czasu do czasu można na nie napaść. Ale i one ucierpiały od złego uroku, a cały ich dobytek skarłał i niewart jest zachodu takich zdrowych smoków, jak ja lub ty, chłopcze. Ale, ale, doszły mnie nawet słuchy, iż niektóre ze spowinowaconych z nami błotnych smoków upadły tak nisko, że zaczęły od żywić się warzywami. Słyszałem wręcz o jednym, co jadał kapustę. Kapustę! Niewiarygodne...

Raz jeszcze musieli mocno uderzyć skrzydłami, aby osiągnąć następny prąd. Jim zorientował się, że stary smok jest bardzo zdyszany.

–Oto i bagna... Gorbash... – wysapał. – Nie trać głowy, mój chłopcze. Nie dopuść, by poniosła cię twa przyrodzona smocza wściekłość, i nie ma rady... Ale spisz się dzielnie... No cóż, chyba już zawrócę.

**-Tak – odparł Jim. – Tak chyba będzie lepiej. Dzięki za rady.**

–Nie dziękuj mi... chłopcze. Ja najmniej mogę uczynić dla ciebie. A więc... do zobaczenia...

–Do zobaczenia!

Jim patrzył, jak Smrgol skośnym lotem opadał w dół, aż natrafiwszy na prąd termiczny zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni. Jim przeniósł wzrok na leżący przed nim krajobraz.

W przeciwieństwie do iglastego lasu wokół Dźwięcznej Wody ten wyraźnie składał się z drzew liściastych, głównie dębów i wierzb. Wszystkie one były dziwnie огоłocone z liści, a ich gałęzie wyglądały na gruzowate i splątane. Nadawało to lasowi wyjątkowo posępny wygląd, jak gdyby dla odstraszenia wędrowca, który ośmieliłby się tu zapuścić pieszo. Jim odczuł ulgę, że może bezpiecznie nad nim przelecieć.

Radość, że unosi się w powietrzu, ogarnęła go w dużo większym stopniu, niż usprawiedliwiałoby to jego położenie. Nie miał przecież najmniejszego pojęcia, ku czemu zmierza; ale nie psuło mu to jakoś dobrego nastroju. Chciał wyruszyć do Twierdzy Loathly, lecz Carolinus ostro się temu sprzeciwił. I oto zbliżał się do niej mimo wszystko, lecąc zgodnie ze wskazówkami samego Carolinusa!

Dolatywał do skraju lasu. Dalej ciągnęły się już tylko zielone mokradła. Rozglądał się po okolicach w poszukiwaniu budowli, która mogłaby być Twierdzą Loathly, ale niczego nie wypatrzył. Bryza, która do tej pory wiała wprost na niego, raptownie ucichła i lekki wietrzyk dmuchnął mu w plecy. Rozłożył skrzydła i dał się ponieść wiatrowi. Mokradła zbliżały się. W oddali, nad zachodnim wybrzeżem, zbierały się ciężkie chmury.

Jim żeglował w przestworzach ponad spokojną wodą i miękką trawą, wdychając daleki zapach słonej wody. Niespokojnie spoglądał na zachodzące słońce. Wkrótce zapadnie zmrok. Był głodny i nie miał zielonego pojęcia, co zrobić, gdy się ściemni. Zdecydowanie nie powinien kontynuować lotu. Mógłby przecież zderzyć się z ziemią, nie zauważwszy jej po ciemku, a to nie należałoby do przyjemności. Nie byłoby również rzeczą miłą, gdyby przy pełnej szybkości wpadł do jednej z zatoczek lub stawów. Mógł także wylądować na ziemi i dalej wędrować pieszo, ale prawdopodobnie napotkałby po drodze trzęsawiska.

Najrozsądniej byłoby, pomyślał, spędzić noc na jednej z wysepek. Nie była to jednak miła perspektywa. Tam, w dole, niczym nie osłonięty stanowiłby łatwy cel ataku.

Wtem zdał sobie sprawę, że myśli jak człowiek, a nie smok. Jakaż istota przy zdrowych zmysłach mogłaby zaatakować smoka? Może z wyjątkiem rycerza w pełnym rynsztunku. A jakiej zdobyczy rycerz w pełnym rynsztunku szukałby po ciemku? Może więc inny smok? Jeśli wierzyć opowieściom Smrgola o błotnych smokach, to jedynym smokiem, którego mógł się obawiać w tych stronach, był Bryagh. Bryagh zaś popełniłby wielki błąd, gdyby zbliżył się do niego teraz, kiedy Jim był w takim nastroju.

W rzeczy samej Jim niczego bardziej nie pragnął, niż zatopić kły i pazury w ciele Bryagha. Poczł, jak gdzieś w okolicy serca zaczyna się w nim rozpałać nieubłagany, tępy gniew. Uczucie to nie było mu niemiłe. Pozwolił, by rozpałało się coraz mocniej, aż nagle zrozumiał, że nie jest to już gniew człowieka, lecz smoka. Być może to miał właśnie na myśli Smrgol, kiedy przestrzegał go, by nie dał się ponieść smoczej wściekłości.

Uczył ogromny wysiłek, by się opanować. Nagle dostrzegł sylwetkę innego smoka.

–Bryagh! – wycharczał przez zaciśnięte gardło, nieoczekiwanie dla samego siebie.

Odruchowo zanurkował pionowo jak samolot myśliwski, nie odrywając wzroku od swej ofiary.

Manewr ten wykonał bardzo zwinnie. Niestety, nie przewidział jednego. Nawet całkiem mały samolocik turystyczny z wyłączonym silnikiem pikując czyni dużo hałasu; a co dopiero smok tak ogromnych rozmiarów jak Gorbash. W dodatku smokowi w dole najwyraźniej odgłos ten nie wydawał się obcy; nie patrząc nawet w górę dał susa i przekoziółkował w bok. W tym momencie Jim z łoskotem spadł na ziemię w miejscu, gdzie jeszcze przed sekunda znajdował się tamten.

Zaskoczony smok usiadł, spojrział na Jima i zaczął zawodzić:

–To nieuczciwe! To nieuczciwe! – jego głos brzmiał wyjątkowo piskliwie jak na smoka. – Tylko dlatego, że jesteś większy ode mnie! A ja musiałem walczyć o nią przez dwie godziny. Sześć razy prawie mi uciekła. Od miesięcy jest to pierwsza niezła sztuka, jaka zabłądziła na te mokradła, a teraz ty mi ją chcesz odebrać. Przecież nie potrzebujesz jej! Jesteś wielki i tłusty, a ja jestem słaby i głodny.

Jim zamrugął ze zdziwienia oczami, utkwiał wzrok w smoku, a potem w przedmiocie wystającym z trawy tuż przed nim. Było to ścierwo raczej starej i łykowatej krowy, z przetrąconym karkiem, mocno nadgryzione. Znowu spojrział na drugiego smoka i zauważył, że tamten jest prawie dwa razy mniejszy i tak wymizerowany, iż zdawał się lada chwila paść z wycieńczenia.

–... takie już mam szczęście! – pochlipywał tamten. – Zawsze, kiedy zdobędę coś smacznego, ktoś inny przyjdzie i mi zabierze. Wszystko, co udaje mi się zjeść, to ryby...

–Przestań! – rzekł Jim.

–...ryby, ryby, ryby! Zimne ryby, bez kropli ciepłej krwi, która ogrzałaby me kości...

–Przestań, mówię. ZAMILCZ! – ryknął Jim donośnym, nawet jak na Gor-basha, głosem.

Drugi smok urwał równie nagle, jak gramofon po wyciągnięciu wtyczki z kontaktu.

–Tak, panie – powiedział bojaźliwie.



–O czym ty mówisz? Wcale nie zamierzam zabrać ci tej krowy.

–Oczywiście, że nie – odparł smok i zachichotał, jakby chcąc dowieść, że zna się na dowcipach.

–Naprawdę nie.

–Ha, ha, ha! – zaśmiał się mały smok. – Ale z was żartowniś, panie.

–Do licha, mówię poważnie! – warknął Jim, odsuwając się. – Proszę bardzo, jedz! Wzięłem cię po prostu za kogoś innego.

–Och, ależ ja jej nie chcę! Naprawdę nie! Żartowałem tylko...

–Słuchaj – rzekł Jim, starając się powściągnąć swój smoczy gniew, który znów w nim wzbierał – jak ci na imię?

–No, tak – zaczął tamten. – No, cóż, to znaczy...

–**JAK CI NA IMIĘ?**

–Secoh, czcigodny panie! – zaskamlał ze strachu smok. – Po prostu Secoh, nic ponadto. Nie jestem nikim ważnym, wasza wysokość. Tylko małym, nic nie znaczącym błotnym smokiem.

–Nie musisz mnie tak usilnie zapewniać o tym – powiedział Jim. – Wierzę ci. W porządku, Secoh – machnął w kierunku martwej krowy – bierz się do niej. Sam nic nie chcę, ale może udzielisz mi kilku wskazówek i informacji o tych terenach i ich mieszkańcach.

–A więc... – Secoh zawahał się. Podczas rozmowy chyłkiem przesunął się coraz bliżej i bliżej, łaszcząc się jak pies, aż wreszcie raz jeszcze znalazł się prawie przy samej krowie.

–Proszę, wybaczone mi, panie, brak ogłady w jedzeniu. Jestem tylko błotnym smokiem... – i nagle rzucił się żarłocznie na leżące przed nim mięso.

Jim przyglądał się. W pierwszym odruchu współczucia postanowił dać tamtemu zjeść trochę, zanim nakłoni go do mówienia. Ale, gdy tak siedział i obserwował, jego też zaczęło z głodu ssać w żołądku. Nagle głośno zaburczało mu w brzuchu. Utkwił wzrok w poszarpanym krowim ścierwie i próbował wmawiać sobie, że nie jest to jedzenie odpowiednie dla cywilizowanego człowieka. Surowe mięso zwierzęcia – ciało, kości, krew i reszta...

–Wiesz – Jim odchrząknął i przysunął się bliżej – pomimo wszystko to naprawdę wygląda smakowicie.

Powtórnie zaburczało mu w brzuchu. Najwidoczniej jego smocze ciało nie podzielało żadnego z jego ludzkich skrupułów, czy to, na co spoglądał, nadawało się do jedzenia czy też nie.

–Secoh?

Smok niechętnie podniósł łeb nie przestając jednocześnie żuć i łykać w pośpiechu.

–Ej, Secoh! Jestem obcy w tych stronach – przypuszczam, że ty znasz tu każdy kąt... Ja... słuchaj, jak smakuje ta krowa?

–Och, wstrętna... Fu! – odpowiedział Secoh z pełną paszczą. – Łykowata, stara, naprawdę wstrętna. Odpowiednia dla takiego jak ja błotnego smoka, ale nie dla...

–A zatem, jeśli chodzi o te wskazówki, na których mi zależy...

–Słucham, czcigodny panie.

–Sądzę, że... No trudno, to twoja krowa.

–Obiecałeś mi, dostojny panie – odpowiedział ostrożnie Secoh.

–Wiesz, jednak ciekaw jestem, jak ta krowa może smakować. Czy możesz wyobrazić sobie, że nigdy jeszcze nie próbowałem czegoś podobnego? – uśmiechnął się porozumiewawczo.

–Nie, panie. – W oku Secoha zalśniła duża łza i potoczyła się na trawę.

–W rzeczy samej. Czy miałbyś coś przeciwko temu, bym jej tylko spróbował?

Następna duża łza spłynęła po policzku Secoha.

–Skoro... skoro dostojny pan tego pragnie – rzekł zdławionym głosem – proszę... proszę się poczęstować.

–Dziękuję – odparł Jim.

Podszedł i na próbę wbił zęby w łopatkę. Na języku poczuł ciepło pożywnego, soczystego mięsa...

W jakiś czas później obaj z Secohem kończyli wygładzanie kości swymi chropowatymi, rozwidlonymi językami, które szlifowały lepiej niż najostrzejszy papier ścierny. Wreszcie wyprostowali się.

–Czy nie starczyło dla ciebie mięsa, Secoh? – spytał Jim.

–Aż nadto starczyło, panie – odpowiedział błotny smok, wpatrując się w ogołocony szkielet pożądlwym i wygłodniałym wzrokiem. – Lecz jeślibyś, dostojny panie, nie sprzeciwił się, to mam słabość do szpiku...

Podniósł kość udową i zaczął ją chrupać jak landrynkę.

–Jutro wytropimy inną krowę i ją dla ciebie zabiję – rzekł Jim. – Będzie tylko twoja.

–Och, dziękuję ci, dostojny panie – odrzekł Secoh uprzejmie, acz bez przekonania.

–Mówię poważnie. No dobrze, a teraz przejdźmy do sprawy Twierdzy Lo-athly, gdzie ona jest?

–C... co t... takiego? – wyjąkał Secoh.

–Twierdza Loathly! Wiesz przecież, gdzie się znajduje, prawda?

–Ależ tak, panie. Dostojny pan nie chce jednak tam pójść, nieprawdaż, wasza czcigodność? Nie, żebym ośmielał się radzić dostojnemu panu... – i nagle Secoh krzyknął z przerażenia.

–Skądże znowu. Mów dalej – uspokoił go Jim.

–Jestem tylko małym, lęklwym, błotnym smokiem, wasza dostojność. Nie tak jak ty. Ale Twierdza Loathly to straszne miejsce, szlachetny panie.

–Jak bardzo straszne?

–Po prostu... no, po prostu straszne. – Secoh powiódł dookoła żalonym wzrokiem. – To ona zniszczyła nas pięćset lat temu. Wyglądaliśmy wówczas tak jak wy, inne smoki – och nie, nie tak duże i groźne jak ty, panie, rzecz jasna. A potem, już po wszystkim, powiadano, że Ciemne Moce znów zostały zepchnięte do swego siedliska i szczelnie się tam zamknęły, a sama twierdza rozpadła się i zamieniła w ruiny. Nie pomogło to jednak nam, błotnym smokom.

Wszyscy inni zwyczajnie rozeszli się do domów i zostawili nas takimi, jakimi się wtedy staliśmy. Teraz chyba sprawy mają się nieźle. Ale mimo to nie zbliżałbym się tam, gdybym był tobą, miłościwy panie. Za nic bym tego nie uczynił.

–Lecz co w niej jest aż tak straszego? – nie dawał za wygraną Jim.

–No cóż, nic konkretnego – odparł Secoh ostrożnie. – Nic, czego czcigodny pan mógłby dotknąć swym pazurem. Tyle tylko, że jeśli ktokolwiek lub cokolwiek znajdzie się w pobliżu niej – będąc przybyszem z zewnątrz, oczywiście – pada jej ofiarą. Czasami dziwne rzeczy zdają się brać swój początek właśnie z niej, a ostatnio...

Secoh urwał i zdawał się bardzo pochłonięty grzebaniem wśród krowich kości.

–Co ostatnio?

–Nic, doprawdy nic, wasza ekscelencjo! – wykrzyknął Secoh nieco piskliwie, skoczywszy na równe nogi. – Wasza znakomitość nie powinien tak chwytać za słowa małego, błotnego smoka. My nie jesteśmy zbyt błyskotliwi. Miałem na myśli tylko to, że ostatnio twierdza stała się bardziej przerażająca niż kiedykolwiek przedtem. Nikt nie wie dlaczego. I wszyscy trzymamy się od niej z daleka.

–Prawdopodobnie to tylko twoja wyobraźnia – rzekł krótko Jim. Z natury był sceptykiem i pomimo że ten dziwny świat w istocie pełen był różnorodnych odstępstw od normalnego biegu rzeczy, jego rozum instynktownie buntował się przed zbytnią wiarą w sprawy nadprzyrodzone.

–Co wiemy, to wiemy – stwierdził z niezwykłym uporem błotny smok. Wyciągnął przed siebie uschniętą przednią łapę. – Czy to też jest tylko wyobraźnia?

Jim mruknął coś w odpowiedzi. Szare resztki światła dziennego działały na niego kojąco. Poczul się odrętwiały i ospały.

–Chyba się trochę prześpię – powiedział. – W każdym razie, jak mam znaleźć Twierdzę Loathly?

–Musisz, panie, posuwać się na zachód, a na pewno jej nie przeoczysz.

W ostatnich słowach błotnego smoka dało się słyszeć drzenie, ale Jim był zbyt senny, aby się tym przejąć. Jakby z oddali docierały do niego dalsze słowa Secoha!

–Leży ona daleko na Wielkiej Grobli. Jest to szeroki wał stałego lądu przecinający mokradła ze wschodu na zachód i prowadzący aż do morza. Wystarczy nią iść, a dojdzie się do samej twierdzy. Stoi ona na skalnym wzniesieniu na skraju oceanu.

–Tak, ale najpierw się prześpię – zamruczał Jim. Wygodnie ułożył się na trawie. Wiedziony smoczym instynktem odchylił do tyłu swą długą szyję i wetknął głowę pod skrzydło.

–No, to do rana, Secoh.

–Jak sobie wasza ekscelencja życzy – odpowiedział cicho błotny smok. – Usiądę sobie o, tutaj i gdyby czcigodny pan mnie potrzebował, wystarczy tylko zawołać, a ja natychmiast się zjawię.

Jimowi słowa te wydawały się coraz cichsze, a on sam zapadał w sen.

## Rozdział 7

Kiedy znów otworzył oczy, słońce wznosiło się wysoko nad horyzontem. Jim uniósł się, ziewnął i przetarł oczy.

Secoha nie było. Razem z nim zniknęły resztki wczorajszego posiłku. Jim uczył nagły przypływ złości. Liczył na wyciągnięcie z błotnego smoka większej ilości szczegółów na temat mokradel.

Podszedł do jeziora i zaczął pić; nasyciwszy się wreszcie, popatrzył na zachód w kierunku zamglonej linii morza i rozpostarł skrzydła...

–Aj! – krzyknął.

Ta pierwsza próba rozpięcia skrzydeł sprawiła, że poczuł, jakby kilka ostrych noży kłuło go w mięśniach, których posiadania doświadczył dopiero w ciele Gorbasha. I tak jak każdy, kto nagle przemęczył swe nie przyzwyczajone do wysiłku mięśnie, był sztywny jak drewno.

Wydało mu się to wszystko zjadliwą ironią. Przez dwadzieścia sześć lat dawał sobie całkiem nieźle radę bez skrzydeł, a teraz, zaledwie po jednym dniu latania, wpada w złość, ponieważ zmuszony jest poruszać się pieszo. Odwrócił się ku morzu i ruszył lądowym szlakiem.

Niestety, nie był to szlak wiodący prosto. Instynktownie starał się wędrować przede wszystkim suchym lądem, często jednak musiał przeskakiwać niewielkie rowy – odruchowo rozkładał wówczas skrzydła, co wywoływało nowy ból w zdrętwiałych mięśniach – a raz czy dwa musiał nawet przepłynąć jeziorko zbyt szerokie, by je przeskoczyć. To mu uzmysłowiło, dlaczego smoki wolą chodzić lub fruwać niż pływać. Jeśli nie wykonywał w wodzie rozpaczliwych niemal ruchów, tonął. Jim zauważył, że ciało Gorbasha histerycznie bało się, że woda może wlać mu się do nosa. Dotarł wreszcie do szerokiego pasa suchego lądu, przypuszczalnie Wielkiej Grobli, o której mówił Secoh. Nie przypominała ona niczego, co dotąd widział na mokradłach i. jakby na potwierdzenie jego domysłów, jak okiem sięgnąć biegła prosto na zachód.

Jim wyszedł na trawę i w słońcu legł na brzuchu. Pobliskie drzewo ocieniało mu oczy, żar bijący z nieba działał kojąco na zeszywniałe mięśnie, a trawa była miękka. Na marszu i pływaniu zeszła mu większa część ranka, a teraz południowy spokój niósł ze sobą chwile wytchnienia. Było mu dobrze. Zapadł w drzemkę.

Obudził go czyjś śpiew. Podniósł głowę i rozejrzał się dokoła. Ktoś nadchodził groblą. Do uszu Jima doleciał głuchy stukot końskich kopyt, pobrząkiwanie metalu, skrzypienie skór, lecz nade wszystko piękny baryton raźnie wyśpiewujący jakąś wesołą piosenką. Jim nie dosłyszał początkowych zwrotek, za to wyraźnie doszedł go teraz jej refren:

*Wzrok bystry, ostry włócznie grot, I miecz, co nie zawodzi. Pierzchajcie smoki do swych błot. Gdy Neville-Smythe nadchodzi!*

Miał wrażenie, że słyszał już gdzieś przedtem tę melodię. Wciąż jeszcze zastanawiał się, czy znają rzeczywiście, czy też nie, kiedy nagle rozległ się trzask łamanych gałęzi. Zobaczył mężczyznę w pełnej zbroi, z podniesioną przyłbicą i szkarłatnym proporcem łopoczącym tuż poniżej ostrza sterczącej w górę kopii. Dosiadał dużego, nieco przyciężkiego, białego rumaka.

Zaintrygowany Jim uniósł się.

Mężczyzna na koniu natychmiast go dostrzegł. Przyłbica opadła ze szczękiem, dłoń odziana w stalową rękawicę jednym ruchem pochwyciła długą kopię, błysnęły złote ostrogi i biały koń ruszył ciężkim galopem prosto na Jima.

–Neville-Smythe! Neville-Smythe! – ryknął mężczyzna głosem stłumionym przez hełm.

Instynkt zwyciężył w Jimie. Natychmiast wzbił się w powietrze, całkiem zapomniawszy o obolałych skrzydłach, i właśnie miał rzucić się na pędzącą postać, gdy w ostatniej chwili, powodowany głosem rozsądku, opadł na wierzchołek drzewa.

Rycerz gwałtownie zatrzymał konia pod tym samym drzewem, spojrzął w górę i napotkał utkwiony w sobie wzrok Jima. Drzewo wydawało się dość rozłożyste, gdy Jim znajdował się na ziemi, ale teraz, kiedy siedział na jego wierzchołku, gałęzie trzeszczały złowieszczo. Jednocześnie odległość, jaka dzieliła go od napastnika, nie była tak duża, jakby sobie tego Jim życzył.

–Złaź na dół! – odezwał się rycerz.

–Nie, dziękuję – odrzekł Jim, trzymając się kurczowo pazurami i ogonem pnia drzewa.

Po słowach tych zapadła cisza, podczas której obaj analizowali powstałą sytuację.

–Przeklęty błotny smok – powiedział w końcu rycerz.

–Nie jestem błotnym smokiem.

–Nie pleć bzdur!

–Wcale nie plotę.

–Jasne, że jesteś.

–Mówię ci, że nie! – rzekł Jim, czując jednocześnie, jak znów wzbiera w nim gniew. Opanował się jednak i już spokojnie przemówił:

–Założę się, że nawet nie zgadniesz, kim jestem naprawdę.

Rycerz nie wydawał się zainteresowany zgadywaniem. Stał wyprostowany w strzemiach i przez gałęzie usiłował dosięgnąć Jima kopią, lecz jej ostrzu zabrakło dobrych czterech stóp.

–Psiakrew! – zaklął rycerz, wyraźnie rozczarowany.

Opuścił kopię i zamyślił się na chwilę.

–Jeśli zdejmę zbroję – mówił dalej, jakby do siebie – będę mógł wspiąć się na to diabelne drzewo. Ale co zrobię, jeśli on sfrunie na dół i ostatecznie będę musiał walczyć z nim na tym cholernym, otwartym polu?

–Słuchaj – zawołał Jim. – Jestem gotów zejść na dół, ale najpierw musisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia.

Rycerz rozważał jego słowa.

–W porządku – rzekł wreszcie. Potrząsnął ostrzegawczo kopią w stronę Jima. – Ale żadnych błagań o litość! I tak ich nie wysłucham! Tego, do kroćset, nie ma w mojej przysiędze. Wdowy i sieroty, duchowni i mniszki, a także szlachetni wrogowie poddający się na polu bitwy – to co innego. Ale nie smoki.

–Nie, nic z tych rzeczy – zapewnił Jim. – Chcę cię tylko przekonać, kim naprawdę jestem.

–Nic mnie to nie obchodzi.

–Ale będzie obchodzić – stwierdził Jim – ponieważ tak naprawdę wcale nie jestem smokiem. Rzucony został na mnie... czar, który sprawił, że wyglądam jak smok.

–Prawdopodobna historia.

–Istotnie! – Jim wpijał pazury w pień drzewa, ale kora płatami odpadała pod jego uściskiem. – Jestem człowiekiem, tak samo jak ty. Czy znasz czarodzieja S. Carolinusa?

–Słyszałem o nim – odburknął rycerz. – Któż by o nim nie słyszał? Przypuszczam, że będziesz utrzymywał, iż to on właśnie cię zaczarował.

–Bynajmniej. On przywróci mi prawdziwą postać, jak tylko uda mi się odnaleźć damę... z którą jestem zaręczony. Została porwana przez prawdziwego smoka. Przypatrz mi się. Czy podobny jestem do jednego z tych twoich zwyczajnych błotnych smoków?

Rycerz obrzucił go uważnym spojrzeniem.

–Hm – zaczął, pocierając w zadumie swój haczykowany nos. – Kiedy się nad tym zastanowić, to jesteś półtora raza większy.

–Carolinus odkrył, że moja pani uprowadzona została do Twierdzy Loathly. Kazał mi znaleźć sobie towarzyszy, abym razem z nimi mógł ją uratować.

Rycerz stał z wlepionymi w Jima oczami.

–Do Twierdzy Loathly? – powtórzył niczym echo.

–Nie inaczej.

–Nigdy przedtem nie słyszałem ani o smoku, ani o nikim innym, kto będąc przy zdrowych zmysłach chciałby udać się do Twierdzy Loathly. Sam też nie mam ochoty tam iść. Na Boga, jeżeli jesteś smokiem, to masz stalowe nerwy!

–Przecież nie jestem – odparł Jim. – I dlatego mam, hm, stalowe nerwy. Jestem człowiekiem honoru tak jak ty, zdecydowanym bronić pani, którą kocham.

–Którą kochasz? – rycerz sięgnął do skórzanej torby przy siodle, wyciągnął z niej kawałek białego materiału i wytarł nos. – Doprawdy, to wzruszające. Kochasz tę swoją pannę?

–Czy rycerz może nie kochać swej pani?

–No cóż... – tamten schował chustkę z powrotem. – Jedni kochają, drudzy nie, taka już w dzisiejszych czasach polityka. Aleja, widzisz, ja także kocham swoją panią.

–Wobec tego – stwierdził Jim – tym bardziej nie powinieneś mi przeszkadzać.

Rycerz popadł w stan, który u niego w sposób oczywisty oznaczał zadumę.

–A skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? – wyrzekł w końcu. – Prze klęte smoki zdolne są do każdego kłamstwa.

Jimowi nagle przyszedł do głowy pomysł.

–Uważaj, co ci powiem. Unieś swój miecz ostrzem do ziemi. Przysięgnę na krzyż rękojęści, że wszystko, co mówię, jest prawdą.

–Lecz jeśli jesteś smokiem, to jakie to może mieć znaczenie? Do licha, przecież smoki nie mają duszy!

–Masz rację – skontrował Jim. – Ale mają każdy chrześcijanin, a ja jako chrześcijanin nie odważyłbym się na krzywoprzysięstwo!

Jim widział, jak przez dłuższą chwilę rycerz usilnie starał się uporać z tą przewrotną argumentacją. Ostatecznie dał za wygraną.

–No, dobrze – powiedział, uniósł miecz, trzymając go za ostrze i pozwolił Jimowi przysiąc.

Potem schował miecz do pochwy, a Jim zwolnił uścisk i pół skoczywszy, pół spadłszy, znalazł się na ziemi.

–Być może... – zaczął ponuro rycerz, wpatrując się w Jima, gdy ten stał na tylnych łapach. – Pewnego razu, a było to w dniu świętego Michała, pojawił się w zamku pielgrzym w habicie franciszkańskim i zanim odszedł, nauczył mnie pewnego rymu:

*Darzyć ci w boju będzie los, Gdy w zbożnej sprawie zadasz cios.*

Ale nie wiem, jaki to ma związek.

–Nie wiesz? – spytał Jim, myśląc pospiesznie. – Dla mnie to oczywiste. Ponieważ zdecydowany jestem wybawić moją panią, gdybyś usiłował mnie zabić, to twoja sprawa nie byłaby zbożna. A więc los nie darzyłby ci.

–Na świętego Jana! – wykrzyknął z podziwem rycerz. – Oczywiście! A ja dzisiaj myślałem, że wyruszam na poszukiwanie tylko jakiegoś zwyczajnego błotnego smoka. Co za traf! Pewien jesteś, że twoja sprawa jest słuszna? Można chyba przypuścić, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości?

–Naturalnie, że nie – chłodno stwierdził Jim.

–No to mam doprawdy szczęście. Będę musiał prosić mą panią o pozwolenie, ma się rozumieć, skoro w grę wchodzi inna białogłowa. Ale nie wyobrażam sobie, by mogła mieć coś przeciwko takiej okazji. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli się teraz przedstawimy, skoro nie ma w pobliżu nikogo, kto mógłby to za nas uczynić. Zakładam, że znasz mój herb?

Obrócił tarczę tak, by Jim sam mógł mu się przyjrzeć: na czerwonym tle widniało duże srebrne X, niczym leżący na boku krzyż, pod nim zaś namalowane było czarne, fantazyjne zwierzę, umieszczone na trójkątnym tle między dolnymi ramionami X.

–Srebrny krzyż świętego Andrzeja na czerwonym polu – ciągnął rycerz

–to, rzecz jasna, herb Neville'ów. Mój pradziad, jako młodszy z braci, dla od różnienia dodał czarnego jelenia. Ja, naturalnie, bezpośrednio wywodzę się z tej linii.

–NevilleSmythe – rzekł Jim, przypomniawszy sobie imię z dopiero co zasłyszanej piosenki, a także wszystko, co zapamiętał na temat heraldyki. – A ja noszę... to znaczy w moim prawdziwym wcieleniu...

–Z pewnością, panie – przytaknął Neville-Smythe.

–W czerwonym polu srebrny długopis na czarnym biurku. Sir James Eckert, szlachcic rycerskiego stanu. – Jim przypomniał sobie coś, o czym napomknął Carolinus w rozmowie z Smrgolem na jego temat, i postanowił to wykorzystać, by dodać sobie nieco powagi. – Baron Riveroak. Mam honor poznać pana, sir Brianie.

NevilleSmythe zdjął z głowy hełm, zawiesił na przednim łęku siodła i poskrobał się z zakłopotaniem w głowę.

–Długopis... – mrucał do siebie sir Brian. – Długopis...?

–Hm, to tamtejszy zwierz, trochę podobny do gryfa – pospieszył z wyjaśnieniem Jim. – Mnóstwo ich żyje w Riveroak, to jest w Ameryce, zamorskim kraju na zachód stąd. Prawdopodobnie nie słyszałeś nawet o nim.

–A niech mnie diabli porwą, jeśli słyszałem – otwarcie przyznał sir Brian.

–Czy to tam cię zaczarowano?

–Och, i tak, i nie – odparł ostrożnie Jim. – To czary sprawiły, że znalazłem się tutaj. To samo przytrafiło się pani... Angeli. A kiedy już ocknąłem się, odkryłem, że zostałem zamieniony w smoka.



–Naprawdę? – jasnoniebieskie oczy Briana miały zadziwiająco niewinny wyraz w porównaniu z ogorzałą i pokrytą bliznami twarzą. – Angela, he? Nadobne imię.

–Równie nadobne, jak ona sama – rzekł Jim uroczyście.

–Nie może być, sir Jamesie! Powinniśmy chyba zmierzyć się teraz, każdy w imieniu swojej damy, zanim nie poznamy się tak dobrze, że będzie już za późno.

Jim tylko przełknął ślinę.

–Opowiadałeś mi o swej pani. – Jak jej na imię?

–Pani Geronde – sir Brian zaczął grzebać w torbach przy siodle. – Mam gdzieś tutaj podarunek otrzymany od niej na znak przychylności. Noszę go na ramieniu, naturalnie, jeśli spodziewam się kogoś spotkać. Zaraz, zaraz... Musi być o tu, pod ręką...

–Wystarczy, jeżeli opowiesz mi, jak to wygląda – zaproponował Jim.

–No, dobrze – sir Brian zrezygnował z poszukiwań. – Jest to chusteczka zdobna w monogram „G. d’C.” – szlachetna Geronde Isabel de Chaney, obecnie pani na Zamku Malvern. Na Zielone Świątki minęły trzy lata bez pięciu dni, jak jej ojciec, sir Orin, wyruszył na wojnę przeciw Saracenom i od tamtej pory wszelki słuch po nim zaginął. Gdyby nie to i gdyby nie fakt, że muszę uganiać się po okolicy dla zdobycia sławy i tak dalej, dawno byłibyśmy już małżeństwem.

–Czemu więc to robisz? Mam na myśli włóczenie się po okolicy – spytał zaintrygowany Jim.

–Mój Boże, to Geronde nalega na to! Chce ona, abym po naszym ślubie był całkiem bezpieczny.

Ta część ich rozmowy okazała się dla Jima niezbyt zrozumiała, czego nie ukrywał.

–A jak wy, ludzie zamorscy, radzicie sobie w tych sprawach? – zapytał z kolei sir Brian. – Jako mężczyzna żonaty i właściciel dóbr ziemskich zobowiązany jestem wystawić swoją własną chorągiew, jeśli mój senior albo król wezwie mnie do służby wojennej. Jeżeli nie zdobędę przedtem rozgłosu, to wyruszę ze swych włości na czele bandy obszarpanych prostaków i niedołęgów – moich poddanych. Oni przy pierwszej lepszej okazji daliby drapaką na sam widok dobrze wyszkolonego wojska. Nie pozostałoby mi wówczas nic innego niż śmierć na polu bitwy w imię honoru. Natomiast gdy zdobędę sławę niezgorszego wojownika, to wielu dobrych, doświadczonych w boju mężów zgłosi się do mnie. wręcz pragnąc służyć pod moim sztandarem. Będą przekonani (co zrozumiałe), że ich nie zawiodę. A tym samym i oni mnie nie zawiodą.

–Ach, tak – potaknął Jim.

–A poza tym – ciągnął sir Brian w zamyśleniu – takie jeżdżenie po okolicy naprawdę utrzymuje człowieka w formie, chociaż błotne smoki nie dostarczają porządnego treningu. Dlatego też wiele sobie w pierwszej chwili po tobie obiecywałem. Nie wypada wprawiać się na sąsiadach, chyba sam rozumiesz. Zbyt wiele

jest okazji, by wpaść w gniew i waśń gotowa.

–Rozumiem – przytaknął Jim.

–A mimo to – rozjaśnił się nagle sir Brian – wszystko dobre, co się dobrze kończy. Ta wyprawa na odsiecz twej pani z pewnością znaczy dla mej reputacji tyle co dwanaście błotnych smoków. Ale przedtem muszę uzyskać pozwolenie Geronde. Na szczęście Zamek Malvern odległy jest zaledwie o półtora dnia jazdy stąd. Niestety, tylko z krótką przerwą na sen. Czy nie powinniśmy wyruszyć natychmiast?

–Jak to wyruszyć?

–W podróż. Czyli pokonywać odległość, sir Jamesie! – Brian popatrzył przymrużonymi oczami w słońce. – Pozostało nam dziś tylko jakieś pół dnia do nastania mroku. To oznacza, że nie ujrzymy bram Zamku Malvern wcześniej niż w południe drugiego dnia. No więc, ruszamy?

–Chwileczkę! Mówisz tak, jakbyśmy obaj mieli udać się do Zamku Malvern. Dlaczego?

–Mój panie, przecież tłumaczyłem dlaczego – odpowiedział zniecierpliwiony sir Brian, ściągnąwszy koniowi wodze tak, że ten zmuszony był zwrócić się na wschód. – Pani Geronde musi wpierw wyrazić zgodę. Ostatecznie moje powinności względem niej stoją na pierwszym miejscu.

Jim wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

–Wciąż nie pojmuję – wyrzekł w końcu. – Zgodę na co?

Lecz koń Briana już kłusował w stronę zamku. Jim popędził więc za nimi.

–Zgodę na co? – dopytywał się.

–Sir Jamesie – Brian gwałtownie odwrócił głowę, aby spojrzeć Jimowi prosto w oczy -jeśli to przedłużające się wypytywanie jest jedynie jakimś żartem, to w nie najlepszym stylu. Po cóż bym prosił mą panią o zgodę, jeśli nie po to, by uczestniczyć w twej wyprawie i zostać jednym z twoich towarzyszy?

## Rozdział 8

Posuwali się naprzód w milczeniu, jeden obok drugiego. Brian z zasznurowanymi ustami i nieco urażoną miną wpatrywał się w rozciągającą się przed nimi dal. Jim usiłował pogodzić się z myślą, że rycerz będzie jego Towarzyszem.

Tak naprawdę nie zwrócił większej uwagi na słowa Carolinusa, gdy ten powtarzał, że Jim ma zabrać Towarzyszy, przy których pomocy uwolniłby Angie i stawił czoło Ciemnym Mocom. A jeśli nawet zastanawiał się nad tym, to raczej wyobrażał sobie, że to on będzie ich wybierał. Nie sądził, by oni sami mogli narzucać mu swe towarzystwo.

Całe szczęście, że najprawdopodobniej Brian jako Towarzysz nie będzie ciężarem. Nie brakło mu odwagi, to jasne, a jego wygląd wskazywał na pewne doświadczenie w walce. Lecz jaki był poza tym, Jim właściwie nie wiedział. Nie wiedział nic, z wyjątkiem imienia, herbu i paru szczegółów o jego pani.

Z drugiej jednak strony, czy rozsądnie było darowanemu koniowi zaglądać w zęby? Carolinus mówił o jakichś siłach, których działanie doprowadzi do podziału mieszkańców tego świata na dwa obozy; na tych, co współdziałają z Ciemnymi

**Mocami, oraz tych, co -jak Jim – zwalczają je.**

**Brian przyłączył się do Jima, dlatego też z założenia jest w obozie zwalczającym Ciemne Moce.**

**Jim otrząsnął się ze swych myśli i nagle uświadomił sobie, że rycerz wciąż jedzie obok niego sztywny i naburmuszony. Przeprosiny były nieodzowne.**

**–Sir Brianie – wybąkał Jim. – Wybacz mi, że nie od razu zrozumiałem, iż ofiarowujesz się zostać mym Towarzyszem. Kłopot w tym, iż inaczej by to wyglądało tam, skąd pochodzę.**

**–Bez wątpienia – odrzekł sir Brian bez cienia uśmiechu.**

**–Uwierz mi, nie śmiałbym w żadnym razie drwić z ciebie. To wszystko przez moją... hm... niedomyślność.**

**–Aha – padła odpowiedź Briana.**

**–Jest rzeczą oczywistą, że nie mógłbym nawet marzyć o lepszym Towarzyszu niż człowiek twojego pokroju.**

**–Otóż to.**

**–I jestem uszczęśliwiony, że przyłączyłeś się do mnie.**

–Doprawdy.

Jim poczuł się jak ktoś, kto puka do drzwi domu, którego właściciel jest w środku, ale uparcie nie chce otworzyć. Ogarnęło go lekkie zniecierpliwienie. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł, a właściwie żart, na myśl o którym niemal roześmiał się na głos. Nieznajomość obyczajów innych ludzi mogła przecież działać i w drugą stronę!

–Ależ naturalnie, gdybym tylko od początku znał numer twojej polisy ubezpieczeniowej – westchnął. – Wtedy wszystko potoczyłoby się inaczej.

Brianowi zabłyśły oczy. Wciąż posuwali się w milczeniu przez następną długą minutę, aż wreszcie rycerz przerwał ciszę.

–Numer – sir Jamesie?

–Tak jest – odpowiedział Jim, uniósłszy ze zdziwienia brwi. – Numer twojej polisy ubezpieczeniowej.

–Cóż to za cholerny numer?

–Ale, nie mów tylko, że nie macie tutaj numerów polis ubezpieczeniowych.

–Bodajbym oślepl, jeśli kiedykolwiek przedtem słyszałem o czymś takim.

Jim cmoknął ze współczuciem.

–Nic dziwnego, że poczułeś się dotknięty moim niezrozumieniem twojej propozycji – ciągnął. – Bo widzisz, tam skąd pochodzę, nic nie może się wydarzyć, zanim się nie pozna numeru polisy ubezpieczeniowej drugiego człowieka. Sądziłem więc, że z jakiegoś powodu wolisz nie ujawniać swego numeru. I dlatego nie od razu zaświtało mi w głowie, że proponujesz mi swe towarzystwo.

–Do licha, ależ ja nic nie mam do ukrycia! – zaprotestował Brian.

–Nie masz więc swego numeru?

–Na świętego Egidiusza, nie!

Jim ponownie cmoknął.

–To są właśnie minusy życia na prowincji – powiedział ze smutkiem sir Brian. – Pewnie już co najmniej od dwunastu miesięcy na Dworze są w użyciu te, jak je tam nazywasz, numery, gdy tymczasem tutaj nikt nawet o nich nie słyszał! Znów w milczeniu pokonali krótki odcinek drogi.

–Przypuszczam, że masz taki numer? – spytał Brian.

–Tak, naturalnie – odpowiedział Jim prędko i sięgnął pamięcią wstecz – 469699921.

–Diabelnie duża liczba.

–No cóż – Jim uznał, że nic nie stoi na przeszkodzie, by wykorzystać tę okazję dla dodania sobie powagi. – W końcu jestem baronem Riveroak.

–Och, w rzeczy samej. Ujechali jeszcze kawałek.

–To znaczy... – zaczął Brian.

–Słucham, sir Brianie? Brian odchrząknął.

–A gdybym i ja miał jakiś taki numer na własność, to, według twego rozeznania, jaki mógłby on być?

–Niestety, nie wiem.

–No tak, przypuszczam, że nie powinienem o to pytać. Ale stawia to mnie w niekorzystnym położeniu. – Brian zwrócił ku Jimowi swą stroskaną twarz. – Bo oto podajesz mi swój numer, a ja nie mogę odwzajemnić się tym samym.

–Nie bierz sobie tego tak do serca – rzekł Jim.

–Ależ muszę się tym przejmować.

–Doprawdy nie powinieneś – nalegał Jim. Wbrew samemu sobie zaczął odczuwać wyrzuty sumienia. – Jestem pewien, że gdybyś miał swój numer, to byłby on bardzo dobry.

–Nie, nie, prawdopodobnie całkiem zwyczajny. Ostatecznie kimże jestem? Jedynie prowincjonalnym rycerzem. Nie układają o mnie minstrele swych pieśni ani nic z tych rzeczy.

–Nie doceniasz siebie – z zakłopotaniem powiedział Jim. Żart coraz bardziej wymykał mu się spod kontroli. – Nie umiem, oczywiście, zgadnąć, jaki mógłby być twój numer, ale sądzę, że w moim kraju miałbyś co najmniej... – tu przerwał, by szybko policzyć liczbę cyfr w numerze własnej polisy – 38722777.

Zwrócone na niego oczy Briana zrobiły się okrągłe i wielkie jak spodki.

–Doprawdy? Istotnie tak sądzisz? Aż tyle?

–Co najmniej tyle.

Jim powtórzył tę liczbę kilkakrotnie, by rycerz mógł ją zapamiętać. I dalej już wędrowali razem wesoło, rozmawiając jak starzy znajomi.

Niczym prawdziwi Towarzysze – pomyślał Jim.

Brian, gdy zapomniał o poprzedniej sztywności, okazał się bardzo rozmowny. Szczególnie lubił opowiadać o pani Geronde, która była nie tylko najpiękniejszą ze wszystkich dam, ale stanowiła również zbiór wszelkich cnót i zalet. Przede wszystkim jednak rycerz był istną kopalnią miejscowych plotek, tych krwawych i tych pikantnych. To, czego Jim właśnie wysłuchiwał, zaskakiwało go.

Brian był człowiekiem z krwi i kości, pragmatycznym i pełnym ludzkich uczuć. Lepszym określeniem byłoby, że mocno stał na ziemi. W jego świecie istniało bardzo niewiele tematów tabu: religia oraz garść ideałów i zasad. W zadziwiającym stopniu posiadał zdolność idealizacji pojęć abstrakcyjnych, a jednocześnie z bezlitosną ostrością widział ich odbicie w rzeczywistości – nie dostrzegając w tym większej sprzeczności.

I tak król był dla Briana majestatem, pomazańcem bożym, za którego oddałby bez słowa życie, lecz jednocześnie ten sam król był na wpół zgrzybiałym starcem, prawie zawsze pijanym, któremu nie można było powierzyć co ważniejszych spraw królestwa. Pani Geronde w niewytłumaczalny sposób była dla Briana zarówno boginią wyniesioną na piedestał i niedostępną dla nieokrzesanych mężczyzn, jak i całkiem ziemską kobietą, której ciało nie było obce jego dłoniom.

Jim wciąż jeszcze usiłował dopasować tę dwoistość myślenia do ogólnego modelu tego świata, kiedy dookoła zaczęło szarzeć i Brian postanowił rozejrzeć

się za jakimś miejscem na nocleg.

Dawno już pozostawili za sobą mokradła i od kilku godzin przedzierali się w kierunku północnowschodnim przez mroczny las. Na szczęście ta część lasu była znacznie mniej posępna. Tu także rosły dęby i wiązy, lecz dużo okazalsze, tak że zagłuszały co bardziej splątane podszycie, ułatwiając marsz. Wreszcie dotarli do małej polanki nad strumykiem, niemal tak samo nęcącej jak posiadłość Carolinusa nad Dźwięczną Wodą.

–Sądzę, że tu powinno być nam dobrze – wesoło zauważył Brian. Zesko czył na ziemię, rozsiadł konia i rozpalił ognisko.

Płomień z suchych gałęzi, strzelający wysoko w górę, stał się jedynym weselszym akcentem pośród zapadających ciemności.

–Robi się chłodno – stwierdził Brian, stanąwszy tuż obok ogniska z głową wtuloną w ramiona.

Zdjął hełm, rękawice i nagolenniki, zostawiając na sobie tylko górną część zbroi. Jim przysunął się do ognia z drugiej strony.

–Gdzie jesteśmy? – spytał.

–W lesie Lynham – odpowiedział Brian. – Na ogół to niezłe miejsce. Ale dzisiejsza noc jest inna, nieprawdaż, sir Jamesie? Ma się uczucie, jak gdyby coś czaiło się w ciemnościach, coś nieokreślonego.

–Istotnie – zgodził się Jim, a jego ciałem nieoczekiwanie wstrząsnął dreszcz.

Jego smocze zmysły mówiły mu, że, niestety, opis Briana był trafny – rzeczywiście miało się wrażenie, że coś krąży po lesie wokół ich obozowiska, poza zasięgiem światła, czekając tylko na okazję, by zaatakować.

Rycerz powoli zajął miejsce przy ognisku i zaczął na nowo wkładać nagolenniki i stalowe osłony ud, które dopiero co zdjął.

–Co się stało? – spytał Jim. – Dlaczego to robisz?

–Nie podoba mi się to – krótko odparł Brian. – Coś jest nie w porządku tej nocy. Cokolwiek by to było, zastanie mnie uzbrojonego i gotowego do walki.

Uporał się z pancerzem osłaniającym tułów i podszedł do siodła. Kopię wbił drzewcem w ziemię tuż obok ogniska i włożył na głowę hełm; nie opuścił jednak przyłbicy.

–Stańmy po przeciwnych stronach ogniska twarzami do siebie, sir Jamesie. W ten sposób będziemy widzieć wszystko dokoła nas w zasięgu światła.

–Zgoda – odrzekł Jim.

Po chwili usłyszeli jakiś odgłos, z początku słaby i daleki.

–Wiatr – rzucił Brian.

Rzeczywiście to był wiatr. Odgłos jego rósł, potem cichł i przenosił się do coraz to innej partii lasu, zawsze tak samo odległy. W końcu zaczął się przybliżać, jakby skradał się ku nim.

Tymczasem na polanie nie czuło się nawet najłżejszego powiewu. Brian znów dorzucił do ognia kilka wysuszonych gałęzi.

–Szczególne słowa podziękii dla świętego Egidiusza, którego dzień dzisiaj mamy – cicho rzekł rycerz – i za którego sprawą zebrałem tyle drwa, że starczy go do świtu.

Wiatr nadciągał. Słyszeli, którądy się zbliżał, jak huczał nie opodał. Wiał coraz bliżej, a w ślad za nim biegły westchnienia i jęki targanych gałęzi. Był już na tyle przeraźliwy, że musieli rozmawiać podniesionymi głosami, by go przekrzyczeć. Aż nagle spadł na nich.

Dmchnął w polanę tak gwałtownie, że przez chwilę istniała obawa, iż zwali ich z nóg. Z ogniska strzelił w górę wysoki snop iskier, płomienie zaś zostały niemal całkowicie zduszone. Naraz zalała ich fala ciemności, a grad suchych gałązek i opadłych liści sypnął im w oczy.

Po chwili wiatr, tak samo gwałtownie jak nadleciał, ucichł. Ogień znów się rozjarzył i mrok został raz jeszcze odparty. Nieoczekiwanie zapanował spokój.

Wiatr umilkł.

Przez otwartą przyłbicę dało się słyszeć lekkie westchnienie Briana.

–Bądź czujny, sir Jamesie – rzekł łagodnie. – Teraz nadchodzi. Jim utkwiał wzrok w rycerzu.

–Nadchodzi...? – powtórzył niczym echo. I wtedy usłyszał.

Zrazu słabo z oddali, tak iż sądził, że to tylko złudzenie. Potem coraz głośniejsze, aż wreszcie całkiem wyraźnie doszedł go ciągły, świdrujący pisk, przypominający daleki odgłos wiatru. Jim wyczuwał w tym pisku jakieś szaleństwo. Instynktownie ścierpła mu skóra na smoczym karku.

Ta reakcja jego ciała niepokoila go bardziej niż sam dźwięk. Cóż to mogło być, w środku lasu, po nocy, czego obawiałby się nawet smok? Już otworzył usta, by spytać Briana, co wydaje te dźwięki, gdy nagle pytanie uwięzło mu w gardle. Powstrzymał go jakiś niemal zabobonny lęk, że gdy spyta Briana i ten mu odpowie, wówczas to, co teraz krąży wokół nich, stanie się nieodwracalnie rzeczywiste. Tak długo, póki nie wiedział, istniała nadzieja, że to tylko złudzenie, zły sen, z którego obudzi się z nastaniem brzasku.

Pisk jednak ciągle wzmagal się i był coraz bliższy – koszmar nie znikal.

–Sir Brianie – przemówił w końcu Jim. – Co to takiego?

Z rdzawo oświetlonej głębi przyłbicy dziwnie błysnęły ku niemu oczy rycerza.

–Nie wiesz? Piaszczomroki, sir Jamesie.

Gdy tylko Brian wymówił te słowa, wiedza, którą Gorbash miał we krwi, przeniknęła do umysłu Jima i już bez dalszego wypytywania wiedział, jak wyglądają ci nocni łowcy, coraz bardziej osaczający ich obu, zastygłych w oczekiwaniu.

–Jeden diabeł wie, skąd się tu wzięły, tak daleko od morza. Ich właściwe tereny to zimne, słone, piaszczyste wybrzeża morskie. Żywią się zwykle drobny-

mi zwierzętami nabrzeżnymi i nieszczęsnymi rozbitkami, których morze wyrzuca nocą na brzeg. Oto wróg, przeciw któremu mój miecz ani twoje pazury nie zdadzą się na wiele.

–Jeśli tylko podejda na tyle blisko...

–Nie zrobią tego, dopóki całkiem nie postradamy zmysłów. To nikczemne istoty, ich bronią jest obłąd.

–Obłąd? – powtórzył Jim. Słowo to, jak dotknięcie lodowatego noża, zmroziło mu krew w żyłach.

–A cóż innego mogłyby oznaczać te dźwięki? Powiada się, że ich ciała zamieszkują duchy zwierząt, które zginęły w męce lub oszalały. Toteż szaleństwo unosi się wokół nich jak gęsty opar, który rozplywa się w nocnym powietrzu, zatruwając takie umysły jak twój czy mój. Nic mi nie wiadomo o tobie, sir Jamesie, ale święty Egidiusz zawsze był mym dobrym przyjacielem i nie bez powodu kazał mi zebrać ten wielki stos chrustu na ognisko. Radzę więc, abyśmy zwrócili się do tego życzliwego świętego i do Boga wraz z jego aniołami, gdyż nikt inny nie zdoła nam tu pomóc.

Rycerz wyciągnął miecz i wbił go przed sobą ostrzem w ziemię. Ujął rękojeść w obie dłonie i pochyliwszy głowę pogrążył się w modlitwie. Jim stał nieruchomo, wpatrzony w okrytego zbroją mężczyznę, w ogień i w otaczającą ciemność. Do jego uszu dochodził wciąż nasilający się pisk.

Nigdy nie był zbyt pobożny, a i w tym szczególnym momencie coś wzdragało się w nim na myśl, że mógłby odwołać się do religii. Z drugiej jednak strony zazdrościł Brianowi, iż ten jest w stanie znaleźć na oczekaniu takie wsparcie.

Bez względu na prawdziwość opowieści o duszach zwierząt nie było wątpliwości, że szczególną właściwością tego pisku było odwoływanie się do poczucia atawistycznego lęku, którego istnienia nawet nie podejrzewał. Od pierwszej chwili, gdy uświadomił sobie, że pisk ten jest czymś więcej niż tylko złudzeniem, gdzieś głęboko w nim samym zrodził się impuls, by natychmiast od niego uciec. Biec i biec, dopóki całkiem nie przestanie go słyszeć albo serce nie pęknie mu z wyczerpania.

Taki też musiał być ostateczny los wszystkich ofiar piaszczomroków. A wtedy, na samym końcu, gdy zdobycz jest już wyczerpana i bezbronna, czarne, ognisto-okie, przygarbione kształty zacieśniają swój krąg, by ofiarę dobić i rozszarpać. Jim, będąc jeszcze przy zdrowych zmysłach, zrozumiał, że gdyby rzucił się do ucieczki, byłby zgubiony. Musi jak Brian stać tutaj i walczyć, by nie dopuścić do świadomości pisku, który przyprawiał go o obłąd.

Nie mógł się zmusić do pójścia za przykładem Briana, ale musiały przecież istnieć inne sposoby ochrony przed krzykiem piaszczomroków. Może tabliczka mnożenia?

Spróbował. Przez chwilę był w stanie się skupić, toteż pogratulował sobie znalezienia właściwego oręża. Ale kiedy powtórzył wszystko, co pamiętał, i zaczął



od nowa, zauważył, że tym razem nie zagłusza to pisku tak dobrze jak poprzednio. Gdy trzeci raz spróbował, nie pomagało już prawie wcale. Niewiele więcej niż bezmyślne mamrotanie półgłosem.

W rozpaczy zaczął recytować zdania ze swojej pracy doktorskiej na temat wpływu rozwoju miast na zmiany obyczajowości we Francji podczas wojny stuletniej. Noc po nocy, po wypełnieniu innych obowiązków, zasiadał przy samotnym świetelku swojej lampki, by wkuwać ten doktorat.

Jeżeli gdzieś w nim istniała jakaś magiczna tarcza, to będzie właśnie tutaj.

–... badania bezpośrednich rezultatów angielskiego najazdu na zachodnią Francję, trwającego przez dwa dziesięciolecia od lat pięćdziesiątych czternastego wieku – szeptał – wskazując na szczególny proces zmian, niedostrzegalny nawet dla ludzi, których dotyczył. Zwłaszcza port w Bordeaux...

Nagle, ku swojej radości, uświadomił sobie, że to działa. Wszystkie nocne godziny pracy nad doktoratem stworzyły w nim mechanizm obronny działający ze zbyt wielkim impetem, by piski piaszczomroków mogły mu przeszkodzić lub go powstrzymać. Jak długo nadażał za swoimi myślami, tak długo mógł to znieść. Czuł, jakby piski były teraz zatrzymywane przez jakąś barierę, która jedynie nieszkodliwym szumem pozwalała przewalać się ponad sobą. Doktorat liczył dwieście dwadzieścia stron maszynopisu. Nie dojdzie do końca zbyt szybko, jak to było z tabliczką mnożenia.

Spojrzał przez ogień na Briana i stwierdził, że ten wciąż się modli. Żaden z nich nie śmiał tracić czasu na rozmowę, ale Jim spróbował wzrokiem pokazać, że się jeszcze trzyma. Wydało mu się, że Brian zrozumiał i odpowiedział w ten sam sposób.

Piaszczomroki były znów bliżej – tuż za świetlistym kręgiem ogniska. Brzmienie ich głosów było tak przenikliwe i natrętne, że Jim ledwie łowił uszami swój własny głos. Jednakże i on, i Brian trzymali się, a nocni drapieżcy nie śmieli atakować, dopóki ofiara ma wolę walki i siły do obrony. Brian schylił się, by dorzucić kilka suchych gałęzi do ognia.

Płomienie strzeliły w górę z nową siłą i przez mgnienie oka Jimowi wydawało się, że dostrzega ciemne kształty umykające przed światłem w gęstszy mrok. A Brian i on wciąż czuwali, odmawiając swoje własne litanie.

Noc dłużyła się.

Ogień płonął. Piaszczomroki ciągle krążyły, ani na moment nie przerywając swego śmiertelnego zaproszenia. Jim i rycerz patrzyli na siebie ponad ogniem, mamrocząc głosami ochrypłymi od jednostajnego, długiego wysiłku. Osłabły sir Brian chwiał się nieco, a Jim także czuł narastający z wyczerpania szum w głowie.

Wokół nich ciemności trwały nieporuszone. Świeży, wilgotny zapach świtu był już w powietrzu, ale brzask jeszcze nie nadchodził.

I nagle, po raz pierwszy od chwili, gdy zaczął recytować swój doktorat, Jim znowu poczuł nacisk głosów rozpoczynających kruszenie bariery, którą wzniósł

przeciw nim. Zająknął się, wyczerpany umysł zgubił miejsce na stronie, którą cytował, i znów je znalazł. Ale pisk wykorzystał ten moment słabości. Przebił się przez wypowiedziane z wysiłkiem słowa i jego moc jednostajnie narastała.

Jim uświadomił sobie, że Brian przestał mówić. Zamilkł więc także i patrzyli na siebie poprzez ogień. Tymczasem wokół nich pisk wybuchnął ze wzmożoną siłą.

Rycerz obrócił trzymany miecz, wznosząc go ostrzem w górę.

–W imię Boże – rzekł głosem tak rwącym się i zachrypłym, że Jim ledwie go rozumiał – wyjdźmy ku nim, póki jeszcze mamy siłę to uczynić.

Jim przytaknął. W ostateczności lepiej było stawić czoło śmierci, niż pierzchać przed nią w obłędnym strachu. Okrążył ognisko, by stanąć obok Briana.

–Teraz – krzyknął rycerz ochryple, wznosząc miecz nad głową.

Ale zanim zdążyli rzucić się na okrążającego ich niewidocznego wroga, ciemność rozdarł skowyt bardziej chyba przeraźliwy niż piski. W okamgnieniu całkowicie umilkły dźwięki, które doprowadziły ich do granic szaleństwa. Usłyszeli tupot nóg mnóstwa małych stworzeń umykających w las.

Rozległ się kolejny skowyt, tym razem nieco dalej. Nastąpiły chwile oczekiwania, podczas których odgłosy ucieczki ginęły w oddali.

–Na świętego Egidiusza! – wyszeptał rycerz stojąc nieruchomo. – Co je zabija?...

Jeszcze nie skończył, gdy ponownie usłyszeli skowyt, tym razem bardzo daleko. Potem zapadła głucha cisza.

Zdrętwiały Brian ruszył podsycić ogień. Zatrzeszczało, wzbily się płomienie i cień cofnął się znacznie. Jim spojrzał w górę.

–Patrz – powiedział. – Myślę, że...

–Tak. Świta – rzekł Brian.

Stali patrząc, aż niebo pojaśniało i reszta gwiazd zniknęła.

–Ale co przybyło nam z odsieczą? – spytał rycerz. Jim potrząsnął głową.

–Nie wiem – odrzekł chrapliwie. – Nie mam pojęcia, co...

Przerwał.

Coś się poruszyło – najczarniejsza czerń w ciągle jeszcze głębokich ciemnościach poza kręgiem ogniska. Poruszyło się znowu i wolno zbliżyło, wkraczając w oświetloną przestrzeń.

To był wilk. Wilk dwa razy większy niż najbardziej okazałe wilki, jakie Jim widział w zoo lub na filmie. Wzrok wilka minął rycerza, ognisko i zielone oczy dziko zapłonęły przed Jimem.

–Więc to ty – głos miał chrapliwy i głęboki. – Nie ma to większego znaczenia, ale tak właśnie myślałem.

Rozdział 9

Po tym wszystkim, co Jim przeżył od chwili zjawienia się w tym świecie, a zwłaszcza po ostatniej ciężkiej próbie, nie powinien się dziwić, że oto zjawia się wilk mówiący ludzkim językiem. A jednak osłupiał.

Przysiadł na tylnych łapach z głuchym łomotem. Gdyby był w ludzkim ciele,

zapewne osunąłby się na ziemię. Ale efekt był podobny. Usiłował wydać głos, a tymczasem potworny wilk zbliżył się do ogniska.

–Kim... kim jesteś? – zdołał wreszcie wykrztusić Jim.

–Co z tobą, Gorbash? – warknął wilk. – Piaszczomroki odebrały ci pamięć? Znamy się od dwudziestu lat. A poza tym, kto mógłby pomylić Aragha z innym angielskim wilkiem!

–A więc jesteś... Araghem? – wycharczał Brian. Wilk spojrzał na niego.

–Jestem. A ty, człowieku, kim jesteś?

–Sir Brian Neville-Smythe.

–Nigdy nie słyszałem o tobie – burknął wilk.

–Mój ród – rzekł twardo sir Brian -jest młodszą gałęzią Neville'ow. Ziemie nasze ciągną się od Wyvenstock do rzeki Lea na północy.

–Nie znam tam nikogo – zgrzytnął Aragh. – Co robisz w moich lasach?

–Przejeżdżam przez nie w drodze do Maivern, szlachetny wilku.

–Nazywaj mnie Araghem, gdy mówisz do mnie, człowieku.

–Więc ty zwij mnie sir Brianem, szlachetny wilku! Górna warga Aragha zaczęła odsłaniać lśniąca zęby.

–Czekaj – pospiesznie rzekł Jim.

Aragh zwrócił się do niego, warga nieco opadła.

–Ten sir Brian jest z tobą, Gorbash?

–Jesteśmy towarzyszami. I teraz to ja nie całkiem jestem Gorbashem. Widzisz... - Jim, pomimo omdlałego gardła, spiesznie próbował wyjaśnić sytuację, która przywiodła jego i Briana w to miejsce.

–Hmmm! – zawarczał Aragh, gdy Jim skończył. – Wszystko to wielka bzdura. Zawsze, gdy za coś się zabierałeś, wplątywałeś się w siedem różnych spraw. Skoro jednak sir Brian zobowiązał się walczyć wraz z tobą, myślę, że mogę

się z nim pogodzić.

Odwrócił się do Briana.

–Ciebie – rzekł – czynię odpowiedzialnym za opiekę nad Gorbashem. Nie jest zbyt bystry, ale to mój przyjaciel od wielu lat...

Coś rozjaśniło się w głowie Jima. Ten Aragh jest na pewno tak niechętnie wspominanym przez Smrgola wilkiem, z którym Gorbash związał się w młodości.

–... i nie chcę, by go pożarły piaszczomroki czy coś innego. Słyszysz mnie?

–Zapewniam cię... – wyniośle zaczął Brian.

–Nie zapewniaj. Po prostu czyn tak! – kłapnął Aragh.

–A co do piaszczomroków – Jim w pośpiechu raz jeszcze próbował zapobiec wiszącej w powietrzu scysji między Brianem i Araghem – to już nas prawie miały. Czy ich głos nie działa na ciebie?

–A dlaczego miałyby? – rzekł Aragh. – Jestem angielskim wilkiem. Nigdy nie przyłapięsz mnie myślącego o dwóch rzeczach naraz. Piaszczomroki są mieszkańcami wybrzeża. Zobaczą, co się z nimi stanie, gdy jeszcze raz zdybię je w moich lasach.

Warknął cicho, jakby do siebie.

–Chciałeś powiedzieć – Brian zdjął hełm i patrzył na wilka z pewnym zdumieniem – że możesz słuchać tego pisku i nie trwoży cię to?

–Ile razy mam to mówić? – mruknął Aragh. – Gdybym siedział beczynn timer jak niektórzy i tylko słuchał, to mógłbym zauważyć ten hałas, jaki czyniły. Ale w chwili, gdy usłyszałem je, rzekłem sobie: „Ta zgraja musi się stad wynieść”. I to wszystko, o czym myślałem, zanim uciekły.

Obliział wargi swym długim językiem.

–Wszystkie, poza czterema – powiedział. – Nie nadają się do jedzenia, oczywiście. Ale pięknie skowyczą, gdy łamie się im karki. Te ich głosy dobrze słyszałem, nie bójcie się!

Usiadł na podwiniętych łapach i obwąchał ognisko:

–Świat schodzi na psy – zamruczał. – Tylko niewielu z nas nie straciło jeszcze rozsądku. Czarodzieje, Ciemne Moce, cała ta bzdura. W starym, dobrym stylu skręć kilka karków, rozszarp kilka gardeł i zobaczymy, jak długo te piaszczomroki i im podobne będą działać. Ciekawe, ile zamieszania Ciemne Moce będą w stanie narobić po kilku takich lekcjach udzielonych ich sługom!

–Jak długo znasz sir Jamesa? – spytał Brian.

–Sir Jamesa? Sir Jamesa? To jest Gorbash, jeśli o mnie chodzi – warknął Aragh. – Zawsze był Gorbashem i zawsze będzie Gorbashem, pomimo tych nonsensów z czarami i wcieleniami. Nie wierzę, że można być kimś jednego dnia, a drugiego kimś zupełnie innym. Mów, co chcesz, ale dla mnie to jest Gorbash. Od dwudziestu lat, jeśli chcesz wiedzieć. Czyż nie mówiłem, że od dwudziestu lat? Po co ci to?

–Ponieważ, mój drogi...

–Nie jestem twoim drogim. Nie jestem niczym drogim. Jestem angielskim wilkiem i lepiej, żebyś o tym nie zapominał.

–Dobrze więc, szlachetny wilku...

–Tak nieco lepiej...

–Skoro nie popierasz poszukiwań, które prowadzimy z sir Jamesem, i skoro już świta na dobre, pozostaje mi jedynie podziękować ci za twą pomoc w starciu z piaszczomrokami...

–Pomoc!

–Nazywaj to, jak chcesz. Jak mówiłem... – Brian z powrotem włożył hełm, wziął siodło i podszedł do konia – pozostaje ci podziękować, pożegnać się i kontynuować naszą drogę do Zamku Malvern. Ruszajmy, sir Jamesie...

–Zaczekaj! – zawarczał Aragh. – Gorbash, jak myślisz, co w ogóle możesz zdziałać przeciw Ciemnym Mocom?

–No... wszystko, co muszę – odpowiedział Jim.

–Oczywiście – mruknął wilk. – A co będzie, jeśli znów wyślą przeciw wam piaszczomroki?

–No...

–Tak myślałem – rzekł Aragh z gorzką satysfakcją. – Wszystko na mojej głowie, jak zwykle. Poniechaj tego, Gorbash. Skończ z tym głupim przeświadczeniem, że masz w sobie ludzki umysł i znów bądź zwykłym, prostodusznym smokiem.

–Nie mogę tego zrobić – powiedział Jim. – Muszę ratować Angie...

–Kogo?

–Jego panią – wtrącił ostro Brian. – Opowiadał przecież, jak inny smok, Bryagh, porwał ją do Twierdzy Loathly.

–Jaką panią? Jego PANI? Co za czasy nadeszły: smok włóczący się po świecie z miłości do ludzkiej samicy i nazywający ją swoją „panią”! Gorbash, rzuć te bzdury i wracaj do domu!

–Przykro mi – wycedził Jim przez zęby. – Nie.

Aragh warknął.

–Ty przekłety idioto! Dobrze, pójdę z wami i dopilnuję, aby piaszczomroki cię nie dopadły. Ale tylko piaszczomroki, pamiętaj! Nie mam zamiaru brać udziału w całej tej waszej komedii.

–Niech skonam, jeśli pamiętam, by cię ktoś zapraszał – rzekł Brian.

–Nie potrzebuję zaproszenia – górna warga Aragha znów się uniosła, a łeb zwrócił ku rycerzowi. – Chadzam, gdzie mam ochotę, szlachetny rycerzu, i chciałbym zobaczyć tego, kto mi w tym przeszkodzi. Jestem angielskim...

–Pewnie, że jesteś! – wtrącił się Jim – i nie ma nikogo, kogo bardziej chcielibyśmy mieć ze sobą niż angielskiego wilka. Nieprawdaż, Brianie?

–Mów w swoim imieniu, sir Jamesie!

–Dobrze, nie ma nikogo, kogo bardziej chciałbym mieć przy sobie, poza sir Brianem – rzekł Jim. – Sir Brianie, musisz przyznać, że tych piaszczomroków było zbyt wielu na nas dwóch.

–Hmm – Brian spojrział, jakby mu zaproponowano rwanie zęba bez znieczulenia, a nawet bez odrobiny alkoholu. – Tak przypuszczam.

Nagle zachwiał się i siodło z łoskotem wypadło mu z rąk. Ociężale podszedł do najbliższego drzewa, usiadł z brzękiem metalu i oparł się plecami o pień.

–Sir Jamesie – rzekł ochryplym głosem – muszę odpocząć.

Oparł tył głowy o pień drzewa i zamknął oczy. Po chwili już ciężko oddychał, głęboko wdychając powietrze, prawie chrapiąc.

–Tak – powiedział Jim patrząc na niego. – Obaj mieliśmy ciężką noc. Może i ja powinienem także się przespać.

–Nie mam zamiaru wam w tym przeszkadzać – rzekł Aragh. – Ja nie należę do tych, którzy potrzebują drzemki po każdym polowaniu, ale myślę, że pójdę śladem tych piaszczomroków i zobaczę, czy nie zaczęły się gdzieś tu niedaleko.

Spojrzął na wschodzące słońce.

–Wrócę koło południa.

Odwrócił się i zaraz zniknął. Mignął Jamesowi przemykając między dwoma pniami drzew i po chwili żaden znak ani dźwięk nie wskazywał, że był tu kiedykolwiek wilk. Jim legł na trawie, schował głowę pod skrzydła i zamknął oczy...

Ale, w odróżnieniu od Briana, nie odczuwał potrzeby snu. Zmuszał się, zamykając oczy i trzymając głowę pod skrzydłem przez jakieś dwadzieścia minut, aż zrezygnował i usiadł. Ku swemu zdziwieniu czuł się rzeczywiście całkiem dobrze.

Przypomniał sobie, że chrypka przeszła mu, gdy zajęty był trójstronną konwersacją z Araghem i Brianem. Widocznie zmęczenie ustąpiło w tym samym czasie. Zapewne smoki odznaczają się po prostu większą żywotnością niż ludzie. Spojrzął na Briana, który chrapał teraz w sposób wskazujący na krańcowe wyczerpanie. Rycerz pewnie nie obudzi się przed południem. Dawało to Jimowi mnóstwo czasu do zabicia. Raz jeszcze pomyślał o czymś do jedzenia.

Rozpostarł na próbę skrzydła i stwierdził, że cała sztywność i ból ustąpiły. Wzbił się w górę.

Zostawiwszy Briana i polanę własnemu losowi, zatoczył koło i zaczął krążyć nad lasem, rozglądając się wokół siebie.

Z góry bardziej przypominało to park. Wielkie drzewa rozsiane były równomiernie, tak że mógł nieźle widzieć skrawki ziemi pomiędzy nimi. Na nieszczęście nie dostrzegł nic, co nadawałoby się do jedzenia. Rozejrzał się za Araghem, ale nie znalazł żadnego śladu wilka.

Wydało mu się, że nie ma większego sensu tak szybować, pomijawszy przyjemność, jaką mu to sprawiało, i fakt, że miał dużo wolnego czasu.

Poczuł wyrzuty sumienia. Do chwili spotkania z rycerzem ledwie pamiętał o Angie. Czy naprawdę nic jej się nie stało? Myśląc o tym, pozwolił ponieść

się prądom powietrza, a od wewnętrznego niepokoju – niczym na wspomnienie pisku piaszczomroków – cierpła mu skóra na karku. Mógłby pozbyć się tego lęku upewniając się, że z Angie wszystko jest w porządku – wmawiał sobie teraz. Wskazówki Carolinusa, by nie zbliżał się do Twierdzy Loathly, zanim nie zgromadzi towarzyszy, z pomocą których zdoła pokonać Ciemne Moce, nie miały najmniejszego sensu. On sam powinien zdecydować, co zrobić...

Nagle ocknął się i stwierdził, że jest już na wysokości przynajmniej kilku tysięcy stóp i daje się nieść wiatrowi wprost ku moczarom i wybrzeżu.

Gdy uświadomił to sobie, w uszach zabrzmiało mu wspomnienie pisku piaszczomroków. A nad tym dominował jeszcze ostry jak sztylet szept, wzywający do Twierdzy Loathly.

–Teraz... – szeptał głos. – Idź teraz... nie zwlekaj, idź sam... teraz...

Opanował dreszcz przerażenia i opadł gwałtownie w długim nawrocie, kierując się z powrotem w stronę lasów, gdzie zostawił śpiącego Briana. Gdy tylko zawrócił, wspomnienie pisków i szept raptownie zniknęły, jakby ich nigdy nie było.

Czy rzeczywiście to słyszał?

Wysiłkiem woli otrząsnął się z tych pytań. To na pewno nie była gra wyobraźni, skoro nieświadomie wzniósł się na dużą wysokość; i ten wiatr, który mógł go zanieść wprost do Twierdzy Loathly. Bardzo go zaniepokoiło, że okazał się tak posłuszny wezwaniu stamtąd. Piski piaszczomroków uczyniły w jego woli jakiś wyłom, przez który Ciemne Moce mogły go wzywać do siebie. A jeśli tak jest, to choć te odrażające małe stworzenia zostały przegnane, Ciemne Moce mimo wszystko coś zyskały. Przypomniał sobie, że Carolinus kazał mu najpierw znaleźć towarzyszy, a potem podejmować inne działania.

A więc – pomyślał Jim, ponownie nisko szybując nad lasem Lynham w drodze powrotnej na polanę, gdzie spał Brian – znalazłem jak dotąd co najmniej dwóch towarzyszy: Briana i Aragha.

Odnalazł polanę i zniżył lot, by wylądować wśród drzew. Zobaczył, że Brian wciąż tam jest i wciąż chrapie.

Do południa brakowało jeszcze co najmniej trzech godzin. Podszedł do potoku, pociągnął długi łyk wody i zwałił się na trawę. Wycieczka odprężyła go. Poczul się osłabiony i życzliwie nastawiony do świata. Raz jeszcze odruchowo wetknął głowę pod skrzydło i natychmiast zasnął.

Obudził go głos Briana, który znowu radośnie wyśpiewywał, czego to błotne smoki mogą się spodziewać po Neville-Smythe'u. Prostując się zobaczył, że rycerz pluska się nago w potoku. Obok na trawie leżała zbroja, a ubranie rozwieszona było na kijach tak, że światło słoneczne sięgało do niektórych części garderoby. Jim myślał, że Brian uprał ją i rozwiesił, by wyschła. Ale okazało się, że jest sucha.

–Pchły, sir James – krzyknął Brian pogodnie. – Pchły! Niech mnie diabli,

jeśli nie wygląda na to, że ze wszystkich części rycerskiego stroju najbardziej lubią żerować w skórzanym kolecie pod zbroją. Nic ich skuteczniej nie wykurzy ze szwów niż żar słoneczny lub żar ogniska, prawda?

–Co...? A, tak. Masz rację – odrzekł Jim. – Nie ma nic lepszego niż to.

Nie przyszło mu dawniej do głowy, że robactwo może być równie powszechnym utrapieniem w tym średniowiecznym świecie, jak w dawnych wiekach jego własnego świata. Od razu poczuł ulgę, że smocza skóra była stanowczo za gruba i za twarda, by mogły go dręczyć te przeklęte pasożyty. Spojrzał na słońce i zobaczył, że świeci wprost nad ich głowami.

–Aragh już wrócił? – spytał.

–Nie ma go tu – odparł Brian.

–Nie ma? – warknął znajomy głos. Aragh wysunął się z za drzewa.

–Wróciłem już jakiś czas temu. Kto mówi, że mnie tu nie ma?

–Nikt, szlachetny wilku – pogodnie powiedział Brian, wynurzając się z potoku.

Strząsając z siebie rękami wodę podszedł do swoich rzeczy i zaczął się ubierać.

–W mgnieniu oka zbierzemy się i w drogę!

Trwało to nieco dłużej niż mgnienie oka, nim Brian włożył ubranie, zbroję i okulbaczył konia. Wskoczył wreszcie na siodło.

–Możemy ruszać? – spytał.

–Z przyjemnością – odrzekł Jim.

Aragh zagłębił się w las i zniknął im z oczu. Jim i Brian ruszyli w ślad za wilkiem. Znaleźli go dwie polany dalej. Siedział i czekał na nich.

–Co widzę! – warknął. – Miłośnicy spacerków i długich wędrówek. Czy nie na to się zanosi? W porządku. Potrafię tak samo jak wy marnować czas na spacer.

Zrównał się z nimi i razem szli naprzód.

–Nie mam zamiaru dla twojej przyjemności kłusować w południowym skwarze – rzekł Brian.

–A dlaczego nie? Kłus to najlepszy sposób poruszania się – mruczał Aragh. – W porządku. Rób, jak uważasz. Nie tędy, rycerzu. W tę stronę.

–Znam drogę do Zamku Malvern – odpowiedział Brian z wyniosłą miną.

–Znasz jedną z dróg – rzekł Aragh. – Ja znam najkrótszą. Idąc tamtędy dotrzecie do zamku w półtora dnia. Ja mogę was doprowadzić przed zachodem słońca. Możecie iść ze mną albo nie. Wszystko mi jedno.

Skręcił w prawo, wymachując nisko opuszczonym ogonem. Jim i Brian stanęli, spoglądając na siebie.

–Ależ ten szlak wiedzie w dół rzeki Lyn – protestował Brian. – Najbliższy bród jest piętnaście mil w górę rzeki.



–Jednak to jego lasy – rzekł Jim. – Może powinniśmy mu zaufać.

–Sir Jamesie... – zaczął Brian. – No, dobrze.

Skierował konia na drogę, którą obrał Aragh, i obaj ruszyli za wilkiem doganiając go nieco dalej.

Z początku nie mówili wiele, Aragh i Brian opryskliwie rzucali „szlachetnym rycerzem” lub „szlachetnym wilkiem”. Z wolna jednak lody topniały, zwłaszcza gdy ku swemu zadowoleniu odkryli, że łączy ich przynajmniej jedna sprawa: nienawiść do kogoś, kto zwie się sir Hugh de Bois de Malencontri.

–...urządził nagonkę w moich lasach! – zazgrzytał zębami Aragh. – W moich lasach. Jakby to były jego własne tereny łowieckie. Rozpędziłem mu to polowanie. Okaleczyłem pół tuzina koni i...

–O nie, tylko nie koni!

–A dlaczego? – odrzekł Aragh. – Wy, ludzie w zbrojach, unikacie niebezpieczeństw jeżdżąc na cudzych czterech nogach. Pokażcie mi angielskiego wilka, który pozwoliłby komuś siedzieć okrakiem na swoim grzbiecie!

–Szlachcic wie, jak użyć dobrego rumaka. Choć niekoniecznie do polowania. Ja zawsze pieszo z rohatyną ruszam na dzika.

–Tak? A obok na pewno dwudziestu lub trzydziestu takich jak ty.

–Nic z tych rzeczy. Wiele razy samotnie szedłem w gąszcz!

–No, to już coś – niechętnie przyznał Aragh. – Dzik to nie zabawa. Nie za mądry, ale to nie zabawa. Szarżuje na wszystko. Jedyne sposoby na niego to uniki i szarpanie z boku. Trzeba przegryźć mu nogę albo dwie, jeśli się uda.

–Dziękuję, ale wolę rohatynę. Przyjmuję taką szarżę. Poprzeczka utrzymuje go na dystans. Trzymasz rohatynę kurczowo, aż do chwili, gdy na moment możesz puścić i sięgnąć mu kordem do gardła.

–Rób jak wolisz – zawarczał Aragh. – W każdym razie ludziom pana Boisa nie podobało się chodzenie na własnych nogach. Dwóch zabiłem i ośmiu poraniłem, zanim przybyła główna zgraja, w której byli łucznicy.

–Dobra robota!

–Ee, tam! Jeden dzień pracy. Przegapiłem jednak samego de Boisa. Zrzucił kogoś z siodła, zabrał mu konia i uciekł, zanim mogłem go dogonić. Nieważne – Aragh cicho zawarczał do siebie. – Dopadnę go któregoś dnia.

–O ile ja pierwszy go nie dopadnę – rzekł Brian. – Na świętego Egidiusza! Miał czelność zalecać się do panny Geronde. Ha!

–De Chaney...?

–Otóż to. Do mojej pani. Wziąłem go na stronę w czasie biesiady u mego księcia pana na Boże Narodzenie, pół roku temu. Baronie, rzekłem, tylko słó-weczko. Trzymaj swój nieświeży oddech z dala od oblicza mej pani, bo inaczej mogę być zmuszony powiesić cię na twych własnych flakach.

–I co odpowiedział? – spytał Aragh.

–Ach, jakieś bzdury, że każe swym łowczym żywcem obedrzeć mnie ze skóry, jeśli kiedyś zdybie mnie obok swych posiadłości. Zaśmiałem się.

–I co wtedy? – wtrącił się zaciekawiony Jim.

–On też się roześmiał. To była przecież świąteczna biesiada u księcia pana – pokój na ziemi ludziom dobrej woli i tak dalej. Nikt z nas nie chciał robić publicznej awantury. I tak rozstaliśmy się. Ostatnio zaś byłem zbyt zajęty błotnymi smokami, a teraz tą twoją sprawą, sir Jamesie, by zabrać się do spełnienia mojej obietnicy. Ale któregoś dnia naprawdę muszę.

I ciągnął dalej w tym samym stylu.

Niezbyt późnym popołudniem wyjechali nagle zza zasłony drzew i krzewów na brzeg rzeki Lyn. Aragh bez wahania wszedł do wody i posuwał się w poprzek nurtu, pogrążając się niemal po grzbiet. Jim i Brian zatrzymali się.

–Ależ tu nie ma żadnego brodu, do licha! – rzekł Brian.

–Przy takiej pogodzie, jaką mamy od miesiąca, i o tej porze roku – odparł Aragh przez ramię -jest bród, przez ten tydzień i następny. Ale rób, jak uważasz.

Brian chrząknął i przynaglił konia do zejścia w dół. Zaczął przeprowiać się.

–Ja chyba przefrunę – oznajmił Jim, patrząc z dezaprobatą na rzekę. Nie zapomniał o swych pływackich przygodach wśród bagien. Wzbił się w powietrze i kilkoma ruchami skrzydeł przeleciał nad głowami pozostałej dwójki, lądując na drugim brzegu. Patrzył, jak ociekający Aragh wdrapuje się na suchy ląd. Razem zaczekali na Briana.

–Muszę przyznać, że wiedziałeś, co mówisz – z zazdrością rzekł rycerz do Aragha, gdy już wyjechał na brzeg. – Jeśli po tej stronie jest las Malvern, a na to wygląda...

–Tak jest – rzekł Aragh, gdy razem ruszyli w kierunku lasu.

–... to naprawdę powinniśmy ujrzeć mury zamku przed zachodem – stwierdził Brian. – Muszę powiedzieć, że pobyt we włościach mojej pani jest mi niemal tak miły jak powrót pod rodzinny dach. Zobaczysz, sir Jamesie, jaki to miły i spokojny kraj...

Coś bzyknęło i strzała długości trzech stóp wbiła się w ziemię kilka kroków przed nimi.

–Stać! – krzyknął wysoki głos, głos kobiety lub młodego chłopca.

–Co u diabła? – zapytał Brian, zatrzymując konia i odwracając się w stronę, skąd wypuszczono strzałę. – Obetnę uszy temu łucznikowi...

Bzyk! Zawarczała następna strzała, wbijając się w pień obok hełmu Briana.

–Zajmę się tym – mruknął Aragh cicho i zniknął.

–Pozostań tam, gdzie jesteś, rycerzu! – znowu krzyknął głos. – Chyba że chcesz, by następna strzała wbiła się pod twą podniesioną przyłbicą lub w twoje oko, smoku! Ani kroku, zanim nie podejdziesz do was.

Jim zamarł w miejscu. Brian również nie ruszał się. Czekali.

## Rozdział 10

Było słoneczne popołudnie. W lesie Malvern śpiewały ptaki, a lekki wietrzyk owiewał Jima i Briana. Czas mijał, ale nic nowego się nie działo.

Jimowi już zaczęły drętwieć nogi, gdy usłyszał jakieś buczenie w powietrzu. Gdzieś w pobliżu zabrzączał trzmiel, okrążył ich dwukrotnie i wleciał pod otwartą przyłbicę rycerza. Jim czekał z zaciekawieniem na reakcję rycerza. ale nie docenił jego opanowania. Rycerz nie wydał żadnego dźwięku ani nie poruszył się, chociaż Jim słyszał głucho brzęczenie wewnątrz hełmu, sporadycznie przerywane ciszą, gdy owad przysiadł na wargach, nosie lub uszach.

W końcu trzmiel wyleciał na zewnątrz.

–Sir Brian? – pytająco odezwał się Jim, gdyż zaczął zastanawiać się, czy rycerz w ogóle jest przytomny w swym pancerzu.

–Tak, sir James?

–Coś jest nie w porządku. Ktokolwiek do nas strzelał, musiał już dawno sobie pójść. Stoimy tu od dwudziestu minut. Dlaczego nie mielibyśmy sprawdzić?

–Chyba masz rację.

Rycerz uniósł rękę, by opuścić przyłbicę, i skierował konia za drzewo, w którym tkwiła strzała.

W promieniu stu jardów las okazał się tak cichy i bezludny jak ten, przez który podróżowali dotychczas. Nieco dalej jednak natknęli się na szczupłą postać w brązowych pończochach, w takimż kubraku i w spiczastym kapeluszu na sięgających do ramion rudych włosach. Klęczała na trawie, masując puszysty kark wielkiego czarnego zwierzęcia. U boku miała łuk i kołczan ze strzałami.

Tym wielkim czarnym zwierzęciem był Aragh. Leżał na brzuchu wśród traw, swój długi pysk położył na przednich łapach, przymknął oczy i cicho powarkiwał, gdy szczupłe dłonie głaskały go po karku i drapały za uszami.

–Cóż to za diabelskie sztuczki? – zagrzmiął Brian, osadzając konia w miejscu.

–Rycerzu – rzekła klęcząca na trawie postać, spojrzawszy w górę. – Zważ, co mówisz! Czy wyglądam na diabła?

Bezspornie dziewczyna w niczym nie przypominała czarta. Raczej słowo „anioł” cisnęłoby się na usta, gdyby nie jej zimne, szare oczy, ogorzała twarz i ob-

nażone ręce. Wydawała się jednak zbyt piękna, by mogła być ulepiona ze zwykłej gliny.

–Nie – przyznał Brian. – Ale co robisz temu wilkowi, że tak warczy?

–On nie warczy – rzekła czule, głaszcząc kark zwierzęcia. – On mruczy. Aragh otworzył lewe oko i łypnął nim na Briana i Jima.

–Pilnuj swego nosa, rycerzu! – zazgrzytał. – Jeszcze raz za uszami, Da-nielle... Och! – znów zaczął pomrukiwać.

–Myślałem, że poszedłeś sprawdzić, co się dzieje, szlachetny wilku! – rzekł Brian opryskliwie. – Czy wiesz, że staliśmy tam przez...

–Ten rycerz, to Neville-Smythe – warknął Aragh do dziewczyny. – Smok zaś to mój stary przyjaciel. Nazywa się Gorbash, ale teraz wydaje mu się, że też jest rycerzem. Sir James skądś tam. Nie pamiętam też imienia Neville-Smythe'a.

–Sir Brian – rzekł Brian, zdejmując hełm. – A ten prawy rycerz obok mnie to przemieniony w smoka sir James, baron Riveroak z zamorskiego kraju.

W oczach dziewczyny błysnęła ciemność. Podniosła się z kolan.

–Zaczarowany? – spytała, podchodząc do Jima i patrząc z bliska na jego pysk. – Jesteś tego pewien? Nie widzę nic ludzkiego w oczach tej bestii, a powiadają, że powinno być widać. Czy możesz powiedzieć, kim byłeś? Jak wyglądało to zaczarowanie? Czy bolało?

–Nie – odpowiedział Jim. – Po prostu nagle stałem się smokiem.

–A przedtem byłeś baronem?

–No... – Jim zawahał się.

–Tak myślałam! – wykrzyknęła triumfalnie. – Czar nie pozwala ci mówić, kim byłeś naprawdę. Wydaje mi się, że rzeczywiście byłeś baronem Riveroak, ale oprócz tego kimś dużo znamienitszym. Może jakimś bohaterem.

–Ależ nie – rzekł Jim.

–Możesz nie pamiętać. To fascynujące! Ja mam na imię Danielle. Jestem córką Gilesa z Wrzosowisk, ale teraz żyję samotnie.

–Gilesa z Wrzosowisk? – powtórzył Brian. – On jest wyjęty spod prawa, nieprawdaż?

–Teraz jest! – odpaliła, zwróciwszy się do niego. – Kiedyś był szlachcicem, ale nikomu nie powiem jego prawdziwego imienia.

Aragh warknął.

–Bez urazy – rzekł Brian z zaskakującą łagodnością. – Myślałem jednak, że Giles z Wrzosowisk żyje w Królewskim Lesie, za torfowiskiem w Brantley?

–Masz rację – odpowiedziała. – I nadal przebywa tam ze swymi ludźmi. Lecz ja, jak mówiłam, nie mieszkam z nim.

–Aha – stwierdził Brian.

–A bo co? – parsknęła. – Dlaczego miałabym spędzać czas w gromadzie mężczyzn, z których każdy mógłby być moim ojcem, i równie podstarzałych ko-

biet, albo wśród młodych, gburowatych gamoni, co czerwienia się i jękają w mojej obecności? Córka mojego ojca zasługuje na lepszy los.

–No, no – stwierdził Brian.

–No i pstro.

Przeniosła wzrok na Jima i głos jej złagodniał.

–Nie myślę się usprawiedliwiać, sir Jamesie, ale chcę szczerze powiedzieć, że nie strzelałabym do was, gdybym wiedziała, że jesteście przyjaciółmi Aragha.

–Wszystko w porządku – rzekł Jim.

–Całkiem w porządku – powtórzył Brian. – Jednak my trzej powinniśmy, moja damo z Wrzosowisk, ruszać dalej, jeśli skończyłaś drapać wilka. Chcemy dojść do Zamku Malvern, zanim wieczorem zamkną bramę.

Skierował konia z powrotem i ruszył. Jim, po krótkim wahaniu, podążył za nim. Chwileczkę później przyłączył się do nich Aragh i Danielle, z przewieszonym przez ramię łukiem i kołczanem.

–Udajecie się do Zamku Malvern? – spytała. – Po co?

–Muszę prosić mą panią, Geronde de Chaney, by pozwoliła mi towarzyszyć sir Jamesowi w wyprawie na odsiecz jego pani.

–Jego pani? – odwróciła się do Jima. – Masz swą panią? Kto to jest?

–Angela... eee... de Farrel, z Placuprzyczep.

–Dziwne imiona nosicie za morzem – skomentował Brian.

–Jak ona wygląda? – dopytywała się Danielle. Jim zawahał się.

–Jak twierdzi sir James – wtrącił Brian – jest piękna.

–Ja też jestem piękna – rzekła na to Danielle. – Czy jest równie urodziwa?

–No... – zająknął się Jim. – I tak, i nie. To znaczy, jesteście w różnym typie...

–W różnym typie? Co masz na myśli?

–Trochę to trudno wyjaśnić – powiedział Jim. – Niech się zastanowię. Może znajdę lepszy sposób na objaśnienie tego, kiedy będę mógł odrobinę pomyśleć.

–Dobrze, pomyśl – rzekła Danielle. – Ale chcę wiedzieć. A tymczasem chyba pójdę z wami do Zamku Malvern.

Brian otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale rozmyślił się.

Posuwali się wszyscy razem. Danielle nie skorzystała z propozycji Briana, by wsiąść z nim na konia. Twierdziła, że może prześcignąć jego przyciężkiego, białego rumaka, jeśli tylko zechce. W każdym razie na pewno szła szybciej niż koń.

Jim usiłował połączyć w logiczną całość wszystkie elementy tego niewiarygodnego świata. Smoki, czarodziej, piaszczomroki (gdyby je dawniej ujrzał w jakimś filmie, wykpiłby ów pomysł bez wątpienia), Aragh i teraz ta kasztanowowło-sa boginka z łukiem i kołczanem pełnym strzał rozmawiała jak... nie wiedział, kogo mu przypominała. Łapał się na tym, że w jej obecności jego wypowiedzi

stają się coraz ostrożniejsze. Jej bezpośredniość przerażała go. Kto ją nauczył, że można zadawać wszystkie pytania, jakie tylko przychodzą do głowy?

Gdy następnym razem spyta mnie o coś takiego – powtarzał w duchu – powiem po prostu, że to nie jej sprawa...

–Bzdury! – usłyszał, jak Brian mówi do Aragha. – Mówię ci, że z tego miejsca dojdziemy do zamku od tyłu, od strony potoku Lyn. Mury tam wznoszą się na skale i nie ma żadnej możliwości wejścia, nawet gdyby ktoś z załogi mnie rozpoznał.

–A ja ci mówię, że wyjdziemy wprost na bramę! – warknął Aragh.

–Wracamy!

–Brama...

–Słuchajcie – wtrącił pospiesznie Jim, raz jeszcze odgrywając rolę rozjemcy między tymi dwoma. – Pozwólcie mi spytać jakiegoś tubylca. Dobrze?

Pokój za wszelką cenę. Zboczył ze szlaku i rozejrzał się w poszukiwaniu kogoś, od kogo mógłby się czegoś dowiedzieć. Nie będzie to chyba zbyt trudne. Prawda, że okolica wydawała się nie zamieszkana, ale w tym świecie prawdopodobnie wszystkie stworzenia umiały mówić – smoki, żuki, wilki... Z wyjątkiem może roślin.

Jak na złość nic nie pojawiało się w polu widzenia. Krążył tu i tam, wypatrując myszy, ptaka... Nagle niemal potknął się o borsuka.

–Hej, zaczekaj! – krzyknął.

Borsuk usiłował umknąć. Jim wzbił się w powietrze i po chwili ciężko opadł na ziemię, tuż przed zwierzęciem.

Przyparł go do krzaka. Borsuk wyszczerzył zęby w prawdziwie borsuczym stylu.

–Nie bój się – rzekł Jim. – Chciałem się tylko o coś spytać. Idziemy do Zamku Malvern. Czy ta droga doprowadzi nas do bramy, czy też na tyły zamku?

Borsuk zjeżył się i syknął na niego.

–Ależ nie... – powtarzał Jim. – Ja się tylko pytam...

Borsuk warknął i rzucił się na przednią łapę Jima. Gdy ten ją wyrwał, zwierzę obróciło się z zaskakującą prędkością, prześliznęło się obok krzaka i zniknęło. Jim w osłupieniu wpatrywał się w puste miejsce.

Wreszcie odwrócił się i ujrzał za sobą Briana, Danielle i Aragha wytrzeszczających na niego oczy.

–Chciałem uzyskać jakieś wskazówki od kogoś, kto wie... – zaczął, ale głos uwiązł mu w gardle na widok ich spojrzeń.

Patrzyli na niego, jakby całkiem postradał zmysły.

–Gorbash – rzekł w końcu Aragh. – Próbowalesz rozmawiać z borsukiem?

–No, tak – odparł Jim. – Chciałem tylko spytać kogoś, kto zna te tereny, czy wyjdziemy na tyły Zamku Malvern, czy też do bramy.

–Ale mówiłeś do borsuka! – rzekła Danielle.

Brian chrząknął.

–Sir Jamesie – zaczął – czy rozpoznałeś w tym borsuku kogoś znajomego, czy również został zaczarowany? A może w twoim kraju borsuki potrafią mówić.

–No, nie... to znaczy nie rozpoznałem nikogo w tym borsuku, a w moim kraju borsuki nie mówią – odrzekł Jim. – Ale myślałem...

Głos mu się załamał. Chciał powołać się na przykład mówiących smoków, żuków podwórzowych i wilków, ale urwał w obliczu tych spojrzeń, choć czuł, że popełnił jakieś głupstwo.

–W głowie mu się pomieszało i tyle! – burknął Aragh.

–Nie jego wina.

–Ależ – bronił się Jim. – Potrafię mówić, chociaż jestem smokiem.

–Czy tam, skąd pochodzisz, smoki nie mówią? – spytała Danielle.

–U nas nie ma smoków.

–Więc skąd ten pomysł, że one nie potrafią mówić? – wypytywał Aragh.

–Jesteś przemęczony, Gorbash, i w tym problem. Spróbuj w ogóle nie myśleć przez jakiś czas.

–Ale mamy wilki tam, skąd pochodzę – wtrącił Jim – i one nie mówią.

–Wilki nie mówią? Gorbash, umysł ci się zmącił. Ile wilków znasz?

–Bliżej nie znam żadnego, ale widziałem je... to znaczy na...

Jim błyskawicznie uświadomił sobie, że słowo „zoo” i „film” będą tyle znaczyły dla tej trójki przed nim, ile „numer polisy ubezpieczeniowej” znaczył uprzednio dla rycerza. Cokolwiek by teraz powiedział, byłby to jedynie bezsensowny bełkot.

–A co z żukami podwórzowymi? – pytał rozpaczliwie. – Gdy rozmawiałem z Carolinusem, ten pokropił ziemię i podwórzowy żuk wyszedł na powierzchnię i mówił.

–Spokojnie, sir Jamesie – rzekł Brian. – Czarodziejski, oczywiście. Musiał to być czarodziejski żuk. Żuki podwórzowe nie potrafią mówić, tak jak i borsuki.

–No, dobrze – powiedział zrezygnowany Jim słabym głosem. – Nieważne. Może rzeczywiście zbyt dużo myślałem, jak twierdzi Aragh. Zapomnijmy o tym i ruszajmy dalej.

Raz jeszcze podjęli przerwana podróż, gdy niespodziewanie złapała ich gwałtowna ulewa. Kiedy zaczęły padać ciężkie krople, Jim przez chwilę rozglądał się za jakimś schronieniem, ale zauważył, że pozostała trójka całkowicie ignoruje deszcz.

Uświadomił sobie, że jego pancerna skóra zaledwie odczuwa wilgoć, więc także zdecydował się iść dalej. Po chwili ulewa minęła i zaczęło wyglądać słońce.

Nagle Aragh zaczął węszyć.

–Czuję dym – rzekł.

Jim wciągnął nosem wiatr. Jego smoczy węch nie ustępował wiele wilczemu, ale dopiero teraz, gdy zwrócił na to uwagę, był w stanie poczuć dym. Skoro czuli

zapach, choć wiatr nie niósł go w ich stronę, to źródło dymu musiało być bardzo blisko przed nimi.

Aragh przeszedł w kłus, a Brian spał konia ostrogami, by nie zostać w tyle. Jim wydłużył krok, Danielle zaś swobodnie biegła obok niego. Wypadli spomiędzy drzew i zatrzymali się na polanie, na skraju podwójnego szeregu pokrytych słomą lepianek. Niektóre z nich wciąż dymiły.

Wioska, jeśli można ją tak nazwać, była cicha i nikt się po niej nie kręcił. Poza tym, że tliło się kilka chat – ulewa najwyraźniej przy gasiła płomienie – nic się nie działo. Widać było cztery czy pięć osób, które spały między chatami i przed drzwiami. Dorastająca dziewczyna w brązowej sukni z samodziału leżała na boku plecami w ich stronę, a jej czarne włosy powalane były błotem.

Jim osłupiał ze zdumienia. Czyżby ci ludzie obchodzili dziś jakieś święto, w czasie którego tak się spili, że nawet nie gasili pożaru swej nędznej osady, podpalonej pewnie podczas pijackiej awantury? Uczynił jeszcze krok w stronę dziewczyny, by ją zbudzić i wypytać, a wtedy dwunastu lub więcej konnych w hełmach, półzbrojach i z obnażonymi mieczami wyjechało z chat i skierowało się w stronę Jima i pozostałej trójki.

Jimowi wydało się, że obraz przed nim nagle przeskoczył, niczym klatki na uszkodzonej taśmie filmowej. W jednej chwili ujrzał zupełnie inną wioskę: leżący dookoła ludzie nie spali, oni byli martwi – pomordowani – a ich zabójcy znajdowali się na drugim końcu wiejskiej uliczki. Zrobił jeszcze jeden krok, spojrzał na martwą dziewczynę i zobaczył, że jej ręce nie mają dłoni. Zostały odcięte w nadgarstkach.

Swąd dymu zdawał się wypełniać mu umysł. Wzbił się w powietrze i runął wprost najeźdźców. Gdy wpadł między nich, ujrzał wzniesione miecze, w których błyskało zachodzące słońce, lecz nie czuł żadnych ciosów. Trzy konie padły pod uderzeniem jego ciała, dwóch obalonych jeźdźców cisnął na bok, a trzeciego, tego który był wprost przed nim, niemal rozdarł na dwoje jednym kłapnięciem szczęk. Kiedy opadł na ziemię, stanął dęba i atakował jednocześnie pazurami, zębami i skrzydłami.

Wszystko wokół niego zamazało się. Zobaczył nagle, jak strzała wbija się do połowy w napierśnik któregoś jeźdźca, a po prawej stronie jakiś metaliczny błysk włączył się do walki. Ostrze kopii Briana zrzuciło jednego przeciwnika z konia, a za chwilę następny wyleciał z siodła. Rycerz odrzucił kopię i siekł mieczem na lewo i prawo, gdy tymczasem jego ociężały, biały rumak – nagle przeistoczony – stawał dęba, rżał, wierzgał przednimi kopytami i gryzł wściekle, powalając wokół siebie na ziemię lżejsze konie wrogów.

Po lewej stronie Jima jakiś jeździec zniknął nagle z siodła, a zamiast niego Aragh pojawił się na końskim grzbiecie. Wyszczierzając kły skoczył z siodła na innego przeciwnika...

Nagle wszystko skończyło się. Dwóch czy trzech zbrojnych i tyleż koni bez



jeźdźców oddalało się galopem. Na ziemi Aragh przegryzał gardła tym, którzy jeszcze żyli. Jim uspokoił się i rozejrzał dokoła, ciężko dysząc.

Zarówno Aragh, jak i Brian zdawali się nietknięci. Danielle, co Jim stwierdził z radością, była jeszcze o kilka domów dalej i podchodziła do nich, ciągle trzymając w ręku gotowy, choć nie napięty łuk. Wyglądało na to, że rozsądnie została w tyle i używała swej broni tak, jak powinna – na dystans.

Jim spojrzał na swe przednie łapy. Umazany był krwią, z której zapewne część to jego własna, ale nic nie czuł. Uświadomił sobie, że targają nim dwa sprzeczne uczucia, z których każde usiłowało zdobyć przewagę. Smok był wściekle zawiedziony, że nie może już zabić żadnego wroga, człowiek zaś czuł się tak, jakby za chwilę miał zemdleć.

## Rozdział 11

Nie ruszaj się! – rzekła Danielle. – Jak mam cię obmyć, skoro się wiercisz?

Chciał jej powiedzieć, że to smocza adrenalina sprawia, iż ciągle jeszcze wstrząsają nim nerwowe drgawki, ale nie wiedział, jak to objaśnić w zrozumiały dla niej sposób. Wprawdzie zaatakował pod wpływem odruchu ludzkiej zgrozy na widok martwej dziewczyny bez dłoni, lecz potem był w nim już tylko smok. Czy aby na pewno? Może on sam jest w jakimś stopniu równie dziki, jak Aragh, Brian czy też ludzie, których zabił.

–No, już dobrze – powiedziała Danielle, skończywszy obmywanie ran. Była znającą się na rzeczy, choć nie okazującą współczucia pielęgniarką. – Jesteś trochę pocięty, ale to nic poważnego. Zaledwie trzy czy cztery rany wymagają może bandaży i maści, ale i bez tego powinny się szybko zagoić, jeśli ich nie zanieczysz. Nie tarzaj się po ziemi, sir Jamesie.

–Tarzać się? Dlaczego miałbym to robić... – zaczął Jim, gdy do rozmowy wtrącił się Brian.

–Teraz jest jasne, że zaatakowali Zamek Malvern. Ta zgraja wieprzów nie plądrowałaby tak bezkarnie, gdyby oddziały z Malvern nie zostały przynajmniej otoczone w murach zamku, niezdolne do kontrataku. Najlepiej zrobimy, jeśli ostrożnie przyjrzymy się zamkowi.

–Czyja kiedykolwiek zbliżałem się do zamku w inny sposób?

Aragh stanął obok i choć słowa były w jego wilczym stylu, tym razem zabrzmiały wyjątkowo łagodnie.

–A co, jeśli zamek nie jest już w rękach twojej pani? Czy zawrócimy?

–Niezbyt daleko – odparł przez zęby Brian. – Jeżeli zamek jest zdobyty, muszę moją panią ratować... lub pomścić, i to jest ważniejsze niż chęć niesienia pomocy sir Jamesowi. Trzeba znaleźć inne miejsce na nocleg, jeśli wrogowie rzeczywiście dzierżą zamek. Niedaleko stąd jest karczma. Ale najpierw sprawdźmy, co dzieje się w zamku.

–Mogę pójść i wrócić nie zauważony przez nikogo – rzekł wilk. – Wy lepiej zaczekajcie tutaj.

–Jeśli tu zostaniemy, to ci, co uciekli, mogą wrócić z nowymi siłami – wtrącił Jim.

–Nie przyjdą po nocy – stwierdził Brian. – Chyba rzeczywiście będzie lepiej, jeśli samotnie rozpoznasz zamek, szlachetny wilku. A my pójdziemy do karczmy. Czekaj! Nie wiesz przecież, gdzie jest karczma.

–Jeśli dacie mi trochę czasu, sam mógłbym tam jakoś trafić – rzekł Aragh.

–Na zachód od zamku jest niewielkie wzgórze z koroną buków widoczną na tle nieba. Gdy spojrzysz ze szczytu tego wzgórza na południe, o dwa strzały z łuku ujrzysz miejsce, gdzie drzewa ciemnieją w kotlinie. Samej karczmy nie będzie widać, ale znajdziesz ją pod tymi drzewami.

–Do zobaczenia – powiedział Aragh i już go nie było. Jim, Danielle i Brian poszli skrótem przez las. Brian prowadził.

–Znam dobrze te okolice – wyjaśnił. – Gdy byłem chłopcem, spędziłem trzy lata jako giermek, ucząc się dobrych obyczajów u sir Orina. Wtedy to moja pani i ja obeszliliśmy albo objechaliśmy każdą piędź tej ziemi.

Szarzało coraz bardziej, gdy w końcu dotarli do miejsca, w którym Brian gwałtownie stanął, podniesieniem ręki wstrzymując równocześnie Jima i Danielle.

–Karczma jest za tymi drzewami – rzekł do nich. – Idźcie ostrożnie i ściszej głosy. Dźwięk się tutaj niesie. Zwłaszcza gdy nie ma wiatru.

Cicho ruszyli do przodu. Zobaczyli otwartą przestrzeń mającą nawet w najwęższym miejscu ze czterysta jardów. Strumień płynął rowem przekopanym tak, że tworzył fosę wokół długiego masywnego budynku z okrągłaków, zbudowanego na wierzchołku trawiastego wzgórka – najwyraźniej sztucznie usypanego w środku polany. Do odleglejszego końca domu przylegało coś w rodzaju półotwartej szopy, a w niej widać było dwa spętane konie.

–Drzwi i okiennice karczmy odemknięte – mruczał Brian. – A więc nie oczekują oblężenia. Z drugiej strony trudno spodziewać się jakiejś zasadzki we wnętrzu, skoro tylko dwa konie stoją w stajni. Mimo wszystko najlepiej zrobimy czekając na Aragha. Myślałem, że będzie tu przed nami, skoro umie poruszać się tak błyskawicznie.

Po kilku zaledwie minutach coś z tyłu poruszyło się i Aragh znalazł się wśród nich.

–Potwierdzają się twoje obawy, szlachetny rycerzu – rzekł. – Zamek jest zamknięty i strzeżony. Poczulem również zapach krwi przed główną bramą. Zbrojni na murach mówili o swym panu: sir Hugh.

–De Bois! – zdawało się, że imię to nie przejdzie Brianowi przez gardło.

–A jaki inny sir Hugh mógłby to być? – kły Aragha zalsniły czerwienią w ostatnich promieniach słońca. – Ciesz się, rycerzu! Niebawem obaj staniemy przed swoją szansą.

–Cieszyć się? Przecież zamek i bez wątpienia moja pani są w jego rękach!

–Może uciekła – wtrącił Jim.

–Ona jest z rodu de Chaney i strzeże zamku swego ojca, który może poległ w ziemi Saracenów. Broniła zamku do śmierci albo popadła w niewolę – Brian

zagryzł wargi. – W jej śmierć nie wierzę... A więc jest w niewoli.

–Niech będzie, jak mówisz, szlachetny rycerzu – rzekł Aragh.

–Z całą pewnością tak jest, szlachetny wilku. Ale teraz musimy dokładnie zbadać karczmę, czy nie ma w niej jakiej zasadzki.

Aragh znów się roześmiał.

–Czy myślicie, że przyszedłbym do was pierwaj, niż obejrzałem tę chatę? Zanim was spotkałem, podszedłem tam bardzo blisko i podsłuchiwałem trochę. W środku jest karczmarz, jego rodzina i dwóch służących. Poza tym jeden gość, i to wszystko.

–Aha – rzekł Brian. – Więc wchodzimy.

Ruszył pierwszy, a pozostali poszli za nim, nie kryjąc się.

–To niepodobne do Dicka Karczmarza – zaniepokoił się Brian. – Nie stoi w takiej chwili przed drzwiami, nie patrzy, kim jesteście i jakie mamy zamiary...

Wszedł do karczmy i zamarł w bezruchu.

Wpatrywał się w kościstą postać mężczyzny siedzącego na grubo ciosanym stołku. W jednym ręku trzymał najdłuższy łuk, jaki Jim kiedykolwiek widział, w drugim – strzałę nałożoną na nie naciągniętą cięciwę.

–A teraz najlepiej zrobiecie przedstawiając się – rzekł obcy mężczyzna miękkim tonem z dziwnym, śpiewnym akcentem. – Wiedźcie, że każdego z was mogę przeszyć strzałą, zanim zdążycie zrobić jeden krok. Ale wydajecie mi się tak dziwną zgrają podróżnych, że jeśli macie coś do powiedzenia, to gotów jestem wysłuchać.

Rozdział 12

Jestem sir Brian Neville Smythe! – rzekł szorstko Brian. – A ty powinienes dwa razy się zastanowić, czy zdołasz wystrzelić, nim ktoś z nas cię dopadnie. Myślę, że ja sam mógłbym cię sięgnąć.

–O nie, rycerzu – odpowiedział człowiek z łukiem. – Nie sądz, że zbroja czyni cię lepszym od całej reszty. Z tej odległości i damski kubrak, i twoja stalowa osłona są równie łatwe do przebicia. Smoka zaś nawet ślepy nie chybiłby, zważcie.

A co do wilka...

Urwał nagle i przez chwilę śmiał się bezgłośnie.

–To jakiś roztropny wilk – stwierdził – i bardzo szczywany. Nawet nie widziałem, kiedy zniknął.

–Mistrzu Łuku – doszedł spoza otwartych drzwi głos niewidocznego Ara-gha. – Któregoś dnia będziesz musiał opuścić tę karczmę i ruszyć w lasy. Gdy przyjdzie ten dzień, to w najmniej oczekiwanym momencie wyzioniesz ducha z rozerwanym gardłem, nim zdołasz dotknąć cięciwy, jeśli tylko skrzywdzisz Gor-basha lub Danielle z Wrzosowisk.

–Danielle z Wrzosowisk? – łucznik przyjrzał się Danielle. – Czy jesteś może krewną Gilesa z Wrzosowisk, pani?

–To mój ojciec – rzekła Danielle.

–Wspaniale! Jest to człowiek i łucznik, którego najgoręcej pragnę poznać. –

**Łucznik podniósł głos. – Bądź spokojny, wilku. Nie uczynię nic złego tej damie ani teraz, ani później.**

**–Dlaczego chcesz poznać mego ojca? – ostro spytała Danielle.**

**–Po to, by porozmawiać z nim o sztuce łuczniczej – odrzekł mężczyzna. – Wiedz, że jestem Dafydd ap Hywel i używam długiego łuku, takiego samego jak ten, który powstał i od dawna jest w użyciu w Walii, a który niesłusznie nazwano łukiem angielskim. Wędruję więc tu i tam dowodząc angielskim łucznikom, że żaden z nich nawet nie może się mierzyć z Walijszym ani w celności, ani w zasięgu strzału, ani w niczym, co dotyczy łuku, cięciwy i strzały, a wszystko dlatego, że mam w żyłach krew prawdziwych łuczników, a oni nie.**

**–Giles z Wrzosowisk w każdej chwili dowiedzie ci, że nawet w połowie mu nie dorównujesz! – zapalczywie rzekła Danielle.**

–Naprawdę nie sędzę, by zdołał to zrobić – powiedział łagodnie Dafydd, zerkając na nią. – Ale mam szczery zamiar ujrzeć twą twarz, pani... – Podniósł głos. – Gospodarzu! – zawołał. – Daj tu więcej pochodni! Wiedz również, że masz więcej gości!

Z dalszej części budynku dobiegł cichy odgłos rozmów i kroków, a po chwili przez drzwi wlało się światło pochodni niesionej przez barczystego, niezbyt wysokiego mężczyznę.

Gdy zapłonęły nowe światła, Jim zauważył, że Brian ma groźną minę.

–Cóż ty, Dicku Karczmarzu? – powiedział rycerz. – Traktujesz w ten sposób starych znajomych? Kryjesz się w głębi karczmy, aż twój gość musi cię wzywać?

–Sir Brian, ja... proszę mi wybaczyć... – Dick Karczmarz najwyraźniej nie zwykł przeproszać i z trudem dobierał słowa. – Ale mam dach nad głową i moja rodzina żyje tylko dzięki temu gościowi. Możesz jeszcze nie wiedzieć, panie, że Zamek Malvern został zdobyty przez sir Hugh'a de Bois de Malencontri...

–Wiem o tym – przerwał Brian. – Wygląda jednak, że ty ocalałeś.

–Ocaleliśmy tylko dzięki temu łucznikowi. Było to dwa dni potem, jak zatrzymał się on tutaj na nocleg. Wczoraj rano usłyszeliśmy tętent na zewnątrz i zobaczyliśmy piętnastu czy dwudziestu zbrojnych jadących do lasu. „Nie podoba mi się to” rzekłem do niego, gdy tak razem staliśmy w drzwiach. „Nie podoba ci się, gospodarzu?” powiedział tylko i wyszedł przed drzwi, gdzie wezwał tamtych, by się nie zbliżali.

–To nie było nic wielkiego – powiedział Dafydd z za stołu. – Oni byli o ćwierć drogi z lasu i nie mieli wśród siebie łuczników ani kuszników.

–Mimo wszystko – rzekł Brian, patrząc na niego z zainteresowaniem. – Dick mówi o piętnastu czy dwudziestu. Niepodobna, by zatrzymali się tylko na twe wezwanie.

–Tak też było – wyjaśnił karczmarz. – I wtedy on uśmiercił pięciu z nich, zanim zdążyłem zaczerpnąć tchu. Inni uciekli. Kiedy wyszedłem później, by zabrać ciała, okazało się, że wszystkie strzały tkwiły dokładnie w samym środku napierśników.

Brian aż gwizdnął.

–Moja panno Danielle – powiedział. – Odnoszę wrażenie, że twój ojciec może mieć trudności z pokonaniem tego walijskiego łucznika. Zgaduję, Dick, że ci ludzie sir Hugh'a nie wrócili tu więcej?

–Mogą wrócić, jeśli zechcą- rzekł łagodnie Dafydd. – Nie szukam zwady, ale powiedziałem im, że nie wejdą tu i nie wejdą.

–Nie wrócą – stwierdził Brian. – Sir Hugh nie jest aż tak głupi, by tracić ludzi, nawet dla zdobycia tak cennej karczmy jak ta.

Karczmarz wciąż się krzątał.

–... a co sobie życzyłyby pan do jedzenia i picia, sir Brian? – mówił. – Mam mięsiwa świeże i solone, chleb, owoce... piwo, porter, a nawet wina francuskie... Jim słuchał z rosnącym zainteresowaniem.

–A cóż ja mogę dać smokowi? – karczmarz zwrócił się do Jima. – Nie mam bydła ani świń, ani nawet kóz. Może, jeśli ta poczciwa bestia...

–Dick – rzekł surowo Brian – ten szlachcic to sir James Eckert, baron Riveroak z zamorskiego kraju. Został zamieniony w smoka i w tej postaci widzisz go teraz.

–Ach! Proszę mi wybaczyć, sir Jamesie! – Dick Karczmarz załamał ręce. Jim gapił się na niego z ciekawością, gdyż nigdy nie widział czegoś takiego. – Jak mogę naprawić moją głupotę? Trzydzieści trzy lata prowadzę tę karczmę i nigdy jeszcze nie zdarzyło się, bym nie rozpoznał szlachcica, gdy przekroczył mój próg. Ja...

–Wszystko w porządku odrzekł zakłopotany Jim. – To zrozumiała pomyłka.

–Jesteście, panie, uprzejmi, ale ktoś, kto prowadzi karczmę, nie robi błędów – rozumiałych czy też nie – bo inaczej wypada z interesu. Co, w takim razie, mogę przynieść do jedzenia, sir Jamesie? Będziecie, panie, jedli to samo co inni? Nie wiem, co jada się w zamorskich krajach. Moja piwnica naprawdę wypełniona jest różnymi...

–Dlaczego nie miałbym tam zejść i rzucić okiem? – rzekł Jim. – Czy mówiłeś coś o... winie?

–Oczywiście. Wino z Bordeaux, z Owernii, z...

–Myślę, że miałbym ochotę na odrobinę wina.

Była to przesadna skromność. W chwili gdy karczmarz wspomniał o winie, Jimowi serce zabiło żywiej. Niemal tak samo jak wtedy, gdy padało słowo „złoto”. Okazało się, że smoki oprócz zamięłowania do skarbów mają również pociąg do wina.

–W twojej piwnicy znajdę sobie coś do jedzenia. Nie zawracaj sobie mną głowy.

–W takim razie proszę iść za mną, sir Jamesie – zaproponował Dick, kierując się w stronę wewnętrznych drzwi. – Myślę, że zmieścicie się tu, panie. Wejście do piwnicy też powinno być wystarczająco szerokie, a schody dostatecznie dla was mocne, gdyż toczymy tamtędy beczki...

Okazało się, że piwnica rzeczywiście mogła stanowić dumę karczmarza. Ciągnęła się wzdłuż całej karczmy i pełna była wszystkiego, co można by znaleźć począwszy od średniowiecznego poddasza, a na średniowiecznej zamkowej spiżarni skończywszy. Odzież, meble, worki zboża, pełne i puste butelki, beczki z trunkami...

W odległym końcu były ciężkie drewniane belki z hakami, z których zwisały półcie wędzonego mięsa, a między nimi pokaźne szynki.

–Tak – rzekł Jim zatrzymując się przy szynkach – to powinno mi odpowiadać. Gdzie jest wino, o którym mówiłeś?

–Pod przeciwną ścianą, sir Jamesie – powiedział krzątający się Dick. – W butlach... ale może wolelibyście, panie, spróbować tego z beczek, mam większy wybór...

Szperał po ciemnych półkach. W końcu podniósł się, trzymając wielkie skórzane naczynie z drewnianą rączką przymocowaną metalowymi klamrami. Na oko miało pojemność około trzech czwartych galona amerykańskiego. Podał je Jimowi.

–Może popróbujecie, panie, różnych win – wina są z tej strony, piwo i porter z tamtej – a ja tymczasem zaniosę trochę mięsiwa i napojów sir Brianowi i reszcie. Zaraz wrócę i zaniosę to, co wy, panie, wybieriecie sobie.

–Nie kłopotz się – rzekł przebiegle Jim. – W obecnej sytuacji meble jakoś nie pasują do mojego smoczego ciała. To trochę żenujące próbować jeść razem z innymi, którzy są w swej normalnej ludzkiej postaci. Dlaczego nie miałbym zjeść i wypić tu na dole?

–Jak sobie życzyacie, sir.

Dick wyszedł, taktownie zostawiając obok beczek z winem pochodnię w uchwycie.

Jim zatarł przednie łapy, rozglądając się dokoła...

### Rozdział 13

Jim ocknął się z niejasnym wrażeniem, że gdzieś w pobliżu trwa rozmowa. Dwa męskie głosy starały się rozmawiać szeptem, ale pod wpływem emocji raz po raz podnosiły się bardziej niż zamierzali ich właściciele. Powoli budząc się, ale nadal nie otwierając oczu, Jim rozpoznał głosy Briana i karczmarza.

Słuchał leniwie, nie zwracając większej uwagi na treść rozmowy. Czuł się zbyt błogo, by zainteresować się czymkolwiek. Po raz pierwszy od czasu, gdy znalazł się w smoczym ciele, miał w żołądku miłe uczucie sytości. Nie skusiłby go już żaden przysmak znajdujący się nawet w zasięgu ręki. Zwłaszcza wino dopełniło miary smoczego szczęścia. I to bez żadnych następstw. Może smoki nie miewają kaca...?

Stopniowo wracała mu pełnia świadomości. Przez powieki widział światło jakiejś nowej pochodni; ta poprzednia pozostawiona przez Dicka wypaliła się, gdy Jim zajęty był jedzeniem i piciem. Jego smocze ciało radziło sobie zresztą nieźle w ciemnościach i również wtedy potrafiło znaleźć w piwnicy wszystko, co go interesowało.

Obydwa głosy brzmiały już całkiem zrozumiale i Jim stwierdził, że przysłuchuje się rozmowie, wbrew sobie i pomimo to, iż tamci najwyraźniej nie chcieli go niepokoić.

–... ależ sir Brianie – ponuro mówił karczmarz – gościnność to jedno, zaś...

–Łucznik mógł cię obronić przed niewielką zgrają łotrzyków – rzekł surowo Brian – ale jeśli sir Hugh ma być przepędzony, a życie twoje i twojej rodziny znów bezpieczne, to właśnie sir James i ja jesteśmy tymi, którzy zapewnią ci spokój. Cóż odpowiesz mej pani, która kiedyś ponownie obejmie władzę na swym zamku, jeśli dowie się, iż poskąpiłeś odrobiny jadła i napoju jednemu z jej wybawców?

–Odrobiny! – Jim wyobraził sobie Dicka załamującego ręce. – Czterdzieści sześć

**najprzedniejszych szynek! Ćwierć beczki wina z Bordeaux i ze dwa tuziny butli innych win! Trzy takie posiłki sir Jamesa i będę zrujnowany!**

**–Przycisz głos! – warknął Brian. – Chcesz obudzić dzielnego rycerza swymi jękami i narzekaniami? Wstydz się, karczmarzu! Jestem z sir Jamesem od**



dwóch dni i przez ten czas nic nie jadł. Możliwe, że nie będzie potrzebował posiłku aż do czasu, gdy odbijemy zamek. A poza tym już mówiłem, że dopilnuję, by ci zapłacono za wszystkie straty, które przez niego poniosłeś.

–Wiem, sir Brianie. Ale karczmarz nie może postawić twych przyrzeczeń przed głodnymi gośćmi i wyjaśnić im, że ma pustki w piwnicy. Dużo czasu zabierze mi zgromadzenie takich zapasów, jakie mam – to znaczy miałem – na dole. Szynka zaś będzie pod moim dachem rzadkim rarytasem aż do Wielkiejnocy...

–Cicho, mówię! Idź stąd! – syknął rycerz. Światło pochodni i odgłos kroków oddaliły się.

Jim otworzył oczy w zupełnych ciemnościach. Poczęło gryźć go sumienie. Ten dziwny świat pełen mówiących stworzeń, czarów i Ciemnych Mocy jakoś uspił tę część jego osobowości. Teraz zbudziła się i odezwała ze zdwojoną siłą. Choćby zupełną ułudą okazała się jego obecność tutaj, był to przecież świat, w którym ludzie zwyczajnie rodzili się, cierpieli, umierali i ginęli, jak to biedne wiejskie dziecko z odciętymi dłońmi. Przypomniawszy sobie nagle, że chciał przenieść się z teraźniejszości swego świata w czasy średniowieczne, w których problemy byłyby konkretne i namacalne. A teraz, otoczony przez konkretne i namacalne problemy (choć w nieco innych realiach), zamiast doceniać ich konkretność i namacalność, zachowywał się tak, jakby żył w marzeniach, w których za nic nie ponosi odpowiedzialności.

Karczmarz miał rację. Co więcej, miał również poważny kłopot wywołany przez Jima, który częstował się bez opamiętania wszystkim, na co miał ochotę, z piwnicznych zapasów. Był to nie mniejszy szwindel, niż gdyby wszedł na zaplecze supermarketu i wyniósł stamtąd sto dwadzieścia sześć puszek szynki i dwadzieścia skrzynek wina.

A to, że Brian wziął na siebie odpowiedzialność za pokrycie kosztów tej gargantuicznej uczty, wcale nie polepszyło sprawy. Przede wszystkim Jim nie miał pojęcia, że stali się na tyle bliskimi przyjaciółmi, by jeden z nich podejmował aż takie zobowiązania w imieniu drugiego. Ze wstydem przyznał, że w odwrotnej sytuacji przyjąłby postawę typową dla dwudziestego wieku: jeśli ktoś, kogo zna się od paru dni, sam wplątuje się w kłopoty, to również wyplątanie się z nich powinno być jego sprawą...

Niespodziewana myśl rozjaśniła mu nagle umysł niczym pochodnia zapalona w okopconej piwnicy. Przecież jakaś część pamięci Gorbasha wciąż musi tkwić w ciele użytym przez Jima. Może udałoby się odtworzyć informacje o skarbie Gorbasha? Gdyby wiedział, gdzie ten skarb się znajduje, sam mógłby zapłacić Dickowi Karczmarzowi i uwolnić swe sumienie od ciężących na nim zobowiązań wobec rycerza.

Podniesiony na duchu tą myślą Jim poderwał się i ruszył pewnie, mimo ciemności, przez piwnicę ku prowadzącym do kuchni schodom. Nikogo tu nie było prócz otyłej kobiety w wieku karczmarza, która zgięła się w pokłonie na jego

widok.

–Hm... cześć – rzekł Jim.

–Dzień dobry, sir Jamesie – odpowiedziała kobieta. Jim skierował się do sali jadalnej. Czuł wstyd na myśl o spotkaniu z karczarzem lub sir Brianem, ale izba, do której wszedł, była pusta. Frontowe drzwi stały otworem – naturalna metoda wentylacji w warunkach, gdy okna nawet przy otwartych okiennicach były zaledwie wąskimi szczelinami nadającymi się raczej do obrony niż do wpuszczania światła i powietrza. Wyszedł na zewnątrz i znów usłyszał głosy Briana i karczarza, ale w pewnej odległości. Znajdowali się w stajni na przeciwległym końcu budynku i oglądali białego rumaka Briana; zwierzę też odniosło drobne obrażenia podczas walki w wiosce.

Rozmowa o ranach konia przypomniała Jimowi jego własne. Wczoraj ledwie o nich pamiętał. Dzisiaj jednak odezwały się. Nic wielkiego, podobnie odczuwałby kilka zacięć na twarzy po nieumiejętnym goleniu się żyletką. Jego smocze ciało odczuło potrzebę polizania ran i szybko odkrył, że dzięki giętkiej szyi i długiemu językowi bez kłopotów sięga do wszystkich skaleczeń.

Po wylizaniu ran przestał niemal odczuwać jakiegokolwiek dolegliwości. Usiadł i rozejrzał się. Dziesięć stóp od niego Aragh siedział na tylnych łapach i czuwał.

–Dzień dobry – rzekł Jim.

–Owszem, całkiem niezły – odrzekł Aragh. – Całą noc spędziłeś wewnątrz, prawda?

–No tak – odpowiedział Jim.

–Rób, jak uważasz – ponuro stwierdził Aragh. – Mnie nigdy nie przyła-piesz na wchodzeniu do tych klatek.

–W ogóle nie wchodziłeś.

–Oczywiście, że nie – zawarczał Aragh. – Takie rzeczy są dla ludzi. Jest coś słabego we wszystkich ludziach, Gorbash, nawet jeśli potrafią walczyć tak jak ten rycerz czy łuczniczka. Nie chodzi mi tylko o słabość ciała, ale i o słabość umysłu. Dziesięć lat mija, nim taki jest w stanie zająć się samym sobą, a i to nie w pełni. Pamięta, że go pieściono, karmiono, opiekowano się nim, więc i później przy każdej okazji szuka miejsc, w których znajdzie nowe pieścizny i jeszcze więcej opieki. Gdy zestarzeje się i osłabnie, znów go trzeba niańczyć. To nie dla mnie, Gorbash. Pierwsze ostrzeżenie, że słabnę, nadejdzie wtedy, gdy ktoś pozornie niezdolny do tego rozerwie mi gardło.

Jim skrzywił się nieco. Tę ocenę ludzkiej natury, zwłaszcza w połączeniu z poczuciem winy za ostatnią noc, odczuł boleśniej, niż gdyby usłyszał ją kiedy indziej. Wtem przypomniał sobie coś.

–Ale przyjemnie ci było, gdy Danielle drapała cię wczoraj za uszami – rzekł.

–Zrobiła to z własnej woli. Nie prosiłem jej – odburknął Aragh. – Oho, zaraz dobierze się do ciebie!

–Dobierze się do mnie?

Szczęki Aragha rozwarły się w jednym z jego bezgłośnych uśmiechów.

–Znam ją. Ty i te bzdury o twej ludzkiej pani, Gorbash! Teraz masz dwie.

–Dwie? – powiedział Jim. – Myślę, że cię ponosi wyobraźnia.

–Mnie? Idź i sam zobacz. Ona jest z tym łucznikiem tam w lesie. Jim odwrócił się w kierunku wskazanym przez pysk Aragha.

–Może i tak zrobię – rzekł.

–Powodzenia! – Aragh ziewnął i z zamkniętymi oczami wyciągnął się w słońcu.

Jim ruszył w stronę lasu. Idąc w cieniu pierwszych wielkich drzew nie zobaczył nikogo. Wtem jego smoczy słuch pochwycił dobiegające z nieco dalszej odległości głosy, których ludzkim uchem zapewne by nie dosłyszał. Czując się jak szpicel, ruszył ostrożnie w tym kierunku i stanął, gdy dojrzał rozmawiających.

Stali na małej polanie wśród drzew. Trawa u ich stóp, słońce nad nimi i wiązy dookoła tworzyły bajkowo śliczny obrazek. Danielle w swym kubraku wyglądała, jakby przybyła wprost z dawnych legend, a Dafydd niewiele jej ustępował.

Łucznik miał za sobą łuk i kołczan pełen długich strzał; Jim pomyślał, że on chyba nawet podczas snu nie trzyma ich dalej niż w zasięgu ręki. Danielle natomiast zostawiła gdzieś swój łuk i strzały. Nie miała żadnej broni prócz sztyletu u pasa. Sześciocalowa pochwa kryjąca zapewne niewiele krótsze ostrze wzbudzała jednak respekt.

–... poza tym – mówiła -jesteś tylko zwyczajnym łucznikiem.

–Nie takim zwyczajnym, pani – łagodnie odpowiedział Dafydd. – Zważ, że nawet ty powinnaś to zauważyć.

Pochylił się nad nią. Danielle była wysoka, lecz Dafydd znacznie ją przerastał. Jim stanowczo nie docenił wzrostu Walińczyka, gdy ten siedział w karczmie. Może Grottwold był równie wysoki, ale na tym kończyło się podobieństwo między nimi. Dafydd był prosty i giętki jak jego łuk, a bary miał szerokie jak drzwi karczmy. Jego twarz wyglądała, jakby wyszła spod dłuta rzeźbiarza – prosty nos, mocno zarysowana szczęka – a przy tym nie tak koścista jak u Briana. Głos miał łagodny i melodyjny. Mówił najszczerzą prawdę, gdy przed chwilą oceniał siebie. Nie był zwyczajnym łucznikiem.

Jim patrząc na niego nie mógł się nadziwić zachowaniu Danielle. Jak też ona może – zakładając, że Aragh mówi prawdę – wybrać kogoś takiego jak Jim, a nie tego średniowiecznego supermana? Na moment całkiem zapomniał, że znajduje się w ciele smoka, a nie w swej zwykłej ludzkiej postaci.

–Wiesz, co mam na myśli! – powiedziała Danielle. – Tak czy owak mam już na całe życie dość łuczników. Poza tym dlaczego miałabym przejmować się tobą, łuczniku, czy kimkolwiek jesteś.

–Ponieważ ujrzałem twą piękność, pani – odrzekł Dafydd – a zawsze w moim życiu pragnąłem pięknych rzeczy, które ujrzałem. Gdy zaś zapragnąłem,

nigdy nie spocząłem, zanim nie posiadałem ich.

–Więc to tak? Nie jestem jakąś błyskotką, którą możesz powiesić sobie u pasa, panie łuczniku! Tak się składa, że to ja powiem, kto mnie posiadzie!

–W rzeczy samej, powiesz. Ale nie powiesz nikomu innemu, póki mojego życia. Winnaś to teraz usłyszeć ode mnie.

–Hm! – Danielle nie zachnęła się wprawdzie, ale Jim miał wrażenie, że była o milimetr (a raczej jakiś jego średniowieczny odpowiednik) od tego. – Mam zamiar wydać się za księcia, jeśli w ogóle wyjdę za mąż. Co możesz zrobić wobec księcia?

–Wobec księcia, króla, cesarza, Boga czy Szatana postąpiłbym tak samo, jak wobec każdego człowieka lub potwora, który stanie między mną a damą, której pragnę. Jeden z nas zginąłby i nie sądzę, że byłbym to ja.

–Och, oczywiście, że nie! – zadrwiła Danielle. Odwróciła się i odeszła od Dafydd. Jim nagle stwierdził, że szła wprost na niego i za chwilę może odkryć jego obecność. Nie mógł zrobić nic innego, niż udać, że dopiero co tu przybył. Wszedł spośród drzew.

–To ty, sir Jamesie! – radośnie zawołała Danielle. – Dobrze spałeś tej nocy? Jak twoje rany?

–Rany? – powtórzył Jim. Z całą pewnością nie nazywała tak jego skaleczeń, gdy je wczoraj przemywała. – O, dziękuję! Spałem jak zabity!

–Drogi sir Jamesie – rzekła zbliżając się do niego. – Czekałam na twoje przebudzenie, abyśmy mogli trochę porozmawiać. Pamiętasz, są sprawy, o które chciałam cię spytać. Czy możemy się przejść, tylko we dwoje?

–Ależ... oczywiście – powiedział Jim.

Wszedł w las z mocnym postanowieniem wyjaśnienia wszystkich bzdurnych wyobrażeń, które Danielle mogłaby mieć w związku z nim. Czuł jednak, że w obliczu tego sam na sam jego pewność ulotniła się.

–O, dzień dobry, Dafydd.

–Dzień dobry, sir Jamesie – rzekł uprzejmie łucznik.

Danielle już trzymała Jima za przednią łapę i prowadziła go w las.

–Porozmawiamy później w ciągu dnia – Jim zawołał przez ramię do Dafydd.

–Z całą pewnością porozmawiamy później.

Po chwili mała polanka zniknęła im z oczu. Danielle przez jakiś czas wiodła Jima między drzewami, ale wkrótce zwolniła kroku.

–Czy pamiętasz cokolwiek? – spytała.

–Pamiętam? – powtórzył Jim.

–Kim byłeś poza tym, że miałeś tytuł barona Riveroak?

–No... kimże mógłbym być? – rzekł Jim. – To znaczy jestem tylko baronem...

–Ależ sir Jamesie – niecierpliwie powiedziała Danielle. – Przecież szlachcic to nie tylko tytuł. Zwłaszcza że można mieć wiele tytułów. Czyż nasz książę pan nie jest równocześnie hrabią Pierś, namiestnikiem Wschodniej Marchii i posiadaczem mnóstwa innych tytułów? A nasz król Anglii, czy nie jest także królem Akwitanii, udzielnym księciem Bretanii, udzielnym księciem Carabella, księciem Tours, księciem Kościoła i księciem Obojga Sycylii, hrabią takim, hrabią owakim... i tak dalej przez pół godziny? Baron Riveroak to zapewne twój najniższy tytuł.

–Dlaczego tak myślisz? – niepewnie spytał Jim.

–Dlatego, że zostałeś zaczarowany! – fuknęła Danielle. – Kto zajmowałby się rzucaniem czarów na zwykłego barona?

Jej głos złagodniał. Wspięła się na palce i delikatnie pogłaskała go po pysku. Dotyk jej ręki sprawił Jimowi, ku jego zaskoczeniu, wielką przyjemność. Zapragnął, by znów to zrobiła, a równocześnie poczuł ukłucie zazdrości o Aragha.

–Już dobrze, nie przejmuj się – powiedziała. – To czar sprawia, że nic nie pamiętasz. Czy cię na pewno nie bolało?

–Ani trochę – rzekł Jim. Spojrzała niepewnie.

–Zimą w drużynie mego ojca wiele rozmawialiśmy o czarach. Między grudniem i marcem, zasypani śniegiem, niewiele więcej mogliśmy robić, niż siedzieć wokół ognia i gawędzić. Nikt oczywiście nie był pewien, ale wszyscy sądzili, że zmianie postaci towarzyszyć musi nagły, ostry ból. Wiesz, taki sam jak wtedy, gdy ci ścinają głowę, i zanim jeszcze potoczy się ona na ziemię, a ty już zupełnie umrzesz.

–Ze mną tak nie było – powiedział Jim.

–Pewnie zapomniałeś, tak samo jak o tym, że byłeś księciem.

–Byłem księciem?

–Prawdopodobnie – odpowiedziała rozważnie Danielle. – Oczywiście mogłeś też być królem albo cesarzem, ale jakoś najbardziej pasuje mi do ciebie tytuł książęcy. Jak wyglądałeś?

–Cóż... – chrząknął Jim z zażenowaniem. – Byłem tego samego wzrostu co Brian i mniej więcej tyle samo ważyłem. Miałem czarne włosy, zielone oczy i dwadzieścia sześć lat...

–Tak – rzekła stanowczo Danielle. – To odpowiedni wiek dla księcia. Miałam rację.

–Danielle... – powiedział Jim. Zaczynał wpadać w popłoch. – Nie byłem księciem. Mam pewność, że nie byłem księciem. Nie mogę ci powiedzieć, skąd wiem, ale uwierz mi. Daję ci słowo, wiem, że nie byłem księciem!

–No, uspokój się – rzekła Danielle – nie przejmuj się tym. To bez wątpienia część rzuconego na ciebie zaklęcia.

–Co takiego?

–Przekonanie, że nie byłeś księciem. Na pewno ten, kto cię zaczarował, nie chciał, byś pamiętał, kim naprawdę jesteś. Czy może wiesz, jak zdjąć z ciebie zaklęcie?

–Pewnie! – z zapalem zawołał Jim. – Jeśli tylko wyślę Angelę, moją panią, z powrotem, natychmiast opuszczę smocze ciało.

–A więc to nic trudnego. Musisz tylko zebrać towarzyszy, ruszyć do Twierdzy Loathly, uwolnić tę panią Angelę i wysłać ją z powrotem tam, skąd przybyła.

–Skąd to...?

–Rozmawiałam z sir Brianem – rzekła Danielle. – Ilu towarzyszy musisz zebrać?

–Nie wiem – odpowiedział Jim. – Ale zrozum, że jak tylko uwolnię Angelę, wrócę razem z nią.

–Wrócisz razem z nią...?

–Kocham ją.

–Nie, nie – zaprzeczyła Danielle. – Zobaczysz, to znów tylko część rzuconego na ciebie czaru. Gdy tylko zostaniesz odczarowany, zobaczysz ją w prawdziwej postaci i zrozumiesz, że jej w ogóle nie kochasz.

–W prawdziwej postaci? – powtórzył zdezorientowany Jim. – Słuchaj, Danielle, ja wiem, jak ona naprawdę wygląda. Ona... ja... znamy się bardzo dobrze od półtora roku.

–To zaklęcie sprawia, że tak myślisz. Wpadłam na to nagle ostatniej nocy. Nie mogłeś mi odpowiedzieć, czy jest równie piękna jak ja – choć dobrze wiedziałeś, że nie gdyż zaklęcie każe ci myśleć, że ona jest najpiękniejsza. Żadna – powiedziała z naciskiem Danielle – nie jest tak piękna jak ja. Nie winie cię jednak, że nie jesteś w stanie tego dostrzec, skoro zostałeś tak zaczarowany.

–Ale...

–Słuchaj, sir Jamesie. W końcu musisz stawić czoło faktom. Spójrz na mnie i powiedz uczciwie, czy naprawdę wierzysz, że ta Angela jest równie piękna jak ja.

Jim zatrzymał się, by nie wpaść na Danielle, która stanęła przed nim nie dalej niż o stopę i patrzyła mu prosto w oczy.

Przełknął ślinę. Do diabła, miała rację. Chociaż bardzo kochał Angie, ta opalona doskonałość kształtów nie dałaby jego dziewczynie żadnych szans w żadnym konkursie piękności. Ale nie o to przecież chodziło. Pragnął Angie, a nie pięciu stóp i jedenastu cali...

–Nie o to chodzi, Danielle – zmusił się do odpowiedzi. – Pani Angela nie jest mi obojętna, i ja także nie jestem jej obojętny. Nawet gdybyś przekonała mnie, że jest inaczej, nie sądzę, byś mogła przekonać ją.

–Tak? – rzekła Danielle, a jej dłoń zaczęła bawić się pochwą noża. – No cóż. Będziemy mogły rozstrzygnąć tę drobną sprawę między nami, gdy nadejdzie

pora. Ale czy nie powinniśmy wracać do karczmy, sir Jamesie? Reszta będzie się zastanawiać, dlaczego tak długo jesteśmy we dwoje.

–Masz rację – powiedział Jim i zawrócił za nią. Ledwie uszedł kilka kroków, gdy zdał sobie sprawę, że znów narzuciła mu swą wolę. Kto mógłby zastanawiać się, co robią tak długo razem, przynajmniej dopóki znajdował się w ciele smoka?

Kiedy wrócili do karczmy, ujrzeni przed frontowymi drzwiami stół i ławy. Przy stole siedzieli Brian i Dafydd, trzymali skórzane kubki, a przed nimi stała butelka wina. Obok na tylnych łapach siedział Aragh. Łeb trzymał ponad stołem.

–Sir Jamesie! – zawołał Brian, gdy Jim i Danielle wynurzyli się z lasu. – Chodź do nas! Musimy obmyślić sposób odbicia zamku mojej pani.

Jim poczuł, że coś ściska go w dołku. Domyślał się już wcześniej, że Brian powziął zamiar przepędzenia sir Hugh'a de Bois de Malencontri i uwolnienia Geronde, ale raczej nie zaprzętał sobie tym głowy. Teraz jednak, gdy mieli przejść do czynu, przypomniał sobie o pewnej dysproporcji sił między nimi a napastnikami okupującymi zamek. Nie martwiłoby go to, gdyby nie podejrzewał, iż Brian należy do ludzi, którzy podjąwszy jakiś pomysł są przekonani, że go zrealizują.

Podszedł ciężko i siadł przy wolnym skraju stołu, naprzeciw Aragha.

–Sir Jamesie – rzekł Brian. – Przy okazji, może odrobinę wina?

–Ta... nie – odpowiedział Jim, przypominając sobie o długu u karczmarza.

–Dobrze. Sir Jamesie, mam bardzo smutne dla nas nowiny – kontynuował Brian. – Ten oto dzielny łucznik powiada, że nie widzi powodu, dla którego miałby wraz z nami stanąć do walki z sir Hugh'em, gdyż jego zasady...

–Pozostaw w spokoju tego, kto ci nie wadzi – wtrącił Dafydd. – Nie myślcie, że nie życzę wam dobrze, ale to nie moje waśnie.

–Podobnie – ciągnął dalej Brian – twierdzi szlachetny wilk, który sprawę mojej pani i moją też uważa za nie swoje waśnie. Przypomniał obietnicę, że pomoże nam jedynie wtedy, gdy będziemy mieli do czynienia z piaszczomrokami.

–Och.

–Tak więc – pogodnie rzekł Brian – jasne jest, że my dwaj zostaliśmy sami przeciwko sir Hughowi i jego ludziom. Dlatego też powinniśmy wspólnie naradzić się, gdyż potrzebować teraz będziemy całej naszej mądrości.

–Masz, czego chciałeś, Gorbash – powiedział Aragh z ponurą miną. – Oto do czego prowadzi wyobrażanie sobie, że jest się człowiekiem. Tylko ludzie mogą myśleć o zdobywaniu we dwóch zamku pełnego wrogów i zdolnego oprzeć się całej armii.

–To rzeczywiście nie ma sensu, sir Brianie! – wtrąciła Danielle stojąc obok wilka i drapiąc go za uszami. – Musisz to przyznać!

–Ma sens czy nie – podsumował Brian z zaciśniętymi zębami – moja pani jest uwięziona i ja ją uwolnię. Sam, jeśli trzeba. Ale wierzę, że mogę liczyć na sir Jamesa.

–Uwalnianie twojej pani nie jest obowiązkiem sir Jamesa! – wykrzyknęła Danielle.  
– On musi wydostać panią Angelę z Twierdzy Loathly i tym samym uwolnić się od rzuconego nań zaklęcia. Jego obowiązkiem jest nie narażać swego życia – i swojego wybawienia – dla sprawy tak bzdurnej, jak zdobywanie Zamku Malvern samowtór.

–Nikogo nie zmuszam – rzekł Brian. Zatoczył krąg pałającym spojrzeniem błękitnych oczu i zatrzymał się przy Jimie. – Co rzekniesz, sir Jamesie? Czy jesteś ze mną, czy mam ruszać samotnie?

Jim otworzył usta, by ze skruchą przeprosić rycerza. Atakowanie zamku z pomocą Aragha i Dafyddda stwarzało być może nikłą szansę sukcesu. Bez nich atak byłby samobójstwem. Lepiej teraz szczerze wyjaśnić Brianowi sytuację, niż wycofywać się później.

Ale słowa uwięzły mu w gardle i nic nie powiedział. Jim nie należał do najodważniejszych, a jako smok nie był wcale lepszy niż jako człowiek, przynajmniej jeśli mowa o odwadze. Z drugiej strony Angie... Carolinus zapewniał, że do jej uwolnienia potrzebował będzie towarzyszy. Jeżeli opuści teraz Briana, nikt nie uwierzy, że Brian ruszyłby z nim do Twierdzy Loathly. Coś jednak było w determinacji rycerza... i coś w tym zwariowanym świecie... Nie do wiary, ale zdawało mu się, że jakaś jego częśćka – częśćka ludzkiej, nie smoczej natury – chce zdobywać Zamek Malvern, nawet gdyby mieli podjąć próbę tylko we dwóch.

–A więc, sir Jamesie...? – spytał Brian.

–Możesz na mnie liczyć – Jim usłyszał wypowiedziane przez siebie słowa. Brian skinął głową. Dafydd napełnił swój dzban winem, uniósł w kierunku Jima i wychylił do dna w milczącym toaście.

–Więc to tak! – wybuchnęła Danielle zwracając się do łuczника. – I ty chciałeś stawić czoło książętom, królom, cesarzom i byłeś tak pewny zwycięstwa! Spojrzał na nią zaskoczony.

–Mówiłem, że to nie moja sprawa – odpowiedział. – Jak możesz porównywać z tym czynny, których dokonałbym dla ciebie i w twoim imieniu.

–Sir Brian potrzebuje pomocy! Czy sir James ociąga się i mówi, że to nie jego sprawa? Nie. Wątpiłam w twoją odwagę, gdy tak pięknie mówiłeś o niej. Teraz widzę, że słusznie wątpiłam!

Dafydd zmarszczył brwi.

–Ach tak – powiedział. – Nie wolno ci mówić w ten sposób. Jestem równie odważny, jak każdy człowiek, a nawet śmiem twierdzić, że bardziej.

–Czyżby?

Spojrzał na nią z pewnym zastanowieniem.

–Chcesz mnie w to wplątać? – spytał. – Widzę, że naprawdę chcesz.

Zwrócił się do Briana.

–To, co powiedziałem, jest najszczerzą prawdą – rzekł do rycerza. – Nie mam nic wspólnego ani w ten, ani w żaden inny sposób z tym waszym sir Hu-



ghem. *TsNaż*, że nie jestem również błędnym rycerzem uwalniającym dziewice. Co kto lubi. Ale dla obecnej tu panny, i tylko dla niej, gotów jestem wam pomóc tak, jak potrafię.

–Dzielny człowieku... – zaczął Brian, gdy Aragh mu przerwał.

–Masz gości, szlachetny rycerzu. Odwróć się i popatrz. Brian odwrócił się.

Wszyscy uczynili to samo.

Z lasu na wprost karczmy wyłaniali się pierwsi z licznej grupy ludzi. Wszyscy byli w stalowych szyszakach, brązowych, zielonych lub szarych pończochach i w skórzanych kurtkach gęsto naszywanych metalowymi płytkami. U pasów mieli miecze, a z ramion zwisały im łuki i kołczany pełne strzał.

–Wszystko w porządku, sir Brianie – rzekła Danielle. – To tylko Giles z Wrzosowisk, mój ojciec.

–Twój ojciec? – Brian szybko odwrócił się i przeszył ją podejrzliwym spojrzeniem.

–Oczywiście – wyjaśniła Danielle. – Wiedziałam, że będziesz potrzebował pomocy, więc poprosiłam jednego z synów Dicka, by nocą potajemnie pojechał konno do mojego ojca i wezwał go. Kazałam powiedzieć, że z radością podzielisz się wszelkim dobrem zdobytym na sir Hughu i jego ludziach.

#### Rozdział 14

Brian patrzył na nią jeszcze przez chwilę, po czym przeniósł wzrok na przybyszów, którzy znajdowali się już w połowie otwartej przestrzeni między lasem i karczmą. Powoli podniósł się na równe nogi. Dafydd również wstał, niedbale trzymając rękę na kołczanie. Jim stwierdził, że także wstaje, a Dick Karczmarz pojawił się w drzwiach i dołączył do nich. Jedyne Aragh nadal siedział, uśmiechając się.

Człowiek na czele był szczupłym mężczyzną około pięćdziesiątki. Wymykające się spod szyszaka kosmyki miały barwę stali, a krótka kręcona broda przyprószona była siwizną. Poza wyczuwalnym autorytetem niewiele różnił się od idących za nim ludzi. Jedyne u pasa nie miał krótkiego miecza, ale dłuższy dwuręczny oręż, podobny do miecza sir Briana.

Podszedł do otaczającego karczmę rowu, przekroczył mostek i zatrzymał się przed rycerzem.

–Jestem Giles z Wrzosowisk – rzekł – a oto moi wolni druhowie i towarzysze z lasu. Rozumiem, że to ty jesteś sir Brian Neville-Smythe?

–Jam jest – oziębło odpowiedział Brian. – To nie ja cię tu zapraszałem, wodzu banitów.

–Wiadomo mi o tym – powiedział Giles. Powyżej brody miał spaloną na ciemny brąz i pooraną drobnymi, głębokimi zmarszczkami twarz. – Moja córka posłała po mnie...

Na chwilę zerknął poza Briana.

–Porozmawiam z tobą później, dziewczyno – rzekł. – A teraz, panie rycerzu, co za różnica, kto po mnie posłał? Jeżeli potrzebujesz wsparcia, jestem tu z moimi ludźmi, a cena naszej pomocy nie przekracza granic rozsądku. Czy możemy zasiąść, jak na poważnych ludzi przystało, i omówić wszystko, czy też moi

**zuchowie i ja mamy zawrócić i odejść?**

**Brian zawahał się na chwilę, ale tylko na chwilę.**

**–Dick – zawołał, zwracając się do karczmarza. – Przynieś dzban dla Gi-lesa z Wrzosowisk i rozejrzyj się za czymś dla jego towarzyszy.**

**–Porter – rzekł Dick nieco ponurym głosem – to wszystko, co mam w dostatecznej ilości.**

–Więc porter – niecierpliwie rzucił Brian. – Przynieś go!

Z powrotem zasiadł za stołem. Giles zajął miejsce na drugim końcu ławy, na której siedział Dafydd.

Z ciekawością popatrzył na Aragha, a potem na Jima.

–Wilka znam, a przynajmniej jego sławę – stwierdził. – Ty, smoku... Córka przekazała mi, że jesteś zaklętym rycerzem.

–To jest dzielny sir James – wyjaśnił Brian. – Łucznik obok ciebie to Dafydd ap... Jak brzmi twe rodowe nazwisko, mistrzu łuku?

–Hywel – odrzekł Dafydd, wymawiając je tak melodyjnie, że Jim nie zdołałby tego powtórzyć. – Jestem w Anglii po to, by nauczyć Anglików, że z Walii pochodzi długi łuk i stamtąd tylko ród swój wiodą prawdziwi łucznicy; poza tym mam zamiar ożenić się z twoją córką, panie Gilesie.

–Nie! – krzyknęła Danielle.

Brodąta twarz Gilesa rozszerzyła się w uśmiechu.

–Jeśli kiedykolwiek uzyskasz jej zgodę – rzekł Dafyddowi – przyjdź i porozmawiaj ze mną. Pewnie będziesz musiał wziąć pod uwagę nie tylko moje uczucia, ale również zamiary kilku tuzinów co młodszych członków mojej drużyny.

–Przemawiasz z wielką ogładą, wodzu banitów – powiedział Brian, a tymczasem Dick przyniósł bulle i dzban dla Gilesa; z tyłu dwaj służący wytaczali na podwórzec beczkę.

–Używajcie swoich szyszaków – usłyszeli, jak Dick zwraca się do zgromadzonych banitów. – Nie mam dość dzbanów dla takiego tłumu.

–Kiedyś miałem ogładę – beztrósco odpowiedział Brianowi Giles. Zdjął swój stalowy hełm, cisnął go na stół, napełnił dzban i pociągnął głąboko. Lekki podmuch rozwiał jego przeredzone włosy. – Tak więc, szlachetni rycerze, przyjacielu z Walii, i ty, wilku, usłyszałem trochę za mało o was wszystkich...

Jego wzrok spoczywał przez chwilę na łuku niezwykłych rozmiarów opartym o stół obok Dafydda.

–... ale żeby nie marnować czasu, powiedzcie mi przede wszystkim o tym, co ma związek z ową sprawą, a od czasu do czasu wtrąćcie coś o sobie.

Opowiedzieli mu – zaczął Jim. Brian podjął opowieść od momentu spotkania z Jimem. Aragh opowiedział o pogromie piaszczomroków, a Danielle, Dafydd i karczmarz dodali swoje relacje. Giles popijał i słuchał.

–No cóż, szlachetnie urodzeni i wy pozostali – rzekł, gdy skończyli. –

Chyba jednak na darmo przyprowadziłem moich zuchów. Z wieści od mojej córki wynikało, że macie szansę zdobyć ten zamek i jedynie dla pewności potrzebujecie kilku śmiałków więcej. Ale wy tworzycie, bez obrazy, bardzo dziwne towarzystwo, a ja znam Zamek Malvern. TO nie jest zagroda dla bydła, do której można łatwo wtargnąć i kilkoma ciosami przegonić intruzów. Moi ludzie są dobrymi łucznikami i nieźle władają mieczem, jeśli trzeba, ale to nie zbrojni wojownicy. Wybaczcie mi wszyscy, ale czy myślicie, do diabła, że zdołacie zająć pół akra

kamiennych murów bronionych przez pięćdziesięciu ludzi okrytych co najmniej półbrojami i doświadczonych w obronie twierdzy? Brian spojrział spode łba.

–Znam Zamek Malvern od środka – rzekł. – Pięćdziesięciu ludzi rozproszonych po nim oznacza, że w żadnym miejscu nie będzie ich naraz więcej niż. dwóch. Nas jest trzech – czterech, jeżeli wilk się przyłączy – a każdy zawsze i wszędzie sprostą więcej niż dwóm wrogom.

–Nie przeczę – powiedział Giles. – Jednak musielibyście znaleźć się w zamku, by im sprostać. Wyjaśnij mi więc najpierw, jakich czarów zamierzasz użyć, żeby dostać się do zamku?

–W Malvern zgromadzono zapasy na wypadek oblężenia – odrzekł Brian –ale to na pewno zwyczajne jadlo. Tutaj zaś są smakowite wiktuały. Sir Hugh już próbował bez rezultatu zająć tę karczmę; nie wątpię, że wiedział o tutejszym wyborze win i mięsiwa. Pomyślałem, że mógłbym przebrać się za Dicka Karczmarza wiozącego wóz pełen przedniego jadła na znak gotowości do zawarcia pokoju z nowym władcą Malvern. Wilk mógłby biec obok w roli psa przeganiającego hołotę, której zachciałoby się sięgnąć po smakołyki przeznaczone dla sir Hugh. Wówczas, będąc już w środku (mam nadzieję, że sir Hugh też tam będzie) moglibyśmy go zabić i próbować dostać się do komnat mojej pani, w których jest uwięziona...

–Dlaczego?... – spytał Giles.

–Co „dlaczego”, wodzu banitów?

–Dlaczego sądzisz, że pani Geronde jest zamknięta w swych komnatach?

–Ponieważ – odrzekł Brian z widocznym trudem zachowując cierpliwość

–sir Hugh nie traciłby czasu na przemeblowanie komnat lorda, a poza pokojami mej pani nie ma tam innego miejsca, w którym można trzymać więźnia w zdrowiu i bezpieczeństwie. Wiadomo, że nawet silni mężowie nie wytrzymują dłużej niż kilka dni w lochach Malvern; są tam dwa, a żaden nie należy do najmilszych. W każdej innej części zamku nie ustrzeżono by mej pani przed spotkaniem z jej ludźmi, a ci mogliby dopomóc jej w ucieczce albo ułatwić śmierć, która uwolniłaby ją z rąk zdobywców. Nie byłaby też bezpieczna od ludzi sir Hugh, a przynajmniej niektórzy z nich – żyjesz na tyle długo, wodzu banitów, że poznałeś obyczaje wojaków – gdy się napiją, nie bardziej niż dzikie zwierzęta myślą o konsekwencjach swych czynów.

–Zgoda – przytaknęła Giles. – Mów dalej, sir Brianie. Zabiliście sir Hugh, strażników i włamaliście się do komnaty twej pani. Co teraz?

–Teraz dzielny sir James, który krąży w powietrzu i czeka, zobaczy nasz znak na balkonie komnaty. Obniży się i uniesie mą panią w bezpieczne miejsce, by mogła zebrać okolicznych rycerzy do odbicia zamku. A wilkowi i mnie pozostanie tylko ucieczka na własną rękę, jeśli Bóg pozwoli.

–Bóg? – zawarczał gniewnie Aragh. – Twój Bóg, rycerzu, nie mój! Jeżeli

ktokolwiek ma ocalić Aragha, to tylko ja sam. Kiedy byłem młodym wilkiem, a wielka niedźwiedzica złamała mi prawą przednią łapę tak, że nie mogłem biec, czy ocalił mnie Bóg ludzi? Nie, ocaliłem się sam! Zostałem w miejscu, walczyłem i poprzez futro i fałdy skóry sięgnąłem jej do gardła; zdechła, a ja przeżyłem. Tak zawsze postępował angielski wilk i tak będzie zawsze postępował. Zachowaj swego Boga, szlachetny rycerzu, skoro chcesz, ale zachowaj go dla siebie! Przerwał, oblizał wargi czerwonym jęzorem i ziewnął przeciągle.

–Ale przecież mówiłem – dodał – że nie interesuje mnie zamek twojej pani i jej sprawy.

–To co z twoim planem, sir Brianie? – spytał Giles.

Brian rzucił gniewne spojrzenie.

–Wodzu banitów, przypominam ci ponownie, że to nie ja cię tu zapraszałem. Nie próbujmy rozstrzygać, jakie siły są niezbędne do ocalenia mej pani, ale jak to uczynić siłami, którymi dysponujemy. Jeśli zabraknie wilka, to go zabraknie i nic poza tym.

–Jak...? – zaczął Giles. – Nie, z całym szacunkiem, sir Brianie, ale myślę, że moja podróż była...

–Zaczekaj chwilę, ojczy! – zawołała Danielle. – To ja posłałam po ciebie.

Odwróciła się i spojrzała na Aragha. Wilk rozwarł kły w milczącym uśmiechu.

–Ja jestem Araghem! – warknął. – Myślałaś może, że to następny zakochany łucznik?

–Nie... – odpowiedziała Danielle. – Myślałam, że jesteś Araghem, moim przyjacielem, który mnie nigdy nie zdradził, tak jak ja go nigdy nie zdradziłam. Kiedy posłałam po mego ojca i jego ludzi, nie przyszło mi do głowy, że Aragh mógłby porzucić swych przyjaciół, sir Jamesa i mnie. Ale skoro tak...

Ponownie obróciła się w stronę stołu.

–Nie mogę równać się z dwoma zbrojnymi, chyba że z bezpiecznej odległości i z łukiem w ręku – rzekła. – Ale skuteczniej niż wilk odwrócę uwagę od sir Briana, a działając z zaskoczenia mogłabym nawet pomóc w zabiciu sir Hugh'a i uwolnieniu Geronde. Gdy to już nastąpi, być może nie zdołam wywalczyć sobie drogi na wolność, ale mam przewagę nad Araghem, bo, podobnie jak sir Brian, pozostawiam swoje ocalenie w rękach Boga.

–Dziewczyno...

–Zamilcz, ojczy! Jestem panią swojej woli. Tak więc, sir James, sir Brian, możecie liczyć na moją pomoc w ataku na zamek.

Spojrzała na Aragha.

–A ty możesz spać w słońcu! – zakpiła.

Aragh otworzył pysk, oblizał go i ponownie zamknął. Potem uczynił coś, co wprawilo Jima w osłupienie – zaskomlał.

–Nic z tego – powiedziała porywczo Danielle. – Miałeś swoją szansę.

Teraz ja ruszam do zamku, a tobie nic do tego!

Aragh opuścił łeb. Obniżał go coraz bardziej i bardziej, aż nosem niemal dotknął ziemi. Na wpół czołgając się zbliżył się do Danielle i zaczął trącać łbem jej kolana.

Przez chwilę ledwie raczyła spojrzeć na niego. Potem nagle usiadła, objęła rękami jego puszysty kark i przytuliła do siebie wilczy łeb.

–Już dobrze... dobrze – powiedziała.

–Ja także nie mógłbym pozwolić, by Gorbashowi stała się krzywda – zamruczał Aragh głosem stłumionym przez kubrak. – Po prostu zamierzałem zaczekać na właściwą porę. Kimże byłbym, gdybym nie umiał zabijać dla moich przyjaciół?

–Nieważne. – Podrapała go za uszami. – Wszystko się już wyjaśniło.

–Ja nawet tego rycerza bezpiecznie wyprowadzę po wszystkim.

–Wiem, że tak zrobisz – rzekła Danielle – ale może nie będziesz musiał.

Spojrzała na ojca.

–Teraz, kiedy Giles z Wrzosowisk już wie, że będzie miał trzech potężnych sojuszników wewnątrz zamku, być może ponownie rozważy swój udział w jego zdobyciu?

–Córko – rzekł Giles – trzymaj się z daleka od całej tej sprawy.

–Słusznie – nalegał Aragh, wrywając łeb z jej objęć. – Ja pójdę. Nie rób tego, Danielle!

–Dobrze – odparła. Nie wejdę do zamku. Co będę jednak mogła uczynić z zewnątrz, uczynię. Ojczy...?

Giles napełnił dzban i wypił w zadumie.

–Moi chłopcy i ja nie przydamy się na nic, zanim nie dostaniemy się do środka – rzekł. – Gdybyś mógł otworzyć w jakiś sposób bramę...

–Skoro mamy zdobywać zamek – odpowiedział Brian – mogę zabarykadować się z moją panią w jej komnacie. Sir James zamiast odlecieć z nią, wylądowałby gdzieś na terenie zamku i ściągnął na siebie uwagę, a tymczasem wilk przemknie się w dół, zagryzie strażników i otworzy bramę...

Zwrócił się do Aragha.

–Po prawej wewnętrznej stronie bramy znajduje się kołowrót z liną – wyjaśnił – za pomocą którego jeden człowiek może unieść sztabę. Jeśli chwycisz za linę zębami, też łatwo podniesiesz tę sztabę. Wtedy rzuć się całym ciężarem na prawe skrzydło bramy – pamiętaj, szlachetny wilku, prawe, nie lewe. Powinieneś dać radę uchylić je na tyle, by łucznicy wślizgnęli się.

–Nieźle, jeśli się uda – rzekł Giles. – Ale myślę, że brama nie będzie otwarta dłużej niż przez moment, nawet gdyby musiało się ich zebrać ze dwunastu, nim zabiliby wilka. A przebiegnięcie otwartej przestrzeni, która – o ile pamiętam – otacza Zamek Malvern, nawet przy najszybszym biegu zabierze nam więcej czasu niż chwilę czy dwie. Musimy przecież wyskoczyć z jakiegoś ukrycia, bo oni mają czaty pilnujące, by nikt niepostrzeżenie nie podkraść się do zamku.

–Wystrzelać więc najpierw czaty – zaproponował Dafydd.

Walijczyk zachowywał się tak cicho, że Jim zapomniał o jego istnieniu. Teraz zwrócił na siebie uwagę wszystkich.

–Jak, panie Dafydd? – ironicznie spytał Giles. – Z odległości blisko pół mili, widząc tylko ich głowy i ramiona wystające zza blanków? Nie znasz najwidoczniej Zamku Malvern ani otaczających go terenów.

–Mogę to zrobić – rzekł Dafydd.

Giles przez długą chwilę spoglądał na młodzieńca. Powoli pochylał się, wpatrując się z bliska w spokojną twarz Dafydda.

–Na Apostołów – powiedział cicho. – Myślę, że wiesz, o co chodzi!

–Wiem, co potrafię zrobić – odrzekł Dafydd. – W przeciwnym razie nie odzywałbym się.

–Uczyń to... – rzekł Giles i przerwał. – Uczyń to... a nigdy już nie będziesz musiał wykazywać mi wyższości walijskiego łuku i Walijczyków. Nie słyszałem o żadnym współczesnym nam czy żyjącym dawniej łuczniku, który byłby w stanie oddać taki strzał i pozabijać wartowników. Będzie ich co najmniej trzech, może czterech na przednim murze, jeśli sir Hugh choć trochę zna się na wojowaniu. Wszystkich trzeba zabić niemal w tym samym czasie, bo pozostali przy życiu podniosą alarm.

–Zważ, że mówiłem już, co mogę zdziałać – powiedział Dafydd. –

Przejdźmy do innych spraw.

Giles przytaknął.

–Cała rzecz wydaje się teraz zupełnie możliwa – zgodził się. Odwrócił się do Briana. – Pozostałe szczegóły omówimy w ciągu dnia i wieczorem. Najłatwiej ich zaskoczyć o zmierzchu lub o świcie; lepiej o świcie, gdyż mamy wtedy wiele godzin dla mych zuchów i dla mnie. Ludzie sir Hugh'a mają niemało broni, zbroi i uprzęży; to powinno przypaść nam. Ponadto przyzwoitość nakazuje, żeby i Zamek Malvern jakoś się nam odplacił – powiedzmy sto grzywien srebra.

–Jeśli moja pani zdecyduje się wynagrodzić was po swoim uwolnieniu – powiedział Brian – to jej sprawa. Ja nie mam prawa ani władzy, by dysponować mieniem rodu de Chaney.

–Wygaśnie ród de Chaneyów, jeśli sir Orin rzeczywiście poległ między poganami, a pani Geronde nie zostanie uwolniona – potrzebujesz nas!

–Przykro mi – rzekł Brian.

–Dobrze więc... – Drobne zmarszczki w kącikach oczu Gilesa zaostrzyły się. – My dostaniemy okup za sir Hugh'a. Ma przecież rodzinę i przyjaciół, którzy zapłacą za jego bezpieczny powrót.

–Nie – odrzekł Brian. – Powiedziałem, że musi zginąć. I zginie. Wilk też mu to poprzysiągł. A Aragh ma tu takie same prawa jak ty i twoi ludzie.

–Gardło sir Hugh'a pozostaw moim kłom, wodzu banitów! – zawarczał Aragh.

–Moim chłopcom nie opłaci się narażać życia dla odrobiny żelastwa i rynsz tunku – rzekł Giles. – Jesteśmy bractwem wolnych ludzi, a za taką zapłatę nie pójdą ze mną, nawet jeśli ich o to poproszę.

Przez jakiś czas dyskutował z Brianem, ale nie znaleźli rozwiązania.

–Słuchaj, wodzu banitów – powiedział w końcu Brian. – Nie mam tu grzywien srebra, by ci je ofiarować, ale jestem człowiekiem, który dotrzymuje przyrzeczeń. Daję ci rycerskie słowo, że pomówię z moją panią o tobie i twoich zuchach, a ona nie należy do tych, co pozostawiają takie przysługi bez wynagrodzenia. Jeśli jednak z jakiegoś powodu nie otrzymasz od niej zapłaty, ja sam podejmuję się to uczynić, gdy tylko zbiorę całą sumę lub też będę płacić ratami, aż do wyrównania rachunku. I niech mnie diabli wezmą, jeżeli mogę obiecać coś więcej!

Giles wzruszył ramionami.

–Porozmawiam z chłopcami.

Odszedł od stołu i zebrał swych lud/i w takiej odległości, by nie słyszano ich rozmowy.

–Nie martw się, sir Brianie – spokojnie rzekła Danielle do rycerza. – Zgodzą się.

Rzeczywiście, po piętnastu minutach Giles powrócił i obwieścił swoją zgodę. Za jego plecami Danielle uśmiechnęła się do siedzących przy stole.

–Przejdźmy więc do szczegółów – ciągnął Giles, ponownie siadając za stołem. – Jadąc do zamku wozem z prowiantem nie będziesz mógł mieć na sobie zbroi ani miecza u pasa. A z drugiej strony nie wydaje mi się, byś wiele zdziałał przeciw zbrojnym, nie mówiąc już o sir Hughu, sam będąc bez pancerza. Jak wwieziesz do zamku broń i zbroję? Może sir James mógłby je przenieść i zrzucić ci na dół, ale wtedy będziesz potrzebował czasu na wdzianie zbroi, a ludzie sir Hugh'a zobaczyliby smoka niosącego...

–Jak tylko znajdziemy się wewnątrz donżonu, a jeden czy dwóch zbrojnych odprowadzi wilka i mnie do komnaty sir Hugh'a – rzekł Brian – możemy cichcem ich zabić i zyskam kilka minut na włożenie zbroi. Będę ją bowiem miał – i broń również – ze sobą, na moim wozie. Ukryję ją pod prowiantem, a wilk może leżeć na tym wszystkim.

–I nikt – zawarczał Aragh – nie będzie pode mną szperał, zaręczam ci.

Giles powoli kiwał głową.

–Atoli... – powiedział do Briana – nawet jeżeli doskonale udasz karczmarza lub jego pomocnika, to przecież ludzie sir Hugh'a i on sam na pewno spodziewają się próby uwolnienia twej pani i zachowają czujność...

–Ha! – wykrzyknął Dick, który stał u wejścia do karczmy. Odwrócił się i zniknął w ciemnym wnętrzu.

–Co mu się stało? – spytał Giles patryc na puste teraz wejście do budynku.



–Jeśli tak jest – rzekł Brian – to wydaje mi się, że sir Hugh podejrzewa zwłaszcza mnie. Mam na to gotowy odpowiedź. Po pierwsze dziś po południu ruszę do zamku. Podjadę w pełnej zbroi tak blisko, jak tylko będzie można; chodzi mi o te kusze, które zdobyli w zaniku, jeżeli nawet nie mieli swoich. Wyzwę go na pojedynek przed murami...

–A cóż to za głupia rycerska sztuczka? – przerwał Giles. – Sądząc po twoich bliznach powinieneś wymyślić coś lepszego. Dlaczego sir Hugh miałby walczyć z tobą, skoro może po prostu zostać bezpiecznie w zamku i cieszyć się zdobyczą?

–Dokładnie tak! – rzekł Brian. – Liczę, że postąpi właśnie tak.

–Ale w ten sposób jedynie powiadomisz go, że jesteś pod murami Zamku Malvern.

–Słusznie. Jeśli więc zobaczą wóz z prowiantem ścigany przez rycerza na białym koniu, tym chętniej otworzą bramę, by wpuścić wóz i – mam nadzieję – woźnicę do środka.

–A jak to zorganizować, skoro nie masz dwóch zbroi i bliźniaka, który wdziałby jedną z nich? Nie mówiąc już o... – Giles przerwał nagle. – Przy okazji, sir Brianie, czy ten sir Hugh zna cię z widzenia?

–Tak – ponuro odparł Brian.

–Cóż więc, jeśli będzie na murach podczas twojego wjazdu? Czy myślisz, że w ubogiej odzieży staniesz się nie do rozpoznania?

–Dick Karczmarz ma sztuczną brodę wśród rzeczy pozostawionych przez wędrowną trupę, która nie miała czym zapłacić rachunku – odrzekł Brian. – Z zakrytą dolną częścią twarzy mam szansę, co do reszty zaś... no cóż, muszę trochę zaryzykować.

–Broda? – zawahał się Giles. – Nie pomyślałem o tym. Ten karczmarz jest zasobnym człowiekiem. To może się udać.

–Jest właścicielem wielkiej piwnicy – powiedział Brian.

Przerwał i nasłuchiwał, zwracając głowę w stronę drzwi A teraz wydaje mi się, że nadchodzi odpowiedź na twoje pozostałe zastrzeżenia...

Głuchy dźwięk dobiegł z wnętrza karczmy. Wszyscy odwrócili się i ujrzeli kształt, który pojawił się w drzwiach całkowicie je wypełniając. Była to lśniąca postać w kompletnej zbroi i w szpiczastym hełmie z opuszczoną przyłbicą. W osłoniętej kolczugą pięści trzymała maczugę.

## Rozdział 15

Na Boga! – wykrzyknął Giles, po czym opadł na ławę, podniósł dzban i pociągnął z niego. Podobnie jak pozostali, z wyjątkiem Briana, zerwał się przedtem na równe nogi na widok postaci w drzwiach karczmy. – Nie chcesz chyba straszyć starego łucznika tym przebraniem, panie karczmarzu, jeśli to naprawdę ty. Mógłbyś zostać przeszyty strzałą, zanim cię rozpoznano!

–Ja też o tym pomyślałem – powiedział Dafydd.

–Wybaczcie mi, sir Jamesie, pani i wy, moi panowie – zagrzmiał głos Dicka z głębi hełmu. – Jak właśnie mówił sir Brian, moja piwnica jest wielka. W karczmie nazbierało się wiele rzeczy w ciągu dwóch pokoleń – mój ojciec gospodarował tu przede mną.

**Czyż nie mogę uchodzić za rycerza? Zwłaszcza na koniu i z większej odległości?**

**–Hmmm – mruknął Giles znów się podnosząc, by dokładniej obejrzeć karczmarza.**

**– Nie radzę ci nosić tego całego żelastwa podczas czekającej nas walki, panie karczmarzu. Z bliska widzę, że masz na sobie części czterech różnych zbroi, z których żadna nie leży dobrze. Czy możesz podnieść prawą rękę nad głowę?**

**Dick spróbował. Ręka zgrzytnęła na wysokości barku i zatrzymała się ze szczękiem.**

**–Tak – rzekł Giles. – Tak myślałem. Nałokcica na tym ramieniu jest za wielka, a naramiennik za mały dla męża o takich barach. Ale z daleka... z daleka, siedząc na koniu, mógłbyś udawać rycerza.**

**–Dobrze – powiedział z zapalem Brian. – Dawaj, Dick, coś do zjedzenia, a potem pojedę do zamku rzucić wyzwanie sir Hughowi.**

**–Pójdę z tobą – zaproponował Jim. – Chciałbym wypatrzeć z zamku miejsce, na którym mam wylądować.**

**–Ja też pójdę – rzekł Giles – z sześcioro moimi zuchami. Każdy z nich poprowadzi kilkuosobową grupę w różne części zamku, gdy już tam będziemy. Wszyscy musimy obejrzeć Malvern i zaplanować akcję.**

**–I ja – dodał Dafydd – rzucę okiem na te części murów, gdzie mogą być wystawione czaty.**

**–Moglibyśmy urządzić tam sobie majówkę – zamruczał Brian. – Nikt już**

nie chce iść, co? Może ty, szlachetny wilku?

–Po co? – odparł Aragh. – Wejdę tam z tobą i Gorbashem, zostanę z tobą i będę zabijał każdego, kto się nawinie, aż do chwili, gdy wszystko się skończy. Wtedy wyjdę z zamku. To nie wymaga żadnych przygotowań ani planów.

Podano posiłek, tak jak życzył sobie Brian, a trochę ponad godzinę później wszyscy zainteresowani stali za kępą buków i obserwowali szeroki pas otwartej przestrzeni wokół Zamku Malvern. Brian w pełnej zbroi i z kopią w ręku podjechał stępa na swym białym rumaku nie dalej niż na sześćdziesiąt – osiemdziesiąt jardów od bramy zamkowej. Stał tam i zakrzyknął w stronę postaci, których ukazujące się nad zamkowym krenelażem głowy widać było z lasu.

–Dzielnie sobie poczyna – zauważył jeden z banitów.

–To taki rycerski obyczaj, Jack – oschle odpowiedział Giles.

–Zaiste nie myliłeś się, panie Giles – rzekł Dafydd. Walijski łucznik przysłonił jedną ręką oczy i badawczo przyglądał się głowom na murach. – To rzeczywiście prawie pół waszej angielskiej mili. Ale o brzasku wiatr winien ucichnąć, a przy braku bocznych podmuchów nie widzę żadnych kłopotów z tą szóstką. Dla każdego widocznego szyszaka wybiorę najbliższe mu wcięcie w blankach, a potem ustrzelę jednego wartownika i zaczekam, aż wyjrzą pozostali. Na pewno zrobią to wszyscy, gdy zobaczą swego kamrata śmiertelnie ranionego, a nikogo nie będzie widać na otwartym polu przed zamkiem. Wetknę przed sobą w ziemię pięć strzał i wystrzelę jedną po drugiej tak szybko, że cała piątka zginie niemal równocześnie... Czekajcie, rycerz przemawia!

Istotnie, Brian zaczął wygłaszać swe wyzwanie. Na zamkowych blankach pojawił się hełm jaśniejszy od pozostałych, a noszący go osobnik coś odkrzyknął. Brian odpowiedział. Ponieważ był odwrócony tyłem do lasu, większość jego słów nie dotarła nawet do czułych uszu Jima. To zaś, co pochwyił, składało się z samych niemal obelg. Nigdy by nie przypuszczał, że Brian dysponuje tak barwnym słownictwem.

–Teraz sir Hugh odpowiada – rzekł Giles, gdy Brian zamilkł, a odkrzykujący mu uprzednio głos odezwał się znowu; na skraju lasu nie można było jednak zrozumieć ani jednego słowa. – To bez wątpienia jest sir Hugh, bo ma pióropusz i przyłbicę na hełmie, który tak lśni w słońcu. To hełm do walki konnej.

–Panie Giles – zapytał Dafydd spoglądając z ukosa na banitę – czy to oznacza, że kiedyś sam nosiłeś taki hełm i zbroję?

Giles popatrzył na niego przez chwilę.

–Jeżeli kiedykolwiek staniesz się członkiem mej rodziny – rzekł – możesz mnie ponownie zapytać. Ale tymczasem nie chcę słyszeć takich pytań.

–Teraz lecą bełty – zauważył banita nazwany przez Gilesa Jackiem. – Niech lepiej wraca. O, właśnie tak robi!

Brian zawrócił rumaka i pocwałował w stronę lasu.

–Czy bełt z kuszy może z takiej odległości przebić mu zbroję? – spytał zaintrygowany Jim.

–Nie – powiedział Giles. – Ale może okaleczyć konia, a takie zwierzę warte jest dwudziestu zagród. Uf, chybili...

Rój małych, czarnych na tle błękitu nieba, kresek padał wokół Briana i jego galopującego rumaka. Jim był ciekaw, skąd Giles brał pewność, że wszystkie bełty chybiły, gdy większość z nich była jeszcze w powietrzu. Przypuszczał, że to kwestia wprawnego oka. Rzeczywiście, zanim dokończył myśl, wszystkie pociski padły na ziemię za lub po bokach biegnącego konia.

–No właśnie! – wykrzyknął Jack, splunawszy na ziemię. – Zanim zdążą ponownie naciągnąć te swoje maszyny, rycerz będzie tu z nami. Dajcie mi dwóch naszych ludzi z łukami, a powalę rumaka, zanim przebiegnie dziesięć kroków; a i rycerza także, przy odrobinie szczęścia.

Dafydd wsparty na swym wielkim łuku obejrzał Jacka od góry do dołu. Przez chwilę sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć, po czym z powrotem skierował wzrok na zbliżającego się sir Briana.

–Świetnie, Walińczyku – cicho rzekł Giles. Od jakiegoś czasu obserwował wysokiego młodzieńca. – Rozumny człowiek nie mówi za wiele.

Dafydd nic nie odpowiedział.

Po chwili Brian wjechał w cień drzew i ściągnął cugle swemu parskającemu wierzchowcowi. Zatoczył na koniu koło i podniósł przyłbicę.

–Już myślałem, że zrobią wypad w pogoni za mną – stwierdził. – Ale, jak widzę, nie zrobili.

Zsunął się z konia z zadziwiającą przy tej ilości żelaza na grzbiecie lekkością.

–Kusiłeś tych kuszników z bliższej odległości, niż ja bym to robił – rzekł Giles.

–Blanchard z Tours – odparł Brian, czule klepiąc białego wierzchowca po spoconym karku -jest szybszy, niż się większości wydaje.

Rozejrzał się po wszystkich.

–Co myślicie o tym, co widzieliście? – spytał.

–Sądząc z liczby głów na murach – powiedział Giles – twój sir Hugh ma ze sobą co najmniej pięćdziesięciu ludzi. Ale nie ma łuczników, bo przecież strzelaliby do ciebie, kusznicy zaś są mierni. Narysuj mi teraz plan zamku, póki go mamy przed oczyma; będę mógł ocenić, dokąd powinni skierować się moi chłopcy, gdy wejdą już do środka.

Brian wyciągnął zza pasa sztylet i zaczął szkicować na ziemi.

–Jak widzisz – mówił – Malvern ciągnie się bardziej wszerz niż w głąb.

Wierzchołek donżonu ledwie stąd widać. Znajduje się w lewym narożniku tylnego muru, a jego górna część wznosi się ponad pozostałe baszty, które mieszczą tylko

spichlerze i wartownie. Komnaty pana Zamku Malvern mieszczą się tuż pod daw nym stropem donżonu; kiedyś miał tę samą wysokość co inne baszty. Dziad mej

pani dobudował dwa piętra i nowy taras z blankami na dachu donżonu; jedno piętro na sypialnię sir Orina i jego świeżo poślubionej małżonki, powyżej krużganek, nad krużgankiem zaś ten oblanowany taras. Zaopatrzył go w zapas kamiennych pocisków i kotły do gotowania oleju, wszystko przeciw napastnikom, którzy próbowaliby wdrzeć się z zewnątrz. Sztylet kreślił linie na ziemi.

–Poniżej i przed donżonem – wyjaśniał Brian – w czasach sir Orina do budowano wielką świetlicę, głównie z drewna. Jak widzicie, mury i baszty są kamienne. Świetlica niemal całkowicie wypełniła dawny dziedziniec. Łączy się z donżonem do wysokości pierwszego piętra i służy jako jadalnia i sypialnia dla większej liczby ludzi, których sir Orin zbierał od czasu do czasu, gdy wyruszał na wojnę. Drewniane stajnie i szopy też wybudowano w obrębie murów, więc ma się tam co palić. Ale nie sądzę, by ludzie sir Hugh'a wzniecili pożar dla zabezpieczenia sobie odwrotu, jeśli dostaniemy się do wewnątrz i okaże się, że bierzemy górę.

Grupy twoich ludzi, wodzu banitów, powinny zaatakować baszty, jedna grupa za jęłaby dziedziniec, a jeszcze inna liczna grupa wtargnęłaby poprzez świetlicę do donżonu. Gdy twoi ludzie wbiegną przez bramę, ja i ewentualnie sir James -jeśli przeżyjemy – będziemy na górnych piętrach donżonu. A teraz możecie zadawać mi pytania...

Giles, Dafydd, a nawet niektórzy z przyprowadzonych przez Giles'a banitów zaczęli pytać. Ich wątpliwości dotyczyły głównie położenia i odległości między poszczególnymi częściami zamku.

Przestało to interesować Jima. Pomyślał, że najchętniej rozejrzałby się po wnętrzu zamku i nie było powodu, dla którego nie miałby tego uczynić. Lecąc dostatecznie wysoko, a nie bezpośrednio nad zamkiem, mógł swym bystrym smoczym wzrokiem nieźle przyjrzeć się wszystkiemu w obrębie murów. Przy dostatecznie dużej odległości mógłby nie zostać dostrzeżony przez ludzi sir Hugh'a. a jeśli nawet, może wzięliby go za wielkiego ptaka.

Gdyby zresztą rozpoznali smoka, to przecież przelatujący obok smok, na pozór nie zwracający uwagi na zamek, nie wywołałby alarmu ani żadnych domysłów. A poza tym mógł przelecieć się o zmierzchu, gdy wartownicy w zamku byłiby zbyt zajęci wieczerzą, by dojrzeć coś przelatującego nad ich głowami.

Zaczekał, aż Brian najlepiej jak umiał odpowiedział na pytania i wszyscy razem wrócili do karczmy. Tam jednak wziął Briana na stronę i wyjaśnił mu swój plan.

–Przede wszystkim chciałbym się upewnić, gdzie powinienem wylądować, gdy tam dolecę.

–Główna komnata mojej pani ma balkon, ale całkiem mały – zauważył Brian, – Krużganek powyżej nie ma wprawdzie balkonu, ale za to duże okna, przez które mógłbyś wlecieć.

Jim poczuł, że ogarniają go wątpliwości.

–Nie jestem pewien – rzekł. – Nie mam wielkiej wprawy w lataniu.

–Więc – odparł Brian – zostaje tylko taras z blankami na dachu donżonu. To rzeczywiście byłoby najlepsze miejsce, gdyż wartę pełni tam najwyżej jeden człowiek, no może ktoś jeszcze będzie w krużganku. Jeśli uda ci się ich zabić i zejść do komnaty Geronde, będziesz od góry całkowicie bezpieczny i gdyby coś poszło źle, możesz ją unieść w powietrze i zabrać w bezpieczne miejsce.

W duchu Jim powątpiewał, by mógł latać obciążony ciężarem dorosłego człowieka. Co prawda jego skrzydła przez krótką chwilę zdolne były do wielkiego wysiłku. Ale nie wierzył, że zdoła poszybować z takim obciążeniem. Jeśli zaś nie będzie szybował, to jak daleko doleci uderzając skrzydłami? A bezpieczne miejsce to dopiero skraj otaczających zamek lasów, w odległości pół mili, jak zauważył Giles. Nie było sensu obarczać Briana tymi wątpliwościami. Rycerz i tak miał dość problemów na głowie, choć Jim musiał przyznać, że Brian nie wydawał się nimi zbyt przytłoczony.

–Powiem ci, co zobaczę – rzekł Jim.

Nie powiedział jednak. Pół godziny później krążył nad zamkiem na wysokości tysiąca stóp, ale nie dojrzał żadnego strażnika, który raczyłby spojrzeć w górę. Nie odkrył też nic, co nie zgadzałoby się z opisem Briana. Zbadał otoczony kre-nelazem dach donżonu i ujrzał tam, jak przypuszczał Brian, jednego wartownika. Wszystko przebiegało zgodnie z przewidywaniami rycerza i Jim nie zauważył nic ciekawego.

Zawrócił i wylądował obok karczmy w chwili, gdy zapadały ciemności. Ku jego zaskoczeniu większość banitów – poza Gilesem i kilkoma pomniejszych hersztami – już spała; najwidoczniej porter pomógł im w zapadnięciu w sen. Brian, wypiwszy zwykłą porcję wina, również drzemał. Podobnie Danielle. Aragh odszedł w okryty czernią las i pewnie wróci dopiero rano. Nawet Dick Karczmarz, a także większość jego rodziny i służby spała. Pozostała jedynie starsza kobieta dolewająca wina Gilesowi i porteru jego wyjętym spod prawa zastępcom.

Rozdrażniony Jim usadowił się w jadalni, włożył głowę pod skrzydło i przygotowywał się do spędzenia bezsennej nocy...

Wydawało mu się, że tylko przymknął oczy i po chwili znów wyciągnął głowę spod skrzydła. Dookoła jednak panował duży ruch.

Dick, jego rodzina i służba krzętałi się. Danielle opatrywała kark Aragha, który w jakiś sposób zdołał w ciągu nocy odnieść ranę. Giles siedział przy stole, rysując na cienkich płatach skóry pięć egzemplarzy planu zamku. Dafydd – pracując w skupieniu pozwalającym domniemywać, że nie życzyłby sobie, by mu przerywano – trzymał małą szalkową wagę i ważył po kolei pół tuzina strzał. Następnie skrupulatnie poprawiał ich żeleźca i pierzyska. Brian siedział przy stole i jadł potężne śniadanie złożone z bekonu, chleba, zimnej wołowiny i kilku butelek wina.

Na zewnątrz panowały jeszcze ciemności. Nie pojawiło się nawet szare świa-

tło przedświtu. Jim wyczuwał, że jest około czwartej.

Z zazdrością spojrział na Briana. Ktoś, kto ma taki apetyt przed świtem dnia, w którym może spodziewać się śmierci...

–A, sir James – rzekł Brian wznosząc dzban. – Może wina? Jim postanowił skosztować trunku pomimo długu u Dicka.

–Tak – odparł.

Brian odkorkował nową butelkę i podał mu. Jim chwycił ją w pazury, podniósł do paszczy i wychylił zawartość jednym haustem.

–Dziękuję! – rzekł.

–Dick! – zagrział Brian. – Wina dla sir Jamesa! Dick Karczmarz wszedł załamując ręce.

–Szlachetny panie, błagam – powiedział – tylko nie następne ćwierć beczki bordeaux...

–Bzdury! – rzekł Brian. – Pewnie, że nie! Tylko kilka tuzinów butelek, by zwilżyć gardło dzielnego rycerza.

–O, jeśli tak... oczywiście, oczywiście...

Dick pospiesznie wyszedł z sali. Jim usłyszał, jak pokrzykuje na jednego ze służących.

Po kilku minutach pokazało się nie kilka tuzinów butelek, lecz mała beczułka zawierająca nie więcej niż dziesięć galonów pośledniego wina. Jim tęsknie wspomniął gatunki, których próbował w piwnicy, po czym z filozoficznym spokojem dobrał się do zawartości beczułka. Ostatecznie nawet smok nie zawsze może mieć to co najlepsze.

Popijał siedząc obok Briana i stopniowo dał się wciągnąć w otaczającą go krzątaninę. Słyszał liczne odgłosy ostrzenia broni, ostatnie naprawy rynsztunku, sprawdzanie planów, wskazówki i rozkazy. Jednocześnie zauważył niemal całkowity brak dowcipów i obelg, które poprzedniego dnia wypełniały znaczną część rozmów banitów, choć nie tylko ich.

Teraz wszyscy byli poważni. Wszędzie dymiły i świeciły pochodnie. Ludzie biegali tam i z powrotem, zajęci nie cierpiącymi zwłoki sprawami. Niedostępny Giles konferował z dowódcami grup. Obandażowany Aragh wkrótce wymknął się, a Danielle nigdzie nie było widać. Dick i służba wyglądali niczym kapitan i załoga okrętu walczącego z huraganem. W końcu nawet Brian zaniechał butelek i przyjacielskim tonem zaproponował, by Jim wyniósł się do diabła, poszedł na spacer lub coś w tym guście, gdyż nadeszła pora, by przygotować Blancharda i oręż...

Jim skorzystał z rady i wyszedł z karczmy w głęboką, przenikliwą, zimną ciemność przedświtu. Wyraźnie czuł się samotny i skrępowany, niczym obcy gość na rodzinnym przyjęciu. Odczucie to pogłębiło w nim melancholię, w jaką wpadł po wypiciu wina. Tęsknił nie tyle do swego świata – dziwne, ale podobały mu się tutejsze twarde, średniowieczne realia życia – ile do kogoś, w kim miałby

oparcie. Najchętniej Angie, ale jeśli to niemożliwe, to ktokolwiek, kto dałby mu poczucie więzi i wypełnił pustkę panoszącą się w jego błędnej duszy zawieszoną pomiędzy światami.

Rozejrzał się wokół w poszukiwaniu Aragha i przypomniał sobie, że widział wilka opuszczającego karczmę, gdy tylko Danielle opatrzyła go. Jednak ani jego smoczy węch, ani słuch nie sygnalizowały obecności wilka w pobliżu. Jim na tyle już poznał Aragha, by wiedzieć, że póki nie ma namacalnych oznak obecności wilka, poty odnalezienie go jest prawie niemożliwe.

Jim dał za wygraną i usiadł w ciemnościach. Za sobą pozostawił odgłosy, zapachy i światła karczmy. Przed nim znajdowała się lita czerń drzew, nad nim zachmurzone niebo, na którym co jakiś czas nieśmiało ukazywał się zasłonięty księżyc, nisko wiszący po zachodniej stronie. Wkrótce powinien zejść, a wtedy nie będzie już żadnego światła.

Może zginie pod koniec dnia, który niedługo zacznie świtać. Myśl ta nie wzbudziła w nim szczególnej obawy, ale pogłębiła jego melancholijny nastrój. Skoro można go zranić, jak dowiodła potyczka w wiosce, można również zadać mu cięższe obrażenia, a nawet zabić. Mógł zatem tu umrzeć, daleko od wszystkiego, z czym czuł się związany. I nikt nie będzie wiedział o jego śmierci. Nawet Angie, jeżeli ocalona zostanie z Twierdzy Loathly i władzy Ciemnych Mocy, nigdy pewnie nie dowie się, co się z nim stało. Może nawet nie będzie za nim tęsknić...

Coraz głębiej popadał w słodki stan współczucia dla samego siebie, gdy wtem stwierdził, że już nie siedzi na ziemi. Leżał teraz na twardej piaszczystej glebie i rozłożywszy szeroko skrzydła przetaczał się na grzbiecie z boku na bok. W porę zaświtały mu w głowie słowa Danielle: „Nie tarzaj się po ziemi, sir Jamesie”.

Zdziwił się wówczas, dlaczego posądza go o takie zamiary, ale teraz zrozumiał. Rozmyślając o odniesionych ranach, przypomniał o nich swojej podświadomości. Poprzedniego dnia szczypały go niczym zacięcia po goleniu, ale zignorował je i wyrzucił z pamięci. Dziś rany były już podgojone, ale wywoływały nowe dolegliwości – swędzenie.

Przydałby się solidny zagajnik, gdzie o drzewa mógłby poczochnąć się swędzącymi miejscami. Groziło to jednak ponownym otwarciem się blizn i zainfekowaniem ran.

Usiadł. Danielle bez wątplenia miała rację. Najgorsze jednak było to, że gdy już uświadomił sobie swędzenie, zaczął odczuwać je ze zdwojoną intensywnością, jakby coś z diabelską przewrotnością chciało doprowadzić go do szału. Zmusił swe ciało do powstania na cztery łapy. Skoro Brian mógł wytrwać bez ruchu mimo szerszenia wewnątrz hełmu, on też powinien zdobyć się na zlekceważenie mało dokuczliwego w sumie swędzenia.

Poczuł aromat nadchodzącego dnia. Nie był to żaden konkretny zapach, ale w nocnym powietrzu pojawiła się świeża, wilgotna nuta. Do jego uszu dobiegł niewyraźny odgłos łap stąpających po ziemi i nagle pojawił się przed nim Aragh.



–Wszyscy już tam wstali? – cicho zamruczał wilk. – Pora, by wyruszyli!

–Powiem im.

Jim zawrócił w stronę drzwi karczmy, które właśnie wtedy otwały się i Giles wytknął głowę na zewnątrz.

–Sir James? – zapytał cicho. – Widziałeś wilka?

–Widział – warknął Aragh. – Jestem tu. Po co mówisz szeptem, panie banito?

Giles już nie odpowiadając cofnął głowę i zamknął drzwi. Wcale nie mówił szeptem, tylko trochę ściszył głos, podobnie jak Aragh przed chwilą. Po sekundzie drzwi ponownie się otworzyły i wyszedł Giles ze swymi zastępcami, a za nimi Danielle.

–Dick Karczmarz poszedł włożyć zbroję i osiodłać konie – rzekła do ojca. – Jego ludzie już załadowali wóz, a sir Brian jest z nimi obok stajni.

–Dobrze. Jack, powiesz rycerzowi, że jesteśmy gotowi? – spytał Brian. – Pozostali niech zbiorą swoje drużyny.

Jack ruszył wzdłuż budynku w stronę stajni, a inni poszli tam, gdzie zastęp banitów rozbił obóz.

Piętnaście minut później byli już w drodze. Brian jechał na Blanchardzie, Giles na jednym z koni Dicka, jasnoszarym w ciemnościach, a na czele kroczył Jim. Za nimi podążali Dafydd i Danielle, dalej furgon powożony przez Dicka i główne siły banitów. Aragh już na początku zniknął warcząc, że spotka się z nimi na skraju lasu.

Gdy wyruszyli, pojawiły się pierwsze przebłyski światła dziennego. Opuścili karczmę dobrą godzinę przed wschodem słońca, lecz gdy szli wijącą się wśród drzew ścieżką, większe pnie zaczęły się wyłaniać z ciemności i niebo pojaśniało. Wtedy też, zgodnie z przewidywaniami Dafydda, wiatr ucichł i ukazały się opary zalegające w niższych partiach lasu. Poruszali się w białoczarnoszarej scenerii, jakby stworzonej dla duchów i demonów nocy. W półmroku nadciągającego dnia ziemia tworzyła czarną platformę pod stopami, a upiorna zasłona mgły podniosła się dwakroć na wysokość człowieka i skryła wszystko dookoła. Po jaśniejącym z wolna niebie ciężko sunęły zimne chmury.

Niewiele rozmawiali w czasie marszu; mgła, chmury i ciemności tłumili wszelki entuzjazm. Furgon, oręż i zbroja podzwaniały. Podkowy koni głucho dudniły. W zimnym, wilgotnym powietrzu ich oddechy tworzyły białe jak mgła obłoczki. Stopniowo wstawał prawdziwy dzień i opary zaczęły rzednąć. Niespodziewanie dla Jima doszli do skraju lasu i ujrzeni równinę otaczającą Zamek Malvern. Ostatnie strzępy mgły snuły się na otwartej przestrzeni, a spoza nich wyłaniały się wierzchołki kamiennych murów i wieżyc niczym na wpół zatopiony w morzu zamek. Nagle pierwsze promienie wschodzącego słońca ukazały się zza wierzchołków drzew i z ukosa przebiły się przez opary, jeszcze bardziej je rozrzedzając.

Z wolna poprawiała się widoczność, a w ostrym świetle można było wnet dojrzeć każdy kamień zamkowego krenelażu.

Jim raz jeszcze popatrzył w niebo. Ciężka zasłona chmur zaczęła pękać pod uderzeniami wiejącego wyżej wiatru, ale na dole powietrze było ciągle spokojne. Sporo chmur jednak obniżyło się; uświadomił sobie wówczas, że nie będzie mógł dolecieć do zamku na dużej wysokości. Jeśli ma dotrzeć na wierzchołek donżonu w ciągu najbliższej godziny, musi utrzymać pułap zaledwie kilkuset stóp. Wówczas ci na murach i basztach bez trudności rozpoznają zbliżającego się smoka i domyśla się, dokąd leci.

## Rozdział 16

–Gotowe! – zakrzyknął Brian głośno i ochoczo. – Wszyscy obecni? Co z wilkiem?

–Martw się o siebie, szlachetny rycerzu – odezwał się Aragh. – Jestem tu już tak długo, że mógłbym w tym czasie zabić ze dwadzieścia owiec.

–Dobrze – rzekł Brian. – Przygotować się. Panie Giles, znasz swych ludzi i swój łuk. Ja znam swoją drużynę. Poprowadzisz razem z Walińczykiem łuczników. Sir James, Dick, wilk do mnie.

Wyprawa podzieliła się na dwie grupy.

Kilka jardów z tyłu Dafydd ostrożnie zdejmował pokrowce, w które pojedynczo powkładał strzały, tak pracowicie przygotowane w karczmie. Delikatnie obmacał ostrze i przed sobą wetknął w ziemię sześć strzał, a dwie pozostałe wsunął do kołczana. Dick zszedł z konia, na którym przyjechał. W dziennym świetle Jim zauważył, że jasnobrązowe zwierzę zostało obficie wypudrowane mąką lub jakimś innym białym proszkiem tak, że kolorem upodobniło się do Blancharda. Brian zsunął się z Blancharda i zaczął przekładać na pobielonego konia napierśnik i inne części zbroi swojego wierzchowca.

–Jaki jeździec, taki rumak – rzekł. – Ty, Dick, i twoja kobyła równie nie pasujecie do swoich zbroi. Naczółek jest za szeroki na jej łeb, a osłona szyi za długa. Przez jakiś czas może je jednak nosić bez kłopotów.

Napierśnik też jest za szeroki, ale niech zwisa luźno. Jeśli ponadto mocniej ściągnę podpiersienie i popręg, będzie wyglądać prawie tak dzielnie jak Blanchard.

–Nadal nie będzie leżało dobrze – rzekła Danielle. – I przefarbowanie konia wyszło mizernie. Nie wiem, dlaczego nie pozwolisz karczmarzowi dotrzeć do twojego wierzchowca. Brian zmarszczył brwi.

–Nie życz mi nieszczęścia, panienko – pogodnie powiedział Dick z głębi swojego hełmu. – Trzymałem kiedyś takie konie. Mogę dosiadać wszelkich bestii, ale i za sto funtów srebra nie wstawię nogi w strzemię takiego Blancharda. Nie tylko dlatego, że ani przez moment nie zniósłby na grzbiecie nikogo innego niż jego pan. On nie zadowoliliby się zrzuceniem mnie z siodła. Jest tak nauczony, że gryzłby mnie i kopał, aż by mnie zabił, chyba że wcześniej zdołałbym uciec.

–Święta prawda – rzekł Giles odwracając się do swoich ludzi. – Rycerz wie, co robi, Danielle. Choć raz spróbuj nie rządzić wszystkimi. Takie konie jak Blanchard nie byłyby warte swej królewskiej ceny, jeśli spotykałoby się je w każdej zagrodzie. Założę się, że sir Brian dał za niego niezły grosz.

–Całe moje dziedzictwo – mruknął Brian, męcząc się z rzemieniami uprzęży konia Dicka. – Zbroję mam po ojcu, ale cała reszta spadku poszła na kupno Blancharda. Przed niczym nie zadrży. Stawi czoło kopii, toporowi, maczudze i mieczowi. Jeśli spadnę, obroni przed każdym człowiekiem i zwierzem. Mogę w rękach trzymać tarczę i miecz, a nim kierować tylko za pomocą kolan, a niewiele jest koni bojowych, które dorównują mu ciężarem i siłą.

Spojrzał na karczmarza.

–Bez urazy, drogi Dicku – rzekł. – Ale gdyby nawet Blanchard chciał cię nieść, nie pozwoliłbym mu na to. To jest tylko mój koń.

–Bez obawy, sir Brianie. Ja tam czuję się szczęśliwy na grzbiecie Bess. – Zawahał się. – Czy nie włożysz, panie, nawet kolczega kaftana pod ubranie?

–Sama kolczuga niewiele pomoże, jeśli natknę się na sir Hugh'a w pełnej zbroi – powiedział Brian. – Jest bękartem, ale umie walczyć. Gdyby zaś – jego ludziom zachciało się przeszukać mnie i odkryliby kolczugę, zbyt wcześnie podniósłby się alarm. Nie, najlepiej zawierzyć losowi i przebrać się później.

–Wyglądu karczmarza także nie masz – zauważyła Danielle.

Jim przyznał jej w duchu całkowitą rację. Sir Brian odziany był w obcisłe skórznie, nosił pas i nóż syna Dicka, szeroką szarą koszulę i grubą czarną opończę. Jego strój nie budził zastrzeżeń. Wyglądałby równie dobrze na samym Dicku, zakładając, że skórznie dałyby się wciągnąć na dość obszerny brzuch karczmarza. Kłopot był jedynie z aparycją rycerza noszącego ten ubiór. Już przy pierwszym spotkaniu uderzyły Jima przenikliwe niebieskie oczy Briana, jego wyprostowana sylwetka człowieka przywykłego do życia w siodle i noszenia broni oraz wyzywająco sterczący podbródek. Cechy te pozostały widoczne pomimo ubóstwa noszonego teraz stroju.

–Mam tu brodę – rzekł Dick wyciągając ją z furgonu. – Nie całkiem pasuje do twych włosów, sir Brianie, ale człowiek z rudawą brodą i jasnymi włosami nie jest niczym niezwykłym. Te sznureczki obwiążemy ci, panie, wokół głowy pod włosami i będzie się trzymać... jeśli zaczeszesz włosy do przodu tak, żeby je zasłonić, jak pokazywał mi ten trefniś... Pozwól mi pomóc sobie, sir Brianie...

Wspólnie przymocowali brodę. Rzeczywiście znacznie zmieniła rycerza, nadając mu niechlujny, łotrowski wygląd, przy którym niebieskie oczy nabrały łajdackiego wyrazu.

–Mógłbyś spróbować przygarbić się trochę – powiedziała Danielle.

–W ten sposób? – spytał Brian. Spróbował bez większych rezultatów.

–Nie jestem żadnym tam przeklętym wesołkiem! – wybuchnął w końcu.

–Niech tak zostanie! Wystrychnę na dudka sir Hugh'a i jego ludzi albo nie, wola boska!

Zajął miejsce na furgonie i podniósł lejce obu zaprzęgniętych koni.

–Gotowyś? – zapytał.

–Gotowy, sir Brianie – odparł Dick, który już zasiadł na pobielonej i opancerzonej Bess.

–Pozwól mi daleko odjechać, bo inaczej zobaczą, że musisz wstrzymać Bess, by mnie nie dogonić.

–Dobrze, sir Brianie.

–A ty, Giles, nie zapomnij pozostawić swoich ludzi przy bramie. Kiedy sir Hugh zostanie powiadomiony o wszystkim i zobaczy walkę w obrębie murów, pierwsze, co zrobi, to wdzieje pancerz i uzbroi się. Jak tylko ukaże się w pełnym rynsztunku, pilnuj, żeby ci przy bramie pozostali tam i nie dopuścili go do konia, zanim ja...

–Albo ja – przerwał Aragh.

Brian spojrział na niego ze zniecierpliwieniem.

–Szlachetny wilku – rzekł – co mógłbyś uczynić mężowi w pełnej zbroi? Aragh cicho zawarczał wskakując na furgon.

–Szlachetny rycerzu – odparł – pewnego dnia być może ujrzysz.

–W każdym razie – ciągnął Brian, ponownie zwracając się do Giles'a – utrzymajcie bramę i nie dopuście sir Hugh'a do konia!

–Nie obawiaj się, sir Brianie – powiedział Giles. – Znam się trochę na tych sprawach.

–Bez wątplenia. Ale teraz wszystko jest już jasne. – Brian ściągnął wodze i konie ruszyły naprzód. – No to... w imię Boże i mojej pani.

Wyjechał z lasu.

Na otaczającej zamek równinie mgła już opadła i jasnożółte światło wczesnego poranka grzało kamienne mury. Brian zaciął konie, zmusił do kłusa, a potem do ciężkiego galopu po prowadzącej do zamkowej bramy drodze.

–Jeszcze nie, karczmarzu! Jeszcze nie... Teraz! – wykrzyknął Giles. Dick spiął ostrogami Bess, która nieledwie galopem i ze szczękiem wypadła spośród drzew.

Giles spojrział na Jima.

–Tak – rzekł Jim. – Chyba pora ruszać.

Bardzo pragnął zostać i zobaczyć, czy brama otworzy się przed Brianem i Araghem i czy Dick zdoła bezpiecznie zawrócić. Ale musiał wlecieć w przeciwnym kierunku, żeby dotrzeć do zamku od strony, z której go nie zauważą.

Zawrócił, przebiegł kawałek lasem, podskoczył i wznosił się tuż nad wierzchołki drzew. Odwróciwszy się stwierdził, że jest już na tyle daleko od zamku, by drzewa zasłoniły go przed wzrokiem wartowników, więc szerokim łukiem zawrócił w stronę Malvern.

Wkrótce złapał pierwszy prąd wznoszący. Wykorzystując go znalazł się tuż pod ławicą chmur, w tym miejscu zwartą, ale odsłaniającą niebo ku północy i zachodowi. Odruchowo postanowił skryć się w chmurach i zobaczyć, czy nie da się wlecieć ponad nie...

Okazało się to możliwe, choć musiał wznieść się na tysiąc dwieście stóp. Gdy znalazł się nad chmurami, skierował się wprost do zamku, szukając w tym białym kłębowisku dziur, przez które mógłby odnaleźć właściwy kierunek. Znalazłszy jedną poszybował w jej stronę i spojrzał przez nią tak, by dojrzeć równinę i Ma-Ivern. Nie zobaczył ani furgonu, ani uzbrojonej postaci na koniu, ale na zachód dojrzał oświetloną plamę wskazującą następane przejaśnienie w chmurach.

Podniósł głowę, poszukał tej szczeliny od góry i znalazł ją całkiem blisko. Poszybował ku niej, zobaczył pod ostrym kątem zamek w dole i rozpoznał dach donżonu. Znajdował się ze trzy czwarte mili od niego i tysiąc stóp powyżej. Przeszedł w lot nurkowy, ale nie poprzez dziurę. Rzucił się przez chmury wprost na zamek.

Na dłuższą chwilę otoczyła go i oślepiła biała chmura mgły. Nagle znów znalazł się w przejrzystym powietrzu, a zamek leżał wprost pod nim. Częściowo zwinął skrzydła i spadał niczym wypuszczony z katapulty kamień. W ostatnim momencie rozwinął skrzydła i z ogromnym wizgiem rozdieranego powietrza klapnął na dach donżonu.

Zastał tam tylko jednego strażnika. Mężczyzna rozdziawił gębę, odwrócił się i zniknął na kamiennych schodach prowadzących w dół na krużganek. Jim popędził za nim, dotarł do krużganka i w porę uchylił się przed włócznią, która świsnęła w powietrzu. Odruchowo machnął skrzydłem, potężnym uderzeniem podrzucił do góry zbrojnego i cisnął nim o ścianę. Wartownik legł bez ruchu.

Smocza krew Jima – a może Gorbasha, bo w tych warunkach nie sposób ustalić czyja – zawrzała!

Usłyszał w dole szcęk stali o stal i zbiegł schodami na niższe piętro. Ujrzał w przelocie wysoką, smukłą dziewczynę w bieli trzymającą krótką dzidę i pilnującą otwartych drzwi. Musnął ją w biegu; krzyknęła coś niezrozumiale i próbowała pchnąć go dzidą. Ale był już za drzwiami, w krótkim korytarzu, gdzie Brian tylko w hełmie – reszta zbroi leżała w stosie u jego stóp – powstrzymywał mieczem trzech zbrojnych.

Jim rzucił się na tę trójkę i powalił ich.

–Dziękuję – wycharczał Brian. – Pilnuj dolnych schodów, sir Jamesie, dobrze? I pomóż wilkowi, jeżeli trzeba. Pewnie już otworzył bramę albo go zabili. Dowiedz się, jeśli zdołasz.

Parskając, błyskając czerwonym językiem w otwartej paszczy i machając na wprost złożonymi skrzydłami, Jim rzucił się w dół po ostatniej kondygnacji schodów. Na dole po prawej ujrzał wielką, poczerniałą salę przedzieloną zasłoną, zza której dochodziły odgłosy walki i krzyki mężów. Po lewej miał wyjście ku światłu

dziennemu. Ruszył tędy.

Teraz po prawej stronie zobaczył otoczony drewnianą ścianą dziedziniec i zamkowe bramy, z których jedna była uchylona do środka. Na dziedzińcu odbywały się dwie potyczki. Obok stajni pięciu ludzi Gilesa opędzało się mieczami od podobnej liczby zbrojnych sir Hugh'a. Przy bramie wrzeszczące półkole prawie tuzina żołnierzy przyparło Aragha do blanków. Żaden nie kwapił się podejść do wilka, wszyscy jednak wymachiwali mieczami i starali się odwrócić jego uwagę, by któryś z nich mógł zadać cios.

–ARAGH! – zagrział Jim z całych smoczych sił. Runął na półkole, które pękło pod tym uderzeniem.

W okamgnieniu powalił czterech, Aragh zagryzł trzech innych, reszta zaś pierzchnęła.

–Gdzie Giles?! – krzyknął Jim do wilka, gdy ten uporał się z trójką swoich przeciwników, a pozostali zawrócili i uciekli.

–W świetlicy – wysapał Aragh – ostatnio go widziałem.

–A sir Hugh?

–Nic o nim nie wiem.

–Nie ma go w donżonie! – rzekł Jim. – Właśnie tam byłem. Brian zakłada zbroję. Sprawdzę resztę zamku.

Wzbił się w powietrze i jednym machnięciem potężnych skrzydeł uniósł się na wysokość murów. Po prawej i lewej zobaczył kilka nieruchomych ciał ze strzałami w piersiach. Wszyscy, poza zabitymi, opuścili blanki.

Jim zastanowił się, gdzie jest Dafydd. Nadal w lesie? A może dołączył do ludzi Giles'a, którzy walczyli w świetlicy i w innych miejscach?

W tej chwili z tylnego wejścia do donżonu wypadła grupa zbrojnych dzierzących takie same krótkie dzidy, jaką wymachiwała dziewczyna. Włączyli się do prowadzonej dotychczas równymi siłami walki, którą kilku ich kamratów toczyło obok stajni z banitami.

Smocza wściekłość całkiem już ogarnęła Jima. Skoczył z murów na nowych wrogów. Żaden nie patrzył w górę, więc spadł na nich zniecacka. Znalazł się nagle w samym środku boju. Syczał, ryczał, uderzał jednocześnie pazurami, kłami i skrzydłami, stawał na tylnych łapach podobny do olbrzymiego drapieżnego ptaka.

Wokół niego szeregi wrogów topniały. Byli przy nim jak kukielki zbrojne w trzciniowe patyczki. Dzidy pękały pod jego dotknięciem, dzierzących je mężów podrzucał niczym lalki. Rozgorzało w nim dzikie poczucie siły. Kątem oka dojrzał Aragha otoczonego przez kolejną grupę czeladzi sir Hugh'a i pomyślał, że powinien pomóc wilkowi, jak tylko upora się ze swoimi sprawami. Co też Aragh mówił o dopilnowaniu, by Gorbash bezpiecznie wrócił? Przecież Jim nie potrzebował niczyjej pomocy! Kto mógł dotrzymać pola smokowi? Nikt. Był niepokonany, i gdy wszystko się skończy, przypomni im o tym... wilkowi, banitom,

rycerzowi... Wtem atakujący go zbrojni zaczęli nagle krzyczeć i głośno wiwatować.

–Gorbash! – zawył Aragh. – Gorbash!

Czyżby wilk wzywał pomocy? Jim spojrział i stwierdził, że Aragh ciężko walczy, ale nie jest ani ranny, ani w większych opałach.

–Świetlica, Gorbash! – krzyknął Aragh.

Jim popatrzył poprzez groty włóczni, które zabłysły przed nim z nowym wigorem. Główna brama świetlicy była otwarta i powoli ukazywała się w niej ciężka sylwetka w błyszczącej jak lustro zbroi; postać siedziała na koniu i w okrytej rękawicą dłoni trzymała długą kopię.

Opancerzona postać zdawała się nie spieszyć. Wyjechała na środek dziedzińca, zwróciła głowę w stronę wilka, spojrziała na Jima, a potem ruszyła wolnym klusem – nie ku jednemu z nich, ale w stronę zamkowej bramy.

Triumfalne okrzyki zbrojnych zamieniły się w gniewne, pełne zawodu wrzaski. Odstąpili od Jima i Aragha. Niektórzy cisnęli broń i usiłowali uciekać. Aragh natychmiast rzucił się za biegnącymi i powalał ich na ziemię. Jim zaś zlekceważył ich.

–Zrób tu porządek, Aragh! – zagrzmiął do wilka. Poczucie niezrównanej siły rozgorzało w nim znowu i nie mógł nie zaatakować konnej postaci, którą przed chwilą ujrzał. – Zajmę się nim!

–Nie! Stój! Wstrzymaj się, sir Jamesie...

Kolejna postać w zbroi wypadła z donżonu tym samym wyjściem, z którego skorzystał Jim. Brian – nareszcie całkowicie opancerzony i uzbrojony – biegł ciężko w stronę stajni, gdzie konie rżały i rwały pęta, podniecone otaczającą je wrzawą.

–Za późno! – zagrzmiął radośnie Jim. – Ja z nim pierwszy pogadam.

Rozwinął skrzydła, uniósł się w górę i przeleciał nad murem. Opancerzona postać na koniu przebyła już trzy czwarte odległości dzielącej ją od skraj lasu.

–Poddaj się, sir Hugh! – krzyknął Jim pełnym głosem. – I tak cię dopadnę.

Spodziewał się, że uciekający rycerz – zwłaszcza taki, który zostawia swych ludzi na pewną śmierć i ratuje siebie – na dźwięk smoczego głosu i widok smoczych skrzydeł ponagli jedynie swego ciężkiego deresza do panicznego galopu. Tymczasem, ku zdziwieniu Jima, sir Hugh wstrzymał swego rumaka, zawrócił i obniżył kopię do ataku. Następnie poderwał konia w cwał i skierował się wprost na Jima.

Jim niemal się roześmiał. Ten człowiek stracił głowę. Albo też w obliczu nieuniknionej porażki i śmierci postanowił zginąć w walce. Dziwne, ale w tym samym momencie przypomniał sobie nagle Smrgola rzucającego w jaskini pytanie innym smokom: ilu z was tu obecnych chciałoby stawić czoło nawet jednemu Jerzemu w łusce, z nastawionym w waszą stronę rogiem?

I wtedy Jim i sir Hugh zderzyli się z trzaskiem; potworne uderzenie, które w jednej oślepiąco bolesnej chwili zamazało świat, przerwało myśli, odebrało pamięć...

## Rozdział 17

–Mój chłopcze... – mówił Smrgol załamującym się głosem. – Mój chłopcze...

Już od dawna wydawało się, że Jim rozpoznaje poruszające się wokół niego postacie, następujące po sobie pory dnia i nocy, głosy, które zbliżały się i oddalały... głosy znajome i obce. Ale on nie zwracał na nie żadnej uwagi, otoczony morzem bólu, które raz po raz wciągało go w mętne wody nieświadomości, a potem znów pozwalało częściowo wrócić do rzeczywistości. Ból zastąpił mu cały świat. Wypełnił mu umysł. Obezwładnił zmysły. Żadna część jego ciała nie cierpiała, cały był cierpieniem. Ciągnęło się to i ciągnęło...

Teraz jednak, gdy poznał głos Smrgola, ocean cierpienia odpłynął nieco. Zmniejszenie się bólu poprawiło mu samopoczucie, nieomal wywołało rozkosz. Resztką boleści była jak kalectwo, do którego człowiek przyzwyczał się przez lata i którego brakowałoby, gdyby nagle całkiem zniknęło. Spróbował skupić wzrok na wielkim, ciemnym kształcie stojącym obok.

–Smrgol...? – zapytał.

Z jego gardła dobył się pozagrobowy głos, widmo smoczego dudnienia, do którego już się przyzwyczał od chwili, gdy po raz pierwszy ocknął się w ciele Gorbasha.

–Przemówił do mnie! – krzyknął Smrgol. – Chwała niech będzie Ogniovi! Będzie żył! Wilku, zawołaj pozostałych! Powiedz, że wreszcie wraca do życia! Powiedz, żeby przyszli, szybko!

–Idę – warknął Aragh. – Mówiłem przecież, że przeżyje. Czyż nie tak twierdziłem?

–Tak, tak... – głos Smrgola brzmiał ochryple. – Ale ja jestem starym smokiem. Widziałem już tylu naszych padłych od rogów Jerzych... Gorbash, jak się czujesz? Możesz mówić...?

–Trochę... – wyszeptał Jim. – Co się stało?

–Stało się to, że zachowałeś się jak dureń! – Smrgol starał się przemawiać surowo, ale nie bardzo mu się udawało. – Co, u licha, podkusiło cię, żeby zmierzyć się w pojedynkę z Jerzym w łusce, na dodatek konnym?

–Chodziło mi... – wykrztusił Jim – co się stało ze mną?



–Zostałeś przebity rogiem – kopia, jak oni ją zwą – na wylot; to właśnie się zdarzyło. Każde inne stworzenie byłoby martwe, nim zwałiłoby się na ziemię. Każdy smok spoza naszej rodziny wyzionąłby ducha w godzinę. Mija już ósmy dzień, jak balansujesz na krawędzi życia i śmierci, ale wszystko będzie w porządku, skoro znowu mówisz do mnie. Nie umrzesz. Smok, który nie zginie od razu, przeżyje – tacy jesteśmy, chłopcze!

–Przeżyje... – powtórzył Jim.

Słowo to dziwnie zabrzmiało mu w uszach.

–Oczywiście! Mówię przecież, że tacy jesteśmy. Za trzy dni wstaniesz na cztery łapy. A w kilka dni później będziesz taki sam jak zwykle!

–Nie – powiedział Jim – nie taki sam...

–O czym ty gadasz? Bzdury! Mówię, że będziesz taki sam jak przedtem i będziesz. Nie spieraj się teraz ze mną. Będziesz i tyle!

Stary smok mówił dalej, ale umysł Jima znowu pogrążył się w ciemnych odmętach. Nie spierał się ze Smrgolem. To nie miało sensu. Ale nie znaczyło to również, że dał się przekonać. Zmiana nastąpiła w nim samym i nigdy już nie będzie taki jak dawniej. To poczucie zmiany pozostało w nim w ciągu następnych dni. Zgodnie z przewidywaniami Smrgola jego stan gwałtownie się poprawiał. Polepszyło mu się na tyle, że zaczął przyjmować gości. Z zasłyszanych od nich opowieści powoli ułożył sobie obraz tego, co działo się z nim od chwili zderzenia z sir Hughem pod murami zamku.

Rozumiał teraz, dlaczego smoki – potężne przecież stworzenia – słusznie obawiały się okrytych zbroją rycerzy, zwłaszcza konnych i uzbrojonych w kopie. Ponadtonowa masa konia, rycerza i żelaza – pędzących z szybkością ponad dziesięciu mil na godzinę – skupiona w ostrzu szesnastostopowego drzewca, miała straszliwą siłę przebicia. W przypadku Jima kopia przeszła obok serca i płuc, gdyż inaczej nawet ciało Gorbasha nie przeżyłoby tego. Ostrze oręza wbiło się w węższą część jego masywnego mięśnia piersiowego u nasady lewego skrzydła, a wyszło obok lewej łopatki i wystawało osiem cali na zewnątrz. W dodatku tylna część kopii złamała się, pozostawiając w piersi sterczącą resztkę drzewca.

Początkowo wszyscy myśleli, że Jim nie żyje. Również Hugh de Bois tak zapewne sądził, bo nie upewniwszy się wskoczył na konia, z którego zwałił się przy zderzeniu, i odjechał, zanim Brian na jednym z zamkowych rumaków zdołał go dopaść.

Pozostali zgromadzili się wokół leżącego bez ruchu Jima. a pierwszym, który stwierdził, że smok jeszcze słabo oddycha, był Aragh. Nie śmieli go ruszać widząc, że jest na samej krawędzi śmierci. Zbudowali więc wokół niego prowizoryczną szopę z gałęzi, okryli go odzieżą i rozpalili ognisko wewnątrz szałas, by go ogrzać, zanim wilk nie sprowadzi S. Carolinusa.

Carolinus przybył w towarzystwie Smrgola, którego jakoś zdołał powiadomić. Pod nadzorem czarodzieja stary smok użył swej siły do zrobienia tego, z czym inni

nie mogliby sobie poradzić, choćby nawet odważyli się zaryzykować – ostrożnie wyciągnął złamane drzewce.

Przez jakiś czas Jim obficie krwawił z otwartej rany, ale w końcu krwotok ustał. Carolinus stwierdził, że skoro Jim przeżył do tej pory, to nic już więcej nie można dlań uczynić. Następnie zaczął zbierać się do odejścia.

–Ale przecież coś możemy chyba zrobić! – nalegała Danielle.

–Czekać – rzekł oschle Carolinus – i mieć nadzieję. Potem opuścił ich. Zbudowali bardziej solidną szopę. Smrgol i Aragh na zmianę czuwali przy

nim, a czasem dla towarzystwa również Danielle, Brian lub ktoś inny z ludzi.

Czekali. W końcu nadszedł dzień, w którym Jim odezwał się do Smrgola.

Wszyscy teraz przychodzili, by porozmawiać i wyrazić swą radość z wyzdrowienia Jima. Każdy czynił to na swój sposób. Smrgol robił mu wymówki. Aragh z goryczą warczał na niego. Danielle rozwodziła się nad jego głupotą, myśląc jednocześnie, że takie narażanie się na niemal pewną śmierć bardzo pasuje do księcia. Nie okazywała mu żadnego współczucia, ale bardzo delikatnie zmieniała bandaże, których nie pozwalała dotknąć nikomu innemu. Giles był bardzo ciekaw sposobów walki, które sir James znał w swym własnym ciele i robił aluzje, że Jim musiał mieć w zanadrzu jakąś tajną broń, skoro zaryzykował czołowy atak na sir Hugh'a. Dafydd przychodził, siadał i robił sobie strzały, nic nie mówiąc.

Geronde de Chaney (biało odziana dziewczyna z dzidą z donżonu) przychodząc obiecywała go pomścić. Sama też nosiła bandaż na prawym policzku.

Okazało się, że sir Hugh początkowo przygalopował z kilkoma ludźmi i został wpuszczony do zamku, gdyż twierdził, że ma wieści o śmierci jej ojca. Jego ludzie, gdy tylko dostali się do środka, opanowali bramę i wpuścili resztę czeladzi. Mając zamek w swych rękach przyznał, że nic nie wie o jej ojcu, ale skoro ma zamiar zatrzymać Malvern, to spodziewa się, że Geronde zostanie jego żoną. Gdy go odrzuciła, zagroził, że ją oszpeci. Najpierw miał jej pociąć prawy policzek, po trzech dniach lewy, po następnych trzech obciąć jej nos, a potem, jeśli nie ulegnie, wyłupić jej jedno i drugie oko. Odmówiła i teraz na resztę życia pozostanie jej szrama na prawym policzku. Była wątłą i zwiewną panią o popielatych włosach, snującą precyzyjne plany usmażenia sir Hugh'a na wolnym ogniu, gdy tylko zdoła go pojmać.

Brian przynosił wino, siadał i pił z Jimem, opowiadając sprośne dowcipy i nie kończące się historie, z których część była, zdaje się, prawdziwa -jak zapewniali Aragh i Smrgol – a wszystkie niewiarygodne.

Dick Karczmarz przysłał swoje ostatnie szynki dla pobudzenia apetytu Jima.

Po raz pierwszy jednak smocze ciało Jima naprawdę nie miało apetytu. Wino mile drażniło mu gardło, ale nawet w tych wypadkach mógł się nakłonić do wypicia jedynie niewielkich (jak na smoka) ilości.

Mimo wszystko czuł się lepiej. Siadywał na słońcu przed szopą i blask wczesnej jesieni ogrzewał mu ciało, choć nie usuwał wewnętrznego chłodu, który

w nim wezbrał. Śmierć pod postacią kopii sir Hugh'a przeszła zbyt blisko. Złamane drzewce wyjęto mu z ciała, ból prawie całkiem ustał, ale gdzieś głęboko pozostał w nim niepokój i mroczył mu duszę. Rzeczy stały się bezbarwne, ludzie zwyczajni i bez zalet. Nawet myśli o Angie przestały być ważne. Jego umysł wypełniło jedno wszechogarniające postanowienie: nigdy więcej nie atakować z przodu rycerza w zbroi. Nie będzie zresztą nikogo więcej atakować, chyba że w sytuacjach nie budzących wątpliwości. Tylko przetrwanie stało się ważne i nie ma znaczenia, w jaki sposób je osiągnąć...

Być może, myślał sobie później, inni zauważyli tę zmianę w jego zachowaniu i próbowaliby zapobiec temu, gdyby nie fakt, że w tym samym czasie wyzdrowiał na tyle, by zostać wciągniętym w dyskusje o dalszych planach.

–... decyzja – rzekł w końcu szczerze Brian – zależy od ciebie, sir Jamesie. Geronde, on udzielił nam pomocy w uwolnieniu ciebie i jestem jego dłużnikiem. Jeśli będzie chciał ratować najpierw swoją panią – a jak, na Boga, mogę się temu sprzeciwić, skoro on pomógł mi uratować moją – muszę z nim iść. Rozumiesz to, pani.

–Oczywiście, rozumiem – szybko powiedziała Geronde.

Wszyscy, poza Smrgolem, który poleciał do jaskini załatwiać swoje sprawy, siedzieli przy kolacji przy wysokim stole w zamkowej świetlicy, a Jim gasił winem pragnienie, które zaczynało mu wracać. Geronde siedziała po drugiej stronie Briana i teraz wychyliła się zza rycerza, by popatrzeć prosto w oczy smoka.

–Jestem równie wielkim dłużnikiem sir Jamesa jak ty, Brianie – rzekła – i podobnie jak tobie honor nakazuje mi uznać jego decyzję. Ale chciałabym tylko, sir Jamesie, byś rozważył zalety natychmiastowego ataku na Hugh'a de Bois.

–Może dla ciebie zalety – warknął na nią Aragh.

Wilk zawsze czuł się nieswojo w budynkach i czyniło go to jeszcze bardziej złośliwym niż zwykle.

–Mnie nie jest potrzebny zamek, i tobie nie powinien, Gorbash!

–Chcesz jednak skończyć z sir Hugh'em tak jak my – zwróciła się do niego Geronde. – Powinieneś więc go ścigać, a my to właśnie robimy.

–Zabiję go, gdy go spotkam; nie będę polował na niego. Ja poluję po to, żeby jeść, a nie dla zaspokojenia swoich zachcianek jak ludzie – burknął Aragh. – A Gorbash jest taki jak ja, nie jak wy.

–Gorbash tak – odcięła się Geronde – sir James nie. A sir James będzie któregoś dnia z powrotem w swym ciele. Gdy ten dzień nadejdzie, może potrzebować zamku. Zgodnie z prawem ja nie mogę zająć ziemi i zamku sir Hugh'a tak długo, jak długo nie wiadomo, czy mój ojciec żyje. Zamek Malvern i jego ziemie przypadną w każdym razie sir Brianowi jako mojemu mężowi. Tymczasem, gdy skończymy z sir Hugh'em, będziemy potrzebować godnego zaufania sąsiada. Bois de Malencontri nie jest mizerną posiadłością, nawet dla – rzuciła wzdłuż stołu krótkie spojrzenie Danielle – osoby posiadającej poważne godności.

–Powtarzam, że zamki i posiadłości nie interesują mnie – zawarczał Aragh.

–Co dobrego jest w zimnym kamieniu i ogołoconej ziemi? Powtarzam też, że nie powinny interesować ciebie, Gorbashu. Gdyby Smrgol był tutaj, powiedziałby to samo. Będę zawsze cię strzegł i stał u twego boku w walce z Ciemnymi Mocami, ale nie pomogę ci zdobywać ludzkich błyskotek. Jeśli zaczniesz pożądać takich rzeczy, nasze drogi rozejdą się!

Wstał na cztery łapy, odwrócił się i wybiegł truchtem z sali; zamkowi ludzie usuwali się z drogi, gdy zbliżał się do nich.

–Prawda – przytaknął Dafydd, gdy wilk ich opuścił – ma słuszość. Zważ, że bronić cię – to jedno, a zabijać dla ciebie, nieważne z jak słusznego powodu, to zupełnie co innego.

–Nie słuchaj ich, sir Jamesie – rzekła Danielle. – Poradzisz sobie bez nich. Jeśli nie zajmiesz zamku, uczyni to kto inny. Nieprawdaż, ojcze?

–Skoro zarabiam na tym, możesz liczyć na mnie i moich zuchów – powiedział Giles do Geronde. Odwrócił się do Danielle. – Ale nas sprowadził tu tylko interes i nic więcej. Nie chcę się więc wypowiadać.

–Obiecałam tobie i twoim ludziom połowę zdobyczy z Zamku Malencontri

–zapewniła go Geronde. – Wiesz, że to się wam opłaci. Sir Hugh przez całe lata grabił swych pomniejszych sąsiadów.

–A ja się zgodziłem – odparł Giles. – To nie mojego przyzwolenia potrzebujesz, ale sir Jamesa.

Jim chciał wzruszyć ramionami, ale przypomniał sobie, że jego smocze ciało nie bardzo może to uczynić. Carolinus mówił mu, że Angie nie dzieje się krzywda, choć czeka, by ją uwolnić. Kilka dni dłużej, pomyślał w mrocznych głębiach swej duszy – nawet tydzień, czy dwa więcej – nie robi wielkiej różnicy. A poza tym, gdyby Carolinus nie zdołał ich obojga wysłać z powrotem, posiadanie zamku i ziemi nie byłoby taką złą rzeczą. Potrzeba jedzenia i posiadania schronienia – dobrego jedzenia i wygodnego schronienia – była równie realną częścią tego świata jak ból. Realistów zaś nie można ignorować.

–Dlaczego nie? – stwierdził. – Jestem za tym, by natychmiast ruszać we włości Hugh'a de Bois de Malencontri.

W chwili gdy to powiedział, dziwny powiew przemknął przez salę niby przelotna fala gorąca. Mroczne uczucie taką pustką przeppełniło jego duszę, jakby on i ciało Gorbasha byli tylko opróżnionymi skorupkami. Jim zmrużył oczy i gotów był pomyśleć, że to złudzenie wywołane winem i zadymioną atmosferą oświetlonego świecami pomieszczenia. Wrażenie zniknęło równie nagle, jak się pojawiło i pozostawiło go w niepewności, czy rzeczywiście miało miejsce.

Rozejrzał się po innych, ale nie sprawiali wrażenia, że coś zauważyli. Jedynie Dafydd patrzył na niego przenikliwie.

–Dobrze – rzekła Geronde. – Postanowione więc.

–Nie sądzę, że jest tak dobrze – wtrącił Dafydd. – W mojej rodzinie od

wielu pokoleń z ojca na syna i z matki na córkę przechodzi zdolność odbierania ostrzegawczych znaków. Przed chwilką wszystkie płomienie świec zamigotały, choć w świetlicy nie ma żadnego powiewu. Nie wydaje mi się, by ta wyprawa przeciw sir Hughowi zapowiadała się dobrze.

–Aragh cię przestraszył i tyle – stwierdziła Danielle.

–Nie jestem przestraszony. Ale nie bardziej niż wilk czuję się stworzony do zdobywania i ochrony zamków; niech to czynią rycerze.

–Pasuję cię na rycerza – rzekła mu Danielle. – Czy pozbędziesz się swych wątpliwości, jeśli pasuję cię na rycerza?

–Wstydź się, Danielle! – krzyknął Giles. Twarz mu pociemniała. – Nie można sobie kpić ze szlachectwa.

Dafydd podniósł się.

–Bawisz się moim kosztem – odrzekł. – Skoro jednak ty tam pójdziesz, pójdę i ja, bo cię kocham. A teraz udam się do lasu na świeże powietrze.

Również opuścił salę.

–Hej! – zawołał pogodnie Brian. – Zakończmy wreszcie te złowróźbne rozmowy. Napełnijcie puchary! Pogodziliśmy się. Za szybkie uwięzienie sir Hu-gha i zdobycie jego zamku!

–I za to, że o jeden dzień przybliżyła się chwila usmażenia sir Hugh'a – dodała Geronde.

Wypili.

Wyruszyli wcześniej następnego dnia bez Aragha, ale z banitami Gilesa i posiłkami złożonymi z około czterdziestu ludzi z Zamku Malvern i innych posiadłości de Chaneyów.

Geronde gorąco pragnęła jechać z nimi, ale poczucie odpowiedzialności za zamek i ziemię jej ojca wzięło górę nad pragnieniem zemsty. Widzieli, jak stoi na murach zamku, nim drzewa nie przesłoniły im widoku.

Ranek był pochmurny, podobnie jak w dniu, gdy odbijali Zamek Malvern z rąk sir Hugh'a. Później nie przejaśniło się jednak. Przeciwnie, chmury zgęstniały i pojawiła się drobna, uporczywa mżawka.

Początkowo droga prowadziła na przemian lasem i otwartymi obszarami, ale w miarę upływu czasu przybywało drzew, teren obniżał się i wilgotniał. Wjechali w rejon małych stawów i trzęsawisk, a trakt, którego się trzymali, stał się błotnisty i śliski. Drużyna rozpadła się na kilka grup rozciągniętych na długości ponad pół mili.

Ponurość dnia wpływała nie tylko na tempo marszu; otępiająca wilgotność w powietrzu dawała się wszystkim we znaki. Piesi, banici i ludzie z ziem Ma-lvern wlekli się w padającym deszczu ze zwieszonymi głowami, z łukami w pokrowcach i ze zdjętymi cięciwami. Grubiańskie dowcipy i żartobliwe wyzwiska, poprzednio tak częste u banitów, zniknęły. Gdy odzywali się, gorzko wyrzekali na pogodę, na drogę, na cenę, którą w rannych i zabitych przyjdzie zapłacić za

zdobycie zamku. Dawne tematy rozmów wyczerpały się i humory gwałtownie się popsuły.

Nawet przywódcy wyprawy poddali się tej ogólnej zmianie nastrojów. Giles był ponury, Danielle złośliwa, a Dafydd wyjątkowo małomówny. Jakby cała drużyna miała wrażenie, że coś jest nie tak.

Jim został wreszcie przygarnięty na czele kolumny przez jedną osobę, która nie uległa ogólnemu przygnębieniu – Brian na Blanchardzie był niezmiennie sobą. W rycerzu tkwiło coś spartańskiego i nieugiętego. W jego osobistym świecie najważniejsze pytania i wątpliwości zostały wyjaśnione już dawno temu. Mogło świecić słońce, mógł padać śnieg, mogło się lać wino lub krew – były to jedynie powierzchowne zmiany niewarte uwagi ani zachodu. Brian sprawiał wrażenie, iż nawet łamany kołem stroiłby żarty.

Jim wspomniał mu o zachowaniu się reszty, zwłaszcza wodzów.

–Nie powinieneś się martwić – powiedział Brian.

–Ale przecież ważne jest, żeby utrzymać wszystkich razem, prawda? Co się na przykład stanie, jeżeli Giles nagle zdecyduje się odejść z całą bandą? Zostalibyśmy z czterdziestoma ludźmi z Malvern, a połowa z nich wygląda, jakby nie miała pojęcia o wojaczce.

–Nie sądzę, by Giles tak postąpił – rzekł rycerz. – Wie, że w warowni sir Hugh'a jest wiele dobra do zdobycia. A poza tym zgodził się iść – był kiedyś szlachcicem, to jasne, choć nie przyznaje się do tego.

–Dobrze, ale nawet jeśli możemy liczyć na Gilesa – dodał Jim – spodziewam się kłopotów z Danielle i Dafyddem, które mogą się skończyć interwencją ojca. Dafydd z każdą milą mniej mówi, Danielle zaś mu nie popuści. Przecież nie powinna iść z nami, ale nikt nie ma odwagi powiedzieć jej o tym.

–Walijczyk nie poszedłby bez niej.

–Zgoda – potwierdził Jim – ale musisz przyznać, że żaden z niej wojownik...

–Czy jesteś tego pewien? – spytał Brian. – Widziałeś, jak ona strzela?

–Tylko wtedy, gdy strzelała do nas. I w splądrowanej wiosce. No dobrze, potrafi posługiwać się łukiem...

–Nie byle jakim łukiem – rzekł Brian. – Ona naciąga stufuntowy łuk jak połowa strzelców z bandy jej ojca.

Jima zatkało. Przed laty, na studiach, interesował się przejściowo łucznic-twem. Zaczął od strzelania z czterdziestofuntowego łuku i stopniowo doszedł do sześćdziesięciofuntowego. Czuł wtedy, że sześćdziesiąt funtów to kres jego możliwości – a nie uważał się za słabego.

–Skąd wiesz? – zapytał.

–Po twoim zranieniu trwały jeszcze walki w Zamku Malvern i wtedy widziałem, jak strzela.

–Była w zamku? – spytał zaskoczony Jim. – Myślałem, że została w lesie.

Jak możesz tak twierdzić, skoro tylko widziałeś, jak strzelała?

Brian ze zdziwieniem spojrział z ukosa na niego.

–Z dziwnego kraju musisz pochodzić, Jamesie – rzekł. – Obserwowałem po prostu strzałę wylatującą z jej łuku.

–Obserwowałeś strzałę?

–Patrzyłem, na ile jest uniesiona w chwili opuszczenia cięciwy – wyjaśnił Brian. – Gdy spostrzegłem Danielle, mierzyła do celu odległego o dwadzieścia sążni. Ja sam naciągam łuk nie więcej niż osiemdziesięciofuntowy. Oczywiście, żaden łucznik ze mnie. Panna Danielle nie jest jednak słabeuszem.

W ciszy i zamyśleniu Jim włókł się przez chwilę obok Blancharda i jadącego na nim rycerza.

–Skoro naciąga stufuntowy łuk, to jakim posługuje się Dafydd?

–Boże, któż to wie? Sto pięćdziesiąt? Dwieście? Może nawet więcej? Walińczyk nie jest zwyczajnym człowiekiem. Widziałeś, że sam robi sobie łuki i strzały, i jest w tym wyjątkowym fachowcem. Założę się, że każdy łucznik z bandy Gilesa oddałby dziesięcioletnie dochody za łuk Dafydda – zakładając, że zdołałby go naciągnąć. W łuku cały sekret tkwi w zwężających się końcach łączyska, rozumiesz. Nawet jeśli weźmiemy pod uwagę siłę tego człowieka, uzyskanie takiego zasięgu i celności nie polega tylko na wycięciu sobie dłuższego i grubszego łuku. Wykonał go z biegłością przekraczającą zdolności zwykłego rzemieślnika. Słyszałeś, co powiedział Giles, gdy Dafydd po raz pierwszy poruszył sprawę wystrzelania wartowników na murach zamkowych. To samo odnosi się zresztą do strzał, które wyrabia Walińczyk. Każdy z tych banitów bez wątpienia oddałby ostatnią koszulę za kołczan jego strzał.

–Rozumiem – powiedział Jim.

Słowa Briana zapadły gdzieś w głąb jego umysłu. Niegdyś, przed pojedynkiem z sir Hughem, uznałby takie wiadomości za fascynujące. Teraz poczuł tylko jakąś nieokreśloną niechęć – do Dafydda za jego zdolności i do Briana za pobłażliwy ton, który zdawał się pobrzmiwać w objaśnieniach rycerza.

Nie powiedział nic więcej, a Brian po kilku próbach podtrzymania rozmowy zrezygnował i zawróciwszy Blancharda pokłusował z powrotem, by dopilnować reszty wyprawy. Jim samotnie człapał dalej, ledwie pamiętając, dokąd idzie. Stwierdził, że samotna podróż bardzo odpowiada jego obecnemu nastrojowi. Nie odczuwał żadnej potrzeby towarzystwa, zwłaszcza towarzystwa tych dziwnych średniowiecznych postaci.

Rozejrzał się dokoła i stwierdził, że istotnie nie widzi ani ludzi, ani koni, niczego poza traktem, którym się posuwali. Zapewne droga wygięła się w jeden z tych bezsensownych zakrętów – biegła mijając wszelkie przeszkody. Nie była w ogóle utrzymywana i często okrążała nawet kępy drzew, które człowiek z toporem wykarczowałby w godzinę lub dwie. Był to zapewne boczny trakt. Jim zajęty

swoimi myślami nieświadomie kroczył prosto przed siebie i drogą szedł tylko wtedy, gdy biegła zgodnie z ogólnym kierunkiem marszu.

Tymczasem osamotnienie nie było mu niemiłe. Nie bawił go już ten dziwny świat, gadające stworzenia, krew, walka, nadludzkie i nadprzyrodzone siły, a przy tym wszystkim prymitywna technika i pierwotne stosunki społeczne.

Pomyślał też przy okazji, że tylko do pewnych granic można współżyć ze zwierzętami. Aragh i Smrgol, podobnie zresztą jak inne smoki, to jedynie zwierzęta, mimo zdolności mówienia. Co prawda ludzie, których tu spotykał, wcale nie byli lepsi – zwierzęta w ludzkiej postaci, działające pod wpływem obyczajów, instynktów i emocji, a nigdy nie kierujące się rozumem. Danielle, przy całej swej urodzie, niewiele różniła się od okrytej skórą samicy z epoki kamiennej. Podobnie Dafydd, pomimo tych umiejętności, mógłby śmiało należeć do hordy łowców z CroMagnonu. Giles był starym, przebiegłym zbrodniarzem, Brian zaś to niewrażliwa na ból maszyna do zabijania, która myśli mięśniami. Geronde była zwykłą dzikuską z radością oczekującą tortur, jakie zada swemu wrogowi, gdy dostanie go w ręce.

Co też mogło sprawić, że przebywając w czystości i wygodach dwudziestowiecznego życia uważał kiedyś życie wśród takich ludzi za ponętne lub chociaż za przyjemne? Nie mieli żadnych zalet. Wszystkie zobowiązania i uczucia, które wobec nich żywił, były jedynie wytworem złudnego romantyzmu.

W tym momencie oderwał się od swoich myśli i stwierdził, że już od pewnego czasu nie widzi śladów drogi ani nikogo z drużyny. Możliwe, że droga skończyła się. Możliwe, że drużyna skręciła w jakiś inny trakt. Możliwe wreszcie, że postanowili zatrzymać się już na noc, gdyż deszcz padał coraz rześystszy. No cóż, niech się sami martwią o siebie, a on dołączy do nich jutro. Nie czuł potrzeby ich towarzystwa, a przy jego smoczej niewrażliwości na deszcz i zimno nie przeszkadzało mu, że dzień robił się coraz bardziej dżdżysty i chłodny.

Ten zbliżający się już do końca przedwcześnie zszarzał dzień, niebo siąpiące na ociekające drzewa i nasiąknięta ziemia pasowały nawet do jego nastroju.

Mimo wszystko rozejrzał się, znalazł kępę drzew i skierował się w jej stronę. Bez trudności wyrwał z korzeniami kilka drzewek i uczynił coś na kształt prowizorycznego szałas. Splecione korony, wciąż pokryte liśćmi, osłoniły go nieco od padającego deszczu.

Jim z przyjemnością ułożył się w szałasie. Zaczęło zmierzchać. Nie miał pojęcia, gdzie są inni i nie mógłby ich znaleźć, nawet gdyby chciał. Oni również nie mogliby go odnaleźć i tak właśnie było najlepiej...

Miał zamiar włożyć głowę pod skrzydło, gdy posłyszał dźwięk, początkowo niewyraźny, stopniowo jednak narastający. Przez chwilę nie mógł go rozpoznać, ale wnet jasno i wyraźnie pojał...

Zbliżały się piaszczomroki.

Rozdział 18

Nim spostrzegł się, był już przed szałasem, gotowy do ucieczki. Powstrzymało go jednak to samo instynktowne odczucie, którego doznał przy pierwszym spotkaniu z



**piaszczomrokami: nieokreślone przeświadczenie, że próba ucieczki będzie początkiem końca. Wiedza ta wywodziła się gdzieś z najgłębszych pokładów podświadomości Gorbasha.**

**Pozostał na miejscu i w gęstniejących ciemnościach otworzył paszczę, błyskając długim językiem. Jego oddech stał się chrapliwy. Gdyby wiedział, w którym kierunku może znajdować się Brian i reszta, ucieczka miałaby jakiś sens. W gromadzie, jeżeli dotarłby tam, byłoby bezpiecznie. Nie miał wprawdzie pewności, ale podpowiadał mu to instynkt. Wiedział przecież, że piaszczomroki najchętniej atakują pojedyncze, bezbronne ofiary. Może większa grupa ludzi i zwierząt potrafi przewyciężyć strach, który piaszczomroki usiłują zasiać w umysłach osaczonych istot? Jeśli ofiary potrafią się przeciwstawić, może są również w stanie zaatakować piaszczomroki. Wiedział przecież, że stwory nie stawiają czoła temu, kto się ich nie boi – szybkość, z jaką uciekały przed Araghem, najdobitniej to potwierdziła.**

**Ale jak miał znaleźć resztę wyprawy? Już wcześniej doszedł do wniosku, że mogli zboczyć z traktu albo też jakiś czas temu zatrzymać się na nocleg. Gdyby zaczął uciekać w złym kierunku, wpadłby prosto w paszczę piaszczomroków.**

**Jedno było pewne – Aragh nie przyjdzie mu z pomocą. Nawet jeśli kręcił się jeszcze jakiś czas wokół Malvern, by sprawdzić, czy Jim rzeczywiście ruszył z wyprawą, zawrócił pewnie w stronę swych lasów, gdy potwierdziły się jego obawy. Był o wiele mil za daleko, by usłyszeć zbliżające się do Jima głosy.**

**Mieszanina strachu i wściekłości zapłonęła w Jimie. Raz jeszcze zachrypiało mu w gardle. Odruchowo rzucał głową w lewo i w prawo, niczym zwierzę słyszące głosy nagonki zbliżającej się ze wszystkich stron. Musiało być jakieś wyjście. Jakieś wyjście...**

**Ale nie było żadnego.**

**Gwałtowne ruchy głowy stopniowo ustały. Wściekłość zniknęła. Teraz już tylko się bał, a strach opanował go bez reszty. W końcu uświadomił sobie, że słusznie się boi – nienormalną rzeczą byłoby, gdyby nie czuł obawy. Słyszał przecież**

zbliżającą się śmierć – swoją śmierć.

Stał w deszczowych ciemnościach i wsłuchiwał się w zbliżający się pisk piaszczomroków. Za kilka minut otoczą go. Nie miał dokąd uciec; nie miał zresztą dokąd uciec już wtedy, gdy je tylko usłyszał. Doszedł do granic rozpaczy i przekroczył je, wstępując w jakąś bezbarwną, nieskończoną i jasną przestrzeń.

Z całą ostrością przyjrzał się sobie. Jego myśli plątały się poprzednio w wyszukiwaniu wszelakich argumentów przeciw Brianowi i innym. A zarzuty, które przychodziły mu wówczas do głowy, były jedynie zasłoną dymną mającą ukryć fakt, że to z nim źle się działo. To nie Brian, Smrgol, Aragh nie dorównywali mu, to on im nie dorównywał. Gdyby nie przypadek, który wtłoczył go w to potężne cielsko, byłby nikim. W swej ludzkiej postaci nie nadawałby się na najpodrzedniejszego członka bandy Gilesa. Czy potrafiłby naciągnąć stufuntowy łuk, nie mówiąc już o trafieniu w cokolwiek? Czy potrafiłby, nawet okryty najlepszą zbroją i posiadając najlepszego rumaka, choć przez dwie minuty opierać się Brianowi lub sir Hughowi?

Teraz zrozumiał. Bardzo łatwo jest rzucić się na zbrojnych pięciokrotnie mniejszych od siebie i ciskać nimi o ziemię. Bardzo wygodnie jest wmawiać tym ludziom żyjącym w feudalnym społeczeństwie, iż było się baronem, a nawet pozwalać im widzieć w sobie księcia. A co się stało, gdy przebiła go prawdziwa kopia? Od razu przes/ła mu ochota do zabawy. Gotów był pozbierać swoje klocki i wracać do domu.

Samotny, otoczony przez piaszczomroki, którym w końcu będzie musiał stawić czoło, pojął, że trafili z Angie do surowego świata. Wszyscy, których tu spotkał – Smrgol, Brian, Aragh, Giles, Dalydd, Danielle, nawet Secoh i Dick Karczmarz: – twardo walczyli o przetrwanie. Przetrwali, gdyż mieli odwagę walczyć o swoje przetrwanie. Tę odwagę, którą zaczął im mieć za złe, gdy przebiła go kopia sir Hugh'a i stwierdził, że może zginać jak każdy z nich. Odkrycie to uświadomiło mu, jak niewiele odwagi potrzebował w swoim własnym świecie.

Nie był to jednak czas na rozważania, czy potrafiłby okazać odwagę, skoro i tak miał umrzeć. Piaszczomroki znajdowały się tuż za otaczającymi go drzewami i panika wywołana ich piskiem zaczynała zżerać mu mózg. Tym razem na pewno go dostaną. Nie było nawet odstraszonego ogniska. Znowu przemyślnie wybrały deszczowa, pochmurna noc, gdy smoki nie mogą latać w obawie przed zderzeniem z drzewami lub skałami i -jak każdemu naziemnemu zwierzęciu – pozostaje im tylko biec przed siebie.

Jedyna różnica w stosunku do poprzedniego razu polegała na tym, że teraz osiągnął wewnętrzny spokój – mały sukces, dzięki któremu różnił się nieco od zwykłego osaczonego smoka.

Westchnął głęboko. Przez chwilę nawet zapomniał o pisku piaszczomroków. Mógł przynajmniej podjąć ostateczną decyzję. Skoro i tak miał umrzeć, niech chociaż wybierze sobie rodzaj śmierci. Co takiego powiedział Carolinusowi, gdy

się po raz pierwszy spotkali:... ale ja nie jestem s m o k i e m!

Nie był. Gorbash nie miałby żadnego wyboru w tej sytuacji, ale on, Jim Eckert, miał. Zamiast dać się pożreć piaszczomrokom, mógł zginąć próbując ratować Angie z Twierdzy Loathly – nawet samotnie.

Groziłaby mu śmierć już w czasie lotu, ale wolał już to, niż pozostanie tutaj. Otworzył paszczę i ryknął w stronę piaszczomroków. Skulił się i poderwał w deszcz i ciemności. Piski piaszczomroków szybko zamierały, zostawały za i pod nim.

Machając skrzydłami wzbijał się w górę. Nie miał nadziei, że warstwa chmur wisi na tyle nisko, by wznieść się nad nią. Gdyby zresztą nawet udało się mu przebić przez te deszczowe chmury, to gdzie znajdzie prądy wznoszące? Ocaliłby go silny wiatr, ale przy takiej pogodzie nie ma wiatru nad chmurami. Skoro więc nie będzie mógł szybować, prędzej czy później skrzydła mu osłabną i zacznie tracić wysokość. Zderzenie z ziemią stanie się nieuniknione.

Na razie jednak miał dość siły. Przebijał się w górę poprzez ulewę. Zewsząd otaczały go ciemności. Czuł się, jakby wisiał w wilgotnej i czarnej pustce; wytężał wszystkie siły i stał w miejscu. Deszcz padał bez przerwy, a nad głową nie widział żadnego przejaśnienia, przez które ukazałoby się wygwieżdżone niebo.

Na podstawie dotychczasowych doświadczeń w lataniu oceniał, że osiągnął wysokość co najmniej pięciu tysięcy stóp. Usiłował przypomnieć sobie, co wiedział o chmurach deszczowych. Największe opady – niejasno przypominały mu się zasłyszane kiedyś słowa – pochodzą z nimbostratusów, altostratusów i cumulonimbusów. Cumulonimbusy są chmurami niskimi, ale te pozostałe tworzą się wyżej, do dwudziestu tysięcy stóp. Nie doleciałby do takiego pułapu. Jego płuca przystosowane były do niewielkich wysokości. Wyżej zabrakłoby mu tlenu, gdyby nawet wytrzymał panujące tam zimno.

Deszcz począł zacinać bokiem, odruchowo więc skierował się pod wiatr, by zyskać wysokość. Ustawił skrzydła do lotu żaglowego i mógł trochę odpocząć. Nie widział wprawdzie, że opada, ale czuł nacisk powietrza na dolną powierzchnię skrzydeł i to wystarczyło, by zaalarmować jego smoczy mózg, że łagodnym lotem zbliża się do ziemi. Nie śmiał dłużej szybować. Mógł przecież tracić wysokość szybciej, niż mu się wydawało.

Znów zaczął używać skrzydeł, a rozkład ciśnienia na ich powierzchni dał mu znać, że ponownie się wznosi, choć dość wolno. Jego umysł pracujący intensywnie od chwili, gdy wymknął się piaszczomrokom, wspomniawszy nagle coś wyczytywanego w młodzieńczych lekturach. Był to fragment z jakiejś starej książki opowiadający o człowieku, który stracił pod wodą orientację i nie wiedział nawet, z której strony jest powierzchnia. Czytając to pomyślał, że w takiej sytuacji bardzo przydałby się jakiś przenośny hydrolokator. Wspomnienie uświadomiło mu, że dysponuje nie tylko potężnym smoczym głosem, ale również ma niezwykle czuły wzrok i słuch. Nietoperze potrafią latać nocą kierując się jedynie –

jak wykazały doświadczenia – swym zmysłem echolokacji. Może i on mógłby spróbować czegoś podobnego?

Jim otworzył paszczę i z głębi płuc wydał ryk, który zahuczał w otaczających go ciemnościach.

Wysłuchał się...

Nie był pewien, czy odpowiedziało mu echo.

Zaryczał znowu. I słuchał... słuchał... wytężając uszy.

Tym razem wydało mu się, że usłyszał coś w rodzaju echa.

Raz jeszcze zaryczał i nasłuchiwał. Teraz bez wątpienia wróciło echo. Coś znajdowało się pod nim i nieco z prawej strony.

Schylił głowę w stronę ziemi i znów ryknął.

Jego smoczy słuch szybko się uczył. Teraz był w stanie rozpoznać nie tylko samo echo, ale również różnice w odbiciach pochodzących z różnych stron. Daleko z prawej strony odbicie było przytłumione, tuż na prawo brzmiało ostro, a dalej z lewej echo znów stawało się stłumione. Najprawdopodobniej wprost pod nim znajdował się twardy grunt.

Raz jeszcze pomyślał. To niemożliwe, żeby te odbicia oznaczały twardy grunt, jak mu się wydawało przed chwilą. Raczej mogły wskazywać, że pod nim z prawej znajdowała się otwarta przestrzeń, dalej zaś z prawej i po lewej były tereny porośnięte drzewami, które tłumiliły echo.

Gdy to wymyślił, zaprzestał dalszych eksperymentów i ponownie zajął się lotem. Głównym problemem stało się teraz znalezienie sposobu oceny odległości dzielącej go od powierzchni odbijających głos. Poczul się wesoły i szczęśliwy. Nie dlatego, że wierzył już w swoje ocalenie; raczej z powodu zwycięstwa nad piaszczomrokami. Niewiele bowiem na razie zrobił dla polepszenia swojej sytuacji.

Przez pewien czas usiłował bez pośpiechu wznosić się na tyle, by sprawdzić, jaka jest różnica w stosunku do echa słyszanego na niższym pułapie. Ponownie ułożył skrzydła do lotu żaglowego i posłał swój dźwiękowy impuls w deszczową ciemność.

Usłyszał echo i po raz pierwszy zaświtała mu nadzieja. Dobiegł go bowiem dokładnie taki sam zestaw ostrych i stłumionych odbić. Poza tym zauważył wyraźny spadek natężenia echa, a więc mógł w ten sposób oceniać wysokość.

Pochłonęło go to, co robił. Zalała go fala optymizmu. Nadal wprawdzie miał małe szansę, aby bezpiecznie wylądować, ale poprzednio nie miał żadnych.

Na przemian wzbijał się, szybował i eksperymentował ze zmianą wysokości. Śmiertelne zagrożenie zmobilizowało go do szybkiej nauki i jego umiejętności interpretowania odbić zwiększały się w zawrotnym tempie. Nie tylko dlatego, że wyostrzył mu się słuch; przede wszystkim odbierał dźwięki bardziej selektywnie. Był już w stanie wyróżnić nie dwa, ale z pół tuzina rodzajów powierzchni, w tym

wąski pasek ostrego, niemal metalicznego echa, które mogło oznaczać rzekę lub strumień.

Krok za krokiem uczył się również wykorzystywać informacje uzyskane za pomocą echa. Stopniowo tworzył sobie w głowie – niczym negatyw fotografii – obraz leżącego pod nim terenu. Umiał już teraz ignorować dwa dźwięki, które uprzednio utrudniały mu doświadczenia: szum ulewy i odgłos deszczu uderzającego o ziemię. Jego smoczy słuch dawał się selektywnie sterować.

Na moment przyszło mu do głowy, że smoki mogą mieć więcej wspólnego z nietoperzami, niż się na ogół sądzi. Jego skrzydła przypominały olbrzymie skrzydła nietoperza. Skoro zaś mógł posługiwać się echolokacją, zapewne inne smoki też to potrafią. Zaskakujące więc, że większość smoków uważała noc za porę nie nadającą się do latania, chyba że przy blasku księżyca.

Przypomniawszy sobie, że smoki z całą pewnością radzą sobie lepiej w ciemnościach niż ludzie. W jaskiniach nie odczuwał nawet cienia klaustrofobii. Podobnie w piwnicy Dicka zupełnie nie przeszkadzał mu w jedzeniu brak pochodni. Ciemności i brak widoczności zupełnie go nie przerażały. Przyszło mu teraz do głowy, że inne smoki obawiały się nocnych lotów nie dlatego, że nie mogły widzieć. Uważały po prostu powierzchnię ziemi za dziwne i niebezpieczne miejsce, a brak widoczności stanowił dobry pretekst, aby nie wychodzić nocą z jaskiń. Gorba-sha uważano za nienormalnego smoka, gdyż spędzał dużo czasu na powierzchni. Teraz te dziwaczne skłonności Gorbasha, uzupełnione normalnym ludzkim zachowaniem Jima, stworzyły w tej nocnej wędrówce nową jakość.

Tymczasem, choć coraz bardziej panował nad sytuacją, nadal nie umiał ocenić swej wysokości. Co z tego, iż wiedział, że wciąż zbliża się do ziemi, skoro nie mógł przewidzieć, kiedy owo zbliżanie gwałtownie zmieni się w pobyt na ziemi!

Wydawało mu się, że ma tylko jedno wyjście – lecieć w stronę ostrego echa, zbliżyć się na tyle, na ile się odważy i mieć nadzieję, że nawet w tę ciemną noc dostrzeże coś i zdoła wylądować. Przypominało to nieco rosyjską ruletkę, ale czy miał jakiś wybór?

Zaczął się obniżać łagodnym, szybującym lotem. Przyszedł mu wtedy do głowy następny pomysł. Wspomniał smugę szczególnie ostrego echa i swoje przypuszczenia, że może ona oznaczać rzekę. Skręcił nieco w stronę charakterystycznego echa. Jeśli przeznaczone mu jest zderzyć się z ziemią, lepiej spaść do wody niż na twardy grunt lub ostre gałęzie drzew.

Ciągle obniżał się wysyłając kolejne dźwiękowe impulsy. Echo wracało coraz wyraźniejsze i coraz bliższe. Wytrzeszczając oczy spoglądał przed siebie, ale widział jedynie ciemność. Obniżał się coraz bardziej, lecz wciąż niczego nie dostrzegał.

Gwałtownie wstrzymał lot, gdy jego zwieszony w dół ogon piasnął o powierzchnię wody; w ułamku sekundy poderwał się w górę, przeklinając samego siebie.

Ależ oczywiście, do diabła! Głos – słuch – zupełnie zapomniał o nosie. Teraz nagle wywęszył wodę! Jego smoczy zmysł powonienia nie dorównywał możliwościom Aragha, ale znacznie przewyższał ludzką wrażliwość na zapachy. Powstrzymał odruchowo wznoszenie i łagodnie szybując znowu skierował się w stronę echa odbitego od wody. Tym razem jednak zwracał uwagę na zapachy.

Zdolności, które odkrył w sobie, były niezwykle. To, co obecnie wyczuwał nozdrzami, poprzednio w ogóle nie docierało do niego tylko dlatego, że nie przyszło mu do głowy kierować się węchem. Uważnie pociągając nosem wywęszył nie tylko wodę, ale również trawę, igły sosnowe, liście i wilgotną glebę.

Zbliżając się do wody poczuł z lewej i z prawej zapach ziemi. Miał więc rację; była to mała rzeczka nie szersza niż pięćdziesiąt jardów. Obniżył lot tak bardzo, że aż dotknął ogonem wody i wówczas wzbił się nieco i skierował w stronę zapachu ziemi po prawej stronie. Szybował w tym kierunku i...

Powoli! Wstrzymał się w porę, gdyż wyczuł woń wiałów, które rosły wprost na jego drodze i mierzyły ze trzydzieści stóp. Zza nich dobiegał go aromat trawy i ziemi. Zawrócił nad brzegiem ponad drzewami i ponownie znalazł się nad rzeką...

Płasko wpadł do wody, czyniąc przy tym straszliwy plusk. Woda przy brzegu sięgała mu jedynie do łopatek, nie było głębiej niż na wysokość człowieka. Stał przez chwilę w nurcie rzeki, a chłodna ciecz obmywała mu ciało i przywracała miłe poczucie bezpieczeństwa.

Po krótkim czasie serce przestało mu gwałtownie bić. Zawrócił i wyszedł z wody na brzeg, oszołomiony swoim sukcesem.

Na pozór wydawało się, że i na brzegu mógłby bezpiecznie wylądować, ale odrzucił to przypuszczenie. Siadanie na twardym podłożu było zbyt ryzykowne. Lepiej jeśli zaczeka, aż nabierze większego doświadczenia w nocnych lotach.

Jego wigor mijał. Wyrwanie się piaszczomrokom i przeżycie tej przygody było dużym osiągnięciem, ale nadal nie miał przy sobie towarzyszy i nie wiedział, jak postąpić.

Ze skruchą przyznał, że Angie niewiele mogła oczekiwać po nim, a nie miała nikogo innego. Pomyślał o przeczekaniu do rana i odszukaniu Briana i innych. Przypomniał sobie jednak, że obiecał im swój udział w zdobywaniu zamku Hu-gha de Bois. Jeżeli zmieni zamiar, cała reszta poczuje się zwolniona ze swoich zobowiązań w sprawie Angie. Nawet gdy tak nie postąpią... uświadomił sobie naraz, jak mało rozumie swoich dziwnych przyjaciół. Był to doskonały przykład, jak dalece inaczej mogą myśleć istoty porozumiewające się tym samym językiem.

Musi najpierw nauczyć się lepiej rozumieć myśli i uczucia swych średniowiecznych druhów, zanim popełni w tym świecie kolejne błędy. Jedynie Carolinus mógł mu pomóc.

Podniósł głowę. Kiedy tak rozmyślał, deszcz już prawie przestał padać. Warstwa chmur wydawała się nieco cieńsza. Miał wrażenie, że widzi przez nią białawą

smugę księżycowego światła, które usiłowało przebić się przez obłoki.

Jeśli wyjdzie księżyc, a nawet przy jego braku, powinien zdołać odnaleźć z powietrza Dźwięczną Wodę. Mięśnie skrzydeł zmęczone lotem odpoczęły już – kolejny przykład zadziwiającej smoczej wytrzymałości i siły. Szkoda, że fizjologowie, zoologowie i weterynarze nie mogą przebadać smoków i odnaleźć źródła tych niezwykle fizycznych własności.

Jim wzbił się w powietrze, w którym nie wisały już krople deszczu, a po chwili – gdy szybował w stronę w której spodziewał się znaleźć posiadłość Ca-rolinusa – wyszedł księżyc i dziewięćset stóp pod nim oświetlił srebrnoczarny krajobraz. Pięć minut później prawie całe niebo było czyste, a on długim szybującym lotem kierował się ku lasom, w których nie dalej niż o dwie mile leżała – widoczna z daleka – Dźwięczna Woda. Nie musiał prawie wcale zmieniać kursu.

## Rozdział 19

Wśród białych smug światła księżycowego i granatowych cieni Jim z łoskotem wylądował na żwirowej alejce prowadzącej do drzwi Carolinusa. W oddali w lesie kilka zaspanych ptaków świergotało na tyle głośno, że jego smocze uszy dosłyszały to. Poza tym panowała zupełna cisza.

Jim zawahał się. W oknach nie widział żadnego światła, a z niechęcią pomyślał o budzeniu teraz czarodzieja.

Gdy tak stał niezdecydowanie, naszła go myśl, że dom jest nie tylko zamknięty na noc, ale po prostu opuszczony. Na polanie panowała atmosfera pustki.

–Otóż i on! – zawarczał głos. Jim odwrócił się.

–Aragh! – krzyknął.

Wilk wynurzył się z cienia na skraju polany. Jim był tak szczęśliwy, że chętnie by go uściskał. Z tyłu ukazała się pochylona, błyskająca oczami postać szybko przybierająca znajome smocze kształty.

–Smrgol! – zawołał Jim.

Nie uświadamiał sobie dotychczas, co czuł do tych dwóch, a także do Briana i pozostałych. Zrozumiał, że w tym świecie różnice pomiędzy stworzeniami o innych kształtach nie były tak wielkie, jak w świecie, który opuścił. Życie i śmierć sąsiadowały ze sobą, podobnie miłość i nienawiść, które znajdowały się tak blisko jak, nie przymierzając, dwoje drzwi na dwóch końcach korytarza. Jeśli nie znienawidziłeś kogoś od razu, szybko zaczynałeś go kochać.

–Co wy dwaj tu robicie? – zapytał.

–Czekamy na ciebie – warknął Aragh.

–Czekacie na mnie? A skąd wiedzieliście, że tu przybędę?

–Mag powiedział – rzekł Smrgol. – Wysłał do mnie wczoraj wróbla, który przyniósł mi jego wezwanie. Smoku, powiedział, gdy się tu znalazłem, James Eckert, którego ty znasz jako Gorbasha, i ja musimy samotnie odbyć długie podróże. Jeśli chodzi o mnie, znajdę was wszystkich później. James zaś będzie mnie tutaj szukał. Czekaj na niego i przekaż mu moje słowa. Powiedz mu też, że godzina nadchodzi i że walka będzie cięższa, niż myślałem. Na niejednym planie będzie się toczyć – możesz

**powtórzyć to słowo, smoku?**

**–Plan, powtórzyłem i spytałem: co to znaczy, Magu?**



–Doskonale, rzekł. I nieważne, co to znaczy. James zrozumie. Na niejednym planie będzie się toczyć, ale jeżeli zjednoczymy się w boju i nie pozwolimy zarazie rozprzestrzenić się, nasze szansę wzrosną. Gdybyśmy nie mogli razem walczyć, niech każdy walczy samotnie tak, jak potrafi. Bo jeśli nasi wrogowie zwyciężą, nie pozostanie nam nic... Zapamiętałeś to wszystko, smoku?

–Potrafię opowiedzieć wszystkie legendy od czasów Pierwszego Smoka poczynając... zacząłem mu mówić, ale zaraz mi przerwał.

–Legendy też są teraz, wyobraź sobie, Smrgolu. nieważne, rzekł. Powiedz też temu wilkowi...

–Araghowi, spytałem. Czy on też się tu wybiera?

–Oczywiście. Będzie chciał wiedzieć, co się dzieje z Jamesem. Przestań mi przerywać, rzekł. Powiedz wilkowi, by odnalazł rycerza, łuczniaka, banitę i jego córkę i przekazał im, że potrzebni są do ostatecznej bitwy. Nie ma sensu, żeby szli do Malencontri. Sir Hugh i jego ludzie zwrócili się do Twierdzy Loathly na wezwanie Ciemnych Mocy. Są teraz ich pachołkami. Nawet jeśli sir Brian i pozostali zdołają zająć Zamek Malencontri, i tak okaże się dla nich bezwartościowy. Gdyby bowiem Ciemne Moce zwyciężyły, sir Hugh odbije zamek jednym uderzeniem miecza o bramę i jednym strzałem z kuszy. Niech wilk powie, że czekam na nich przed Twierdzą Loathly, o ile powrócę z mej podróży. Spotkają tam również Jamesa, jeżeli powróci bezpiecznie ze swojej podróży. i do zobaczenia.

–I do zobaczenia? – powtórzył Jim. – Czy to też część wiadomości?

–Nie wiem. Ale takie były jego ostatnie słowa – powiedział Smrgol. – Potem zniknął, wiesz, jak to czarodzieje potrafią.

–Jak ci się udała podróż, Gorbashu? – spytał Aragh. Jim otworzył usta i zaraz je zamknął. Niełatwo było i niezręcznie opisać tej dwójce swą wewnętrzną pielgrzymkę w poszukiwaniu samego siebie, którą Carolinus w jakiś magiczny sposób przewidział.

–Może któregoś dnia – rzekł – będę w stanie ci powiedzieć. Ale nie teraz.

–Aha, jedna z tych twoich podróży – mruknął Aragh, pozostawiając Jima w niepewności, na ile wilk zrozumiał go. – Dobrze, że jesteś tutaj. Ruszajmy więc do tej Twierdzy Loathly i załatwmy sprawy! – zgrzytnął zębami przy ostatnim słowie.

–Tylko Gorbash i ja pójdziemy – rzekł Smrgol. – Zapomniałeś, wilku, że masz zanieść wiadomości rycerzowi i jego kompanii. Zapewne powinieneś wyruszyć natychmiast, jak tylko ci o tym powiedziałem.

–Nie jestem na niczyje rozkazy – odparł Aragh. – Zostałem, bo chciałem zobaczyć, czy Gorbash bezpiecznie wrócił z podróży.

–A teraz lepiej ruszaj – nalegał Smrgol.

–Ha! – kłapnął zębami Aragh. – Pójdę więc. Ale zachowaj trochę tych Ciemnych Mocy dla mnie, Gorbashu. Postaram się odrobić zaległości.

Wydawało się, że cień zamknął się wokół niego, gdy odchodził.

–Nie najgorszy jak na wilka – rzekł Smrgol, patrząc przez chwilę w ciemność. – Trochę przewrażliwiony. Ale one przecież wszystkie są takie. A teraz, Gorbashu, powinniśmy spieszyć do twierdzy, jak tylko zaczną świtać. I najlepiej zrobisz, jeśli trochę odpoczniesz po tej twojej długiej podróży, o której mówił Mag...

–Odpocząć? – powiedział Jim. – Nie potrzebuję odpoczynku!

Gdy wypowiadał te słowa, naprawdę mówił szczerze. Czuł się świetnie.

–Może wydaje ci się, że nie potrzebujesz odpoczynku, mój chłopcze – surowo rzekł Smrgol – ale każdy doświadczony smok wie, że przed walką konieczny jest sen i posiłek...

–Posiłek? – spytał Jim podnieconym głosem. – Czy masz coś do jedzenia?

–Nie – odpowiedział Smrgol. – Ale mimo wszystko rozsądek nakazuje, byś się zdrzemnął pięć lub sześć godzin...

–Nie mógłbym zasnąć.

–Nie mógłbyś zasnąć...? Smok, który nie może spać? Dość tych dziwactw, Gorbash. Każdy smok, a szczególnie członek naszej rodziny, może jeść, pić i spać...

–Dlaczego nie ruszamy natychmiast? – spytał Jim.

–Latać po nocy?

–Mamy jasną noc – rzekł Jim. – Widziałeś, że przyleciałem tu.

–Było to bardzo lekkomyślne. Tacy młodzi jak ty zawsze lubią ryzykować. Udaje im się dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć razy na tysiąc. Któregoś dnia jednak szczęście się odwróci i wtedy pożałują, że nie posłuchali. Ale będzie już za późno. A co, jeśli w czasie lotu niebo nagle się zachmurzy i stwierdzisz, że nie widać ziemi?

Jim otworzył usta, by powiedzieć staremu smokowi o swym odkryciu na temat lotów w zupełnych ciemnościach i deszczu, ale postanowił dać sobie spokój.

–Opamiętaj się – rzekł opryskliwie Smrgol. – Ani słowa więcej o tych bzdurach. Obaj potrzebujemy snu.

Coś w naleganiach Smrgola zastanowiło Jima. Na tyle uważnie, na ile mógł to zrobić bez wzbudzania podejrzeń, przyjrzał się staremu smokowi. W tym potężnym cielsku nastąpiła pewna zmiana, która w jakiś trudny do uchwycenia sposób różniła obecnego Smrgola od dawnego stryjecznego dziadka Gorbasha. Uświadomił sobie nagle, co to jest.

Lewa powieka Smrgola był półprzymknięta. Zwieszała się nad długą, wąską szparą oka. Lewe skrzydło Smrgola również opadło, nieznacznie, lecz zauważalnie, a kiedy stał na czterech łapach, zdawało się, że większa część ciężaru ciała spoczywa na prawych kończynach. Jim widział już takie objawy, chociaż nie u smoków. Jego dziadek miał podobne oznaki jednostronnego paraliżu po pierwszym ataku apopleksji, trzy lata temu.

Ale smoki chyba nie miewają ataków apopleksji, pomyślał Jim. Najwidoczniej jednak miewają, gdy są stare lub osłabione. Miewają czy też nie – nie było to teraz ważne. W każdym razie Smrgol stał się inwalidą i nie był w stanie latać, niezależnie, czy zdawał sobie z tego sprawę.

–Dobrze – powiedział Jim. – Myślę, że mogę poczekać do rana.

Smrgolowi nie polepszy się do rana, ale te kilka godzin da Jimowi trochę czasu, by zastanowić się nad sytuacją. Schował głowę pod skrzydło i udawał, że zasypia. Jego uszy chwytały dźwięki, które mogły oznaczać ulgę w cierpieniach Smrgola. Istotnie, gdy po kilku minutach wyrzął spod skrzydła, Smrgol też miał schowaną głowę i zaczynał lekko pochrapywać.

Jim zasnął rozmyślając o tym, co powinien uczynić, i obudził się z gotową odpowiedzią.

–Smrgol! – rzekł, gdy tylko obudzili się o świcie następnego dnia. – Myślałem...

–Brawo!

–No... tak – powiedział. – I przyszło mi do głowy, że powinienem lecieć do Twierdzy Loathly tak szybko, jak potrafię. Jeżeli Carolinus ma rację, że sir Hugh i jego ludzie udali się tam, oznacza to, że Ciemne Moce gromadzą wszystkie swoje siły. Kto wie, z czym się tam można spotkać? Tysiące piaszczomroków... albo coś innego! Dlaczego nie miałbyś tymczasem potajemnie wrócić pieszo do jaskiń tak, by nikt nie widział, że chcesz zebrać inne smoki, zgromadzić je...

Smrgol odkaszlnął z zażenowaniem.

–Mój chłopcze – rzekł. – Miałem zamiar powiedzieć ci coś o tej sprawie. Rzecz w tym, że... to znaczy inni nie przyjdą.

–Nie przyjdą?

–Głosowali przeciw. Robiłem, co mogłem, ale... Smrgol zawiesił głos.

Jim nie dopytywał się. Mógł sobie wyobrazić, dlaczego inne smoki były przeciw, jeśli Smrgol namawiał je do wyruszenia już po swoim ataku. Postarzały i kaleki przywódca nie był tym, kto natchnąłby smoki wolą walki. W dodatku Jim zdobył już dostateczną wiedzę o smokach – ze świadomości Gorbasha i z kontaktów ze Smrgolem i całą resztą – by poznać ich głęboki konserwatyzm. Siedzmy cicho; a nuż wszystko samo minie – głosiła naczelna smocza zasada.

–Cóż, to nawet lepiej! – szybko powiedział Jim. – To znaczy, że możesz spokojnie maszerować ku moczarom, a ja tymczasem tam polecę i nawiążę łączność z innymi naszymi sprzymierzeńcami.

–Łączność? – podejrzliwie rzekł Smrgol. – Czy nauczyłeś się tego słowa od Carolinusa albo rycerza?

–Nie... tak, może. W każdym razie znaczy ono...

–Wiem, co ono znaczy – smutno stwierdził Smrgol. – Chodzi tylko o to, że użyłeś słowa, które bardziej pasuje do Jerzego, mój chłopcze. No cóż, naprawdę chcesz, żebym pieszo poszedł w stronę moczarów?

–Myślę, że tak będzie rozsądniej – odpowiedział Jim. – Pozwoli mi to lecieć prosto do twierdzy, a ty będziesz miał baczenie, na... no, na całą resztę.

–To prawda – Smrgol rzucił okiem w stronę swego lewego boku. – Może powinienem tak właśnie postąpić...

–Dobrze! – rzekł Jim. – W porządku więc, zaraz odlatuję.

–Powodzenia, Gorbashu!

–Powodzenia, stryjeczny dziadku!

Oczy Smrgola rozbłysły szczęściem przy ostatnim słowie.

–No dobrze, stryjeczny wnuku, nie stój tak tutaj. Mówiłeś, że odlatujesz. Ruszaj więc!

–Słusznie! – odparł Jim i wzbił się w powietrze.

Ranek był równie bezchmurny i bezdeszczowy, jak dzień poprzedni pełen był jednego i drugiego. Silny wiatr dął w stronę moczarów. Na wysokości sześciuset stóp Jim rozłożył skrzydła do lotu szybującego i dał się nieść prądom powietrza niczym orzeł. Leciał ledwie pięć minut, gdy wiatr zmienił kierunek o sto osiemdziesiąt stopni i zaczął wiać od mokradeł w stronę lądu.

Próbował zmieniać wysokość, żeby znaleźć taką, na której nie będzie przeciwnego wiatru, ale ten wydawał się wiać wszędzie.

Walczył tak przez jakiś czas, ale niewiele posunął się do przodu. Jeśli ten wiatr utrzyma się, równie dobrze mógłby przyłączyć się do Smrgola i pieszo wędrować w stronę bagien. Gdyby rzeczywiście warunki się nie poprawiły...

Wiatr ucichł raptownie. Nagle zabrakło nawet najłżejszego powiewu. Zaskoczony Jim stracił prawie pięćset stóp i zaczął polować na prądy termiczne.

–Co dalej? – spytał sam siebie.

Ale nie było żadnego dalej. Powietrze pozostało przeraźliwie nieruchome, więc kontynuował swoją wędrówkę od prądu do prądu; wznosił się z pomocą jednego, szybował w stronę następnego i znów nabierał wysokości. Ten sposób co prawda zapewniał nieco wyższe tempo niż marsz, ale mimo wszystko istniały szybsze sposoby podróży.

Kiedy dotarł do trzęsawisk, było już późne przedpołudnie. Dostrzegł linię Wielkiej Grobli i zaczął z trudem lecieć nad nią na wysokości zaledwie paruset stóp.

Koniec Wielkiej Grobli był dość gęsto pokryty drzewami i krzakami i przypominał las pomiędzy wrzosowiskami i moczarami. Liście i gałęzie trwały w bezruchu pod jasnym jesiennym słońcem, a Jim na przemian to wzbijał się, to szybował nad nimi. Na ziemi, pod i między drzewami Jim nie mógł niczego dostrzec. Żaden człowiek ani zwierzę, nawet ptak czy chmura owadów nie pojawiły się pod nim. Ta pustka była posępna i uspokajająca zarazem. Jim poczuł się tak nią ukołyszany, że niemal zapomniał, po co tu przybył. Bezsensownie przyszedł mu do głowy fragment poematu, który usiłował pisać w czasach studenckich, zanim trzeźwo nie postanowił zostać nauczycielem:

*Godzina, godzina... i znowu godzina... I znowu się nic nie wydarzy. Rozciąga się w wieczność -jak gdyby Na ścianie cień dzieci bez twarzy...*

–Jim Eckert! Jim Eckert!

Słaby głos dolatujący z daleka wyrwał go z zamyślenia. Jim rozejrzał się dookoła, ale niczego nie mógł dostrzec.

–Jim Eckert! Jim Eckert!

Dreszcz przeszedł mu po grzbiecie i zmroził całe ciało, gdy znów usłyszał wołanie, tym razem nieco głośniejsze. Teraz umiejscowił jego źródło – głos dobiegał z grobli gdzieś przed nim.

–Jim Eckert! Jim Eckert!

Był to głos smoka, ale nie tak potężnego jak Smrgol lub Bryagh.

Jim popatrzył przed siebie, przeszukując groblę swym ostrym wzrokiem. W końcu dostrzegł w kępie wysokiej trawy otoczonej drzewami i krzewami szary, lekko poruszający się kształt. Zanurkował w jego stronę.

Kiedy się zbliżył, zobaczył to, czego już wcześniej się spodziewał. Na ziemi leżał Secoh. Spoczywał na trawie z szeroko rozłożonymi skrzydłami, niczym schwytyany ptak na pokaz rozciągnięty przez łowców. Błotny smok od czasu do czasu bezradnie podnosił głowę i powtarzał wezwanie.

Jim znajdował się teraz prawie dokładnie nad błotnym smokiem. Secoh najwyraźniej nie dostrzegł go jeszcze – nic dziwnego, skoro patrzył w złym kierunku. Jim myślał pospiesznie. Wzywanie go jego prawdziwym imieniem wydawało się niesamowite i było jeszcze coś: dziwna pozycja, w której leżał Secoh, miała w sobie coś nienaturalnego. Pomyślał z zakłopotaniem, czy odpowiedzieć błotnemu smokowi.

Zawahał się i z rozpędu poszybował dalej, tak że Secoh dostrzegł go.

–Jim Eckert! Jim Eckert! – zaskamlał Secoh. – Nie odchodź! Wróć i wysłuchaj mnie! Mam ci coś do powiedzenia. Proszę, wróć! Och, pomóż mi! Pomóż, wasza dostojność! Jestem tylko błotnym smokiem...

Jim poszybował dalej, zamykając uszy na dochodzące go z tyłu krzyki, ale w duchu walczył ze sobą. Secoh w jakiś sposób poznał jego prawdziwe imię. Znaczy to, że błotny smok coś odkrył albo też Ciemne Moce użyły go jako pośrednika. Czyżby Ciemne Moce gotowe były negocjować w sprawie uwolnienia Angie?

Uchwycił się nadziei, którą wywołała w nim ta ostatnia myśl. Negocjacje były prawdopodobne... a z drugiej strony jeśli Secoh naprawdę odkrył coś ważnego, Jim okazałby się głupcem, gdyby tego nie wykorzystał. Choć Jim mocno postanowił nie kierować się uczuciami, to jednak poruszył go rozpaczliwy ton w głosie Secoha i jego prośby o pomoc.

Z determinacją zatoczył półkole i zaczął szybować z powrotem. Secoh tkwił w tym samym miejscu i w nie zmienionej pozycji. Na widok powracającego Jima wydał całą serię okrzyków radości.

–Och, dziękuję, wasza wysokość! Dziękuję, dziękuję... – mamrotał, gdy Jim wylądował w trawie obok niego.

–Mniejsza o twoje podziękowania! – warknął Jim. – Co masz mi do powiedzenia...

Przerwał, gdy dojrzał przyczynę, dla której Secoh leżał w nienaturalnie rozciągniętej pozycji. W trawie przemyślnie ukryte były wbite w ziemię kołki, a do ich końców mocno przywiązano rzemieniami końce skrzydeł i pazury Secoha.

–Stój, smoku! – zakrzyknął jakiś głos.

Jim obejrzał się. Postać w jasnej zbroi, którą ostatni raz widział na koniu z kopią skierowaną w swoją stronę, wychodziła z prawej strony zza drzew, a wokół Jima pojawiła się, ramię przy ramieniu, duża grupa kuszników. Broń mieli w pogotowiu, a bełty wymierzone w pierś Jima. Secoh zaczął zawodzić.

–Wybacz mi, wasza wysokość! – zajęczał. – Wybacz mi! Nie mogłbym nic pomóc. Jestem tylko błotnym smokiem, a oni złapali mnie. I One powiedziały im, że jeśli zmuszą mnie, bym cię zawołał tym imieniem, to przybędziesz i cię złapią. Obiecali uwolnić mnie, jeśli cię przywołam. Jestem tylko błotnym smokiem i nikt się o mnie nie troszczy. Sam muszę się zajmować sobą. Muszę, czyż nie widzisz? Muszę...!

## Rozdział 20

Postać w zbroi nieustraszenie poszła naprzód, aż znalazła się niecałe trzy stopy przed paszczą Jima. Podniosła przyłbicę i Jim ujrzał kwadratowe, brutalne oblicze z wielkim nosem i zimnymi, jasnoszarymi oczami.

–Jestem sir Hugh de Bois de Malencontri, smoku! – rzekła postać.

–Znam cię – odpowiedział Jim.

–Niech mnie diabli wezmą, jeśli widzę jakąś różnicę między tobą a innymi smokami – stwierdził sir Hugh. – Atoli nie będziemy się spierać, skoro to ma Je uszczęśliwić. Związać go, chłopcy. Za ciężki jest na konia, ale zrobimy sanie i zawlecemy go do twierdzy.

–Szlachetny rycerzu, proszę waszą lordowską mość, czy zechcecie rozwiązać mnie teraz? – zawołał Secoh. – Złapaliście go. Czy zechcielibyście po prostu przeciąć te rzemienie i pozwolić mi odejść...

Sir Hugh przyjrzał się Secohowi i zaśmiał się. Potem znów odwrócił się do Jima.

–Szlachetny rycerzu! Szlachetny rycerzu! – Secoh cały zadrżał. – Obieca liście. Obiecaliście, że mnie uwolnicie, jeśli go tu ściągnę. Nie cofniesz przecież słowa rycerskiego, prawda, wasza królewskość?

Sir Hugh ponownie spojrzął na błotnego smoka i wybuchnął głośnym, basowym śmiechem.

–Słuchajcie go! Słuchajcie tego smoka! Mówi o czci rycerskiej! Słowo rycerskie dla smoka?

Jego śmiech nagle się urwał.

**–Jakżeż to, smoku – rzekł do Secoha. – Potrzebuję wszak twojej głowy na ścianę! Jakimże byłbym głupcem, gdybym cię uwolnił!**

**Odwrócił się z powrotem, a wtem z jasnego nieba spadł śmiercionośny deszcz – grad strzał zaświstał nad nimi. Pół tuzina kuszników padło. Pozostali, niektórzy z tkwiącymi w ciele strzałami, umknęli pod osłonę drzew. Cztery groty padły wokół sir Hugh'a, jedna długa strzała zaś przeszła mu przez skraj lewego naramiennika i głośno zadzwoniła na napierśniku, ale nie przebiła tej drugiej warstwy pancerza.**

**Sir Hugh zaklął, spuścił przyłbicę i ciężko pobiegł w stronę drzew. Następny**

rój strzał spadł wielkim kręgiem pomiędzy drzewa, ale Jim nie mógł stwierdzić, jakich zniszczeń tam dokonał. Usłyszał tupot stóp uciekających i galop odjeżdżającego rycerza. Potem zapanowała cisza. On i Secoh byli nietknięci, ale oprócz martwych i umierających kuszników nie widzieli nikogo.

Skamlenie Secoha ponownie zwróciło uwagę Jima na błotnego smoka. Obszedł go dookoła i wyciągnął pazurami wszystkie kołki, do których był przywiązany; przyszło mu to z wielką łatwością. Secoh natychmiast usiadł i zaczął przegryzać rzemienie, którymi był przyczepiony do kołków.

–Dlaczego sam nie wyciągnąłeś palików? – zapytał Jim. – Wiem, że w takiej rozciągniętej pozycji nie jest to łatwe, ale każdy smok...

–Oni wszyscy mieli te łuki, miecze i inne rzeczy – rzekł Secoh. – Nie jestem taki dzielny jak wy, wasza wspaniałość. Nie mogłem opanować strachu i myślałem, że jeśli zrobię wszystko, czego zażądają, uwolnią mnie.

Przestał gryźć rzemienie i skulił się.

–Rozumiem, oczywiście, co wasza dostojność może czuć. Nie powinienem wzywać was tutaj...

–Zapomnij o tym – burknął Jim.

Secoh uchwycił się tych słów i powrócił do przegryzania skórzanych pasów.

Jim przeszedł się wokół leżących kuszników, ale dla żadnego nie można było już nic uczynić. Wszyscy byli martwi albo konający i żaden nie zachował resztek świadomości, by spostrzec, że ktoś się nad nim pochyla. Jim zawrócił w porę, by ujrzeć Secoha zbierającego się do odlotu.

–Zaczekaj chwilę – warknął.

–Zaczekać? Ach, oczywiście, zaczekam. Rozumiem, wasza wysokość! – zaskamlał Secoh. – Pomyśleliście, panie, że odlatuję. Aleja tylko rozprostowywałem skrzydła.

–Nigdzie nie polecisz – rzekł Jim. – Siadaj i odpowiadaj na pytania. Kto ci powiedział, żeby nazywać mnie Jimem Eckertem?

–Już mówiłem! – zaprotestował Secoh. – Jerzy, rycerz powiedział mi, że One powiedziały jemu.

–Hmm. A po pierwsze, jak cię złapali?

Secoh wyglądał na nieszczęśliwego.

–Oni... oni położyli piękny kawał mięsa – powiedział. – Pół wielkiego wieprza... cudowne, tłuste mięso.

Łza potoczyła mu się z oka.

–Takie cudowne, tłuste mięso! – powtórzył Secoh. – I nie pozwolili mi ugryźć ani kęsa. Ani kęsa! Po prostu wymierzili we mnie kusze i związali mnie.

–Mówili dlaczego? – pytał Jim. – Czy mieli podstawy, by sądzić, że tu przylecę i że będziesz mógł mnie zwabić?

–Ależ tak. wasza dostojność. Dużo o tym rozmawiali. Rycerz powiedział, że właśnie o tej porze przylecisz i że sześciu ludzi ma cię natychmiast dostarczyć do



twierdzy, a reszta dołączy do nich po drodze.

–Dołączy? – Jim zrobił srogą minę.

–Tak, wasza dostojność. – Oczy Secoha patrzyły o wiele bystrzej niż kiedykolwiek wcześniej. – Ten rycerz miał zamiar zostać z tyłu i zastawić pułapkę na innego Jerzego, twego przyjaciela. Tego mu jednak nikt nie kazał; One posłały go tylko po to, żeby złapał ciebie i zaraz wracał. Ale on był naprawdę straszliwie zagniewany na twojego przyjaciela, wiesz, tego co ciągle poluje na błotne smoki. Więc rycerz chciał pochwycić twojego przyjaciela pomimo Ich rozkazów... Secoh cały zdrzął.

–To jest takie przerażające w tych Jerzych – ciągnął dalej. – Nikt nie może ich zmusić, by robili to, co im nakazano. Nawet One. Nie dbają o nic, póki mogą jeździć w swych twardych łuskach i dźgać ostrymi rogami takie biedne błotne smoki jak ja. Wyobraź sobie kogoś innego, kto rusza przed siebie i czyni, co mu się podoba, choć One dały mu rozkazy!

–Ciekaw więc jestem, dokąd oni wszyscy stąd uciekli? – zastanowił się Jim.

–Rycerz i ci kusznicy? – Secoh skinął głową w stronę łądu, gdzie zaczynała się Wielka Grobla. – Tu po lewej są grzęzawiska, w których utonąłbyś w minutę, wasza wysokość, gdybyś nie umiał latać. Ale One pokazały temu rycerzowi drogę przez bagna. On i jego ludzie podążyli tam i zatoczyli koło, by wrócić na groblę za plecami twoich przyjaciół, którzy strzelali z łuków. Wiem o tym, bo w taki właśnie sposób rycerz chciał zaskoczyć i pojmać twoich przyjaciół, po dostarczeniu ciebie do twierdzy.

–To znaczy, że odcięli nas od łądu... – zaczął Jim, gdy uświadomił sobie, że słyszy zbliżający się tętent końskich kopyt, a po chwili Brian wjechał na polanę.

–James! – wykrzyknął radośnie rycerz. – Więc jesteś! Czuję się jak ostatni łajdak, że namawiałem cię do ataku na Malencontri. Kiedy wczoraj zniknąłeś, zastanowiłem się i przyszło mi do głowy, że chyba doradzaliśmy ci postępować wbrew twoim obowiązkom i że w końcu postanowiłeś wypełnić je samotnie. Powiedziałem to Gilesowi, Dafyddowi i Danielle, a oni wszyscy – niech oślepnę, jeśli kłamię – myśleli o tym samym. Najpierw wilk odszedł, potem ty. Zły znak dla całego towarzystwa, prawda? Więc zawróciliśmy w stronę bagien, a ostatniej nocy dogonił nas wilk... Cóż to? Masz tu ze sobą jednego z naszych tutejszych smoków?

–Secoh, wasza wielmożność! – zaskamlał pospiesznie błotny smok. – Po prostu Secoh i to wszystko. Znam was dobrze, waszą jertzową mość, i wielokrotnie podziwiałem was z daleka. Jaka szybkość, jaka werwa...

Naprawdę?

–Jaka uprzejmość, jaka łagodność, jaka...

–Ależ, bynajmniej...

–Mówiłem sobie, że taki rycerz nigdy nie skrzywdzi biednego błotnego smoka jak ja.

–Oczywiście – rzekł Brian – że skrzywdziłbym, bądź tego pewien. Gdybym cię złapał, odrąbałbym ci głowę jak każdemu innemu smokowi. Ale widząc cię z Jamesem, uznałem, iż jesteś po naszej stronie.

–Waszej...? O tak, panie, tak. Jestem po waszej stronie.

–Tak pomyślałem. Gdy cię ujrzałem, uderzył mnie twój wojowniczy wygląd. Chudy, żylasty, zawzięty, nie jak większość innych tutejszych smoków, które widywałem.

–O tak, wasza szlachetność. Chudy...

Secoh, który już na wpół rozłożył skrzydła, jakby ponownie próbując wzlecieć, przerwał i rzucił spojrzenie na rycerza. Brian jednak odwrócił się do Jima.

–Inni będą tu za minutę – zaczął...

–Nieprawda – stwierdził kwaśno jakiś głos. – Byłem tu, zanim przyjechałeś. Ale zająłem się tropieniem wrogów. Odeszli w bagna obok grobli. Mógłbym ich i tam śledzić, ale postanowiłem wrócić i zobaczyć, co z Gorbashem. Wszystko w porządku, Gorbash?

–W porządku, Aragh – odparł Jim, gdy wilk wszedł na polanę.

Aragh spojrzał na Secoha i zaśmiał się złośliwie. – Żylasty i zawzięty? – rzekł.

–To nieistotne, szlachetny wilku powiedział Brian. – Najważniejsze, że znowu jesteśmy razem; teraz musimy trochę pomyśleć. Jak tylko... o, otóż i oni. Dafydd, Giles i Danielle wraz z resztą banitów istotnie weszli na polanę w chwili, gdy pojawił się Aragh. Banici kręcili się wokół ciał kuszników i zbierali swoje strzały. Dafydd przystanął na środku polany i rozejrzał się.

–Moją strzałę musiało zapewne ponieść – rzekł łucznik do Jima. – Czy został zatem raniony?

–To twoja strzała trafiła Hugh'a de Bois? Powinienem się domyślić – odparł Jim. – Przebiła mu naramiennik, ale reszty zbroi już nie.

–To był strzał na ślepo – powiedział Dafydd – gdyż drzewa dzieliły go ode mnie. A jednak nie jestem zadowolony słysząc, że go trafiłem, a nie zdołałem uczynić mu krzywdy.

–Cicho – rzekła mu Danielle. – Nawet za wstawiennictwem świętego Sebastiana nie uczyniłbyś więcej z takiej odległości i w takiej sytuacji. Dlaczego ciągle udajesz, że możesz dokonywać rzeczy niemożliwych?

–Ja nie udaję jednakowoż. A co do rzeczy niemożliwych, to takowe nie istnieją. Są tylko rzeczy, których nikt jeszcze nie nauczył się robić.

–Mówię wam, że teraz to nieważne – przerwał Brian. – Jesteśmy znowu razem z sir Jamesem i trzeba podjąć decyzję. Sir Hugh i jego kusznicy znaleźli schronienie wśród bagien. Czy powinniśmy ruszyć za nimi, czy też rozdzielić siły tak, by uniemożliwić im powrót, czy też ciągnąć do twierdzy, pozostawiając ich za

sobą? Co do mnie, to niechętnie zostawiałbym wrogom możliwość napastowania mojej tylnej straży.

–Oni wcale nie są wśród bagien – niespodziewanie głośno powiedział Secoh. – Do tego czasu z powrotem znaleźli się na grobli.

Wszyscy odwrócili się i popatrzyli na błotnego smoka, który giął się i płaszczył pod tyłoma spojrzzeniami, ale w końcu wyprostował się i odwzajemnił spojrzenie.

–A to co takiego? – spytał Giles.

–Hugh de Bois i jego ludzie walczą pod rozkazami Ciemnych Mocy z twierdzy – rzekł Jim. – Secoh mówił mi, że Ciemne Moce pokazały Hughowi, jak bezpiecznie przejść przez bagna i wrócić na groblę. Znaczy to, że są na niej gdzieś między nami i stałym lądem.

–Więc nie ma o czym dyskutować – stwierdził Brian. – Twierdza przed nami i ci kusznicy za nami tworzą sytuację nie do pozazdroszczenia. Zawrócimy i skierujemy się przeciw nim.

–Nie wiem... – powiedział Jim. Czuł jakiś ucisk w dołku. – Ruszajcie przeciw nim, jeśli sądzicie, że tak jest najlepiej. Ja muszę dotrzeć do Twierdzy Loathly. Mam niejasne wrażenie, że czas ucieka.

–Ha! – odparł Brian i nagle zamyślił się. – Miałem to samo uczucie wczoraj, kiedy odszedłeś. W jakimś sensie do tej pory pozostało we mnie. Może najlepiej będzie, jeśli ty i ja razem wyruszymy do twierdzy bez względu na to, co nas tam czeka. Reszta może zostać i zająć się sir Hughem i jego ludźmi, jeśli spróbują przedrzeć się tędy.

–Ja pójdę z Gorbashem – rzekł Aragh.

–I ja również – niespodziewanie stwierdził Dafydd. Napotkał wzrok Danielle. – Nie patrz tak na mnie. Mówiłem, że zdobywanie zamków to nie moje zajęcie i jest to prawda. Ale kiedy w Zamku Malvern płomienie świec zamigotały, choć nie było żadnego wiatru, poczułem w sobie chłód. Ten chłód nadal jest we mnie i myślę, że nigdy nie pozbędę się go, zanim nie odzyskam i nie pomogę unicestwić jego przyczyny.

–Ależ ty jesteś rycerzem – rzekła Danielle.

–Nie kpij ze mnie – odparł Walińczyk.

–Kpić? Ja wcale nie kpię. Ja również idę z tobą.

–Nie! – Dafydd ponad jej głową spojrzał na Gilesa. – Każ jej zostać. Giles chrząknął.

–Sam jej każ zostać – odrzekł.

Danielle położyła rękę na wiszącym u pasa sztylecie.

–Nikt mi nie będzie rozkazywał, czy mam zostać, czy iść, ani cokolwiek innego – rzekła. – A tym razem idę.

–Giles – wtrącił Brian, ignorując jej słowa – dasz radę sam zatrzymać sir Hugh'a i jego ludzi?

–Nie jestem taki sam... – sucho stwierdził Giles. – Mam tu moich zuchów i wasali Zamku Malvern! Sir Hugh i jego drużyna prędzej trafią do nieba, niż przebiją się przez nas.

–Więc ruszajmy w imię Boże!

Brian dosiadł konia i ruszył wzdłuż grobli. Jim stanął obok wielkiego białego rumaka.

–... nie masz żadnych zastrzeżeń? – Danielle prowokowała Dafydd.

–Nie – smutno odpowiedział łucznik. – Prawdę powiedziawszy, w tym ogarniającym mnie chłodzie mieściła się też obawa, że będziesz przy mnie, gdy nadejdzie rozstrzygająca chwila. Ruszajmy więc.

Oboje szli za Jimem i Brianem, a w ich głowach zaczynała pobrzmiwać intymna nuta. Nie mówili na tyle cicho, by Jim nie mógł – wytężając smocze uszy – usłyszeć, o czym rozmawiają, ale wystarczająco cicho, by nie musiał zwracać na nich uwagi. Aragh biegł kłusem po drugiej stronie Blancharda.

–Dlaczego jesteście tacy posępni obaj? – spytał. – Taki piękny dzień do zabijania.

–Chodzi o twierdzą i to, co się w niej znajduje – odparł Brian krótko. – Ruszamy przeciw czemuś, co sięga do naszych dusz.

–Tym więksi z was głupcy, że macie te bezużyteczne, zawadzające dusze – warknął Aragh.

–Szlachetny wilku – rzekł groźnie Brian – nic z tego nie rozumiesz, a ja nie jestem w nastroju, by ci tłumaczyć.

Kontynuowali podróż w milczeniu. Powietrze było nieruchome, a dzień zdawał się z trudem nadażać za upływem czasu. Powoli zaczęli dostrzegać horyzont – szaroniebieską linię, wzdłuż której morze stykało się z lądem – ciągle odległy o kilka mil. Jim ze zdziwieniem spojrzał w niebo.

–Jak myślisz, która jest godzina? – spytał rycerza.

–Wydaje mi się, że niedługo nadejdzie pryma – odpowiedział Brian. – Dlaczego pytasz?

–Pryma...? – Jim musiał przerwać, by przypomnieć sobie, że pryma oznacza południe. – Patrz, jak ciemno się robi.

Brian rozejrzał się dokoła, podniósł wzrok ku niebu i ponownie spojrzał na Jima. Chociaż słońce nadal płynęło po bezchmurnym niebie, od zachodu ciągnęła dziwna ciemność, która przygasiła barwy nieba i krajobrazu. Brian gwałtownie spojrzał przed siebie.

–Patrz! – zawołał. – Spójrz tam!

Pokazał ręką, a Jim spojrzał. Przed nimi ciągnęła się grobla, z rzadka w tym miejscu porośnięta drzewami i kępami krzaków przemieszanych z wysoką bagienną trawą. Gdzieś tam – nie można było okiem ocenić, jak daleko – trawa gięła się wzdłuż linii przecinającej groblę i bagna po obu jej stronach. Za tą linią

wszystko było lodowato szare niczym pod mroźnym zimowym niebem. – TO idzie w naszą stronę – rzekł Aragh.

Jim po kilku chwilach obserwowania pochylającej się i ponownie prostującej trawy stwierdził, że linia – licho wie, co za jedna – powoli pełźnie naprzód. Wyglądało to, jakby ciężka niewidzialna ciecz rozlewała się z wolna wzdłuż grobli, ogarniając stawy i wysepki na bagnach. Jim poczuł, że ciarki mu przechodzą po grzbiecie.

Jim i rycerze zatrzymali się instynktownie, a Aragh widząc to również stanął. Potem usiadł i wyszczerzył do nich w uśmiechu kły.

–Popatrzcie w górę ku zachodowi – rzekł. Spojrzeli. Przez chwilę ożyły w Jimie nadzieje, gdyż wydawało mu się, że widzi smoczy kształt szybujący w ich stronę czterysta stóp nad groblą. Ale stopniowo zaczął dostrzegać różnice. To nie był smok ani nic rozmiarów smoka, chociaż wydawało się zbyt wielkie na ptaka. Wyglądało jak orzeł z rozpostartymi skrzydłami, ale miało dziwnie dużą głowę, która nadawała stworzeniu sępi wygląd. Jim wpatrywał się w niebo, ale dziwne ciemności uniemożliwiały mu dojrzenie szczegółów lecącego kształtu. Szybował wprost ku nim. Kiedy się zbliżył, Jim nagle zaczął dostrzegać rysy tej dziwnej dużej głowy. Wkrótce ujrzał wyraźnie i oczy na ten widok zaszły mu mgłą. Był to ogromny, ciemnobrązowy ptak – z wyjątkiem głowy! Miał głowę kobiety; jej blada twarz wpatrywała się w Briana i Jima, a rozchylone wargi ukazywały ostre białe zęby.

–Harpia! – rzekł Brian, wolno wciągając powietrze. Zbliżała się.

Jim sądził, że skręci w ostatniej chwili, ale ona nurkowała wprost na nich. Teraz zrozumiał, dlaczego jego oczy nie chciały patrzeć na tę białą twarz. Nie tylko dlatego, że była twarzą kobiety. Bardziej przerażało kompletne szaleństwo malujące się na tej twarzy. Zastygłe w obłędzie oblicze pędziło wprost ku nim na skrzydłach wielkiego ptaka...

Nagle znalazła się tuż nad nimi i zmierzała wprost do gardła Jima; za chwilę wszystko mogło się wydarzyć.

Gdy już go dopadała, ciemny kształt rzucił się w powietrze w jej stronę. Długie szczęki zamknęły się w miejscu, w którym przed ułamkiem sekundy znajdowała się biała twarz, a harpia z ohydny wrzaskiem rzuciła się w bok ku Brianowi i niemal zwała go z grzbietu Blancharda, nim udało się jej bezpiecznie wzbić w górę.

Na ziemi Aragh cicho powarkiwał. Brian z powrotem sadowił się w siodle. Harpia po chybionym ataku oddalała się, zmierzając w stronę twierdzy.

–Masz szczęście, że wilk ją odpędził – rzekł chmurnie Brian. – Jej ukąszenie jest trujące. Przyznaję, że ta piekielna twarz zupełnie mnie zmroziła i zahipnotyzowała.

–Niech spróbuje jeszcze raz – stwierdził ze złością Aragh. – Nie zwykłem chybiać dwa razy z rzędu.

Wśród bagien po lewej stronie rozległ się jękliwy głos.

–Nie! Nie! Zawróćcie, wasze wysokości! Zawróćcie. To bezcelowe. Tam was wszystkich czeka śmierć!

Odwrócili głowy.

–Ależ, do diabła! – wykrzyknął Brian. – To ten twój błotny smok.

–Nie – rzekł Aragh wężąc nosem powietrze. – Inny. Ma inny zapach.

Błotny smok, bliźniaczo podobny do Secoha, przysiadł niepewnie na małej, na wpół zalanej kępie bagiennej trawy czterdzieści stóp od grobli.

–Och, proszę! – wykrzyknął prostując skrzydła i machając nimi dla utrzymania równowagi. – Nic dobrego nie będziecie mogli uczynić, a nas wszystkich spotka przez to nieszczęście. One już zostały obudzone i rozzłościć Je, jeśli tam pójdziecie.

–Je? – zawołał Jim. – Masz na myśli Ciemne Moce?

–One... One! – rozpaczliwie zawodził błotny smok. – Te, które zbudowały Twierdzę Loathly i żyją w niej, które zesłały zły urok na nas pięćset lat temu. Nie czujecie, że One czekają tam na was? Te, które są nieśmiertelne, które nienawidzą nas wszystkich, które ściągają do siebie wszystkie okrutne, złe istoty...

–Chodź tu – rzekł Jim. – Wejdz na groblę. Chcę z tobą pomówić.

–Nie... nie! – zaskomlał błotny smok. Spojrzał przerażonym wzrokiem na smugę zbliżającą się ponad wodą i trawami.

–Muszę lecieć... uciec stąd! – Zatrzepotał skrzydłami i wolno wzbił się w powietrze. – One znowu zerwały pęta i teraz wszyscy jesteśmy zgubieni... zgubieni...!

Wydawało się, że lodowaty podmuch zza zbliżającej się linii dopadł błotnego smoka i zawrócił go. On jednak znowu ciężko poleciał w stronę stałego lądu, krzycząc cienkim, rozpaczliwym głosem.

–Zgubieni!... zgubieni... zgubieni...!

–No! – powiedział Brian. – Co ci mówiłem o błotnych smokach? Jak rycerz może zdobyć sławę i zaszczyty polując na takie stwory jak ten...

W połowie zdania słowa zamarły mu na wargach. Kiedy rozmawiali z błotnym smokiem, linia dotarła do nich, a gdy Brian mówił, przeszła nad nimi. Ogarnęły ich chłodne, zimowe kolory. Rycerz i Jim popatrzyli na swoje poszarzałe nagle twarze.

–In manus tuas, Domine – cicho rzekł rycerz i przeżegnał się.

Dookoła nich szary zimowy półmrok ogarnął wszystko. Pomiędzy pasmami szarozielonej trawy rozlewały się mętne, gęste wody bagienne. Zimny podmuch szarpał krzakami wikliny, które grzechotały sucho niczym stare kości na jakimś zapomnianym cmentarzu. Liście drzew nagle uschły i zwiędły jak przedwcześnie postarzały człowiek; ciężar przytłaczał wszelkie żywe istoty i zdawało się, że nadzieja umarła.

–Sir Jamesie – powiedział rycerz dziwnie uroczystym tonem i słowami, jakich nigdy przedtem Jim u niego nie słyszał – wiedz, że w godzinie onej po wielką rzecz sięgamy. Dlatego też upraszam cię, jeśli zdarzy się, iż samotnie powrócisz, a ja polegnę; nie ostawiaj mej pani ani krewnych moich w niewiedzy, jaki był koniec mój.

–Ja... wielce będę zaszczycony mówiąc im... – odparł niezręcznie Jim przez ściśnięte gardło.

–Dzięki ci za tę szlachetność – rzekł Brian. – I ja tak uczynię, jeśli by tobie się to przytrafiło, gdy tylko znajdę statek, który zawiezie mnie za zachodnie morza.

–Po prostu... powiedz Angie. To znaczy mej pani Angeli – odparł Jim. – Nie musisz martwić się o nic więcej.

Nagle wyobraził sobie tego dzielnego i uczciwego człowieka porzucającego dom, rodzinę i ruszającego przez trzy tysiące mil nieznanego oceanu, by wypełnić obietnicę daną nieznanomemu. Skrzywił się, gdy porównał ten charakter z wyobrażeniem, jakie miał o sobie.

–Uczynię tak więc – rzekł Brian i natychmiast wrócił do swego normalnego ja. Zsunął się z siodła na ziemię. – Blanchard nie pójdzie ani kroku dalej, do licha z nim! Muszę go poprowadzić...

Przerwał i spojrzął poza Jima.

–Gdzie poszedł łucznik i panna Danielle? – zapytał. Jim odwrócił się. Brian miał rację. Tak daleko jak sięgał wzrokiem, nie było śladu tej dwójki, która -jak przypuszczał – szła za nim.

–Aragh? – spytał Jim. – Dokąd oni poszli?

–Jakiś czas temu zostali z tyłu – odrzekł wilk. – Pewnie zmienili zdanie i nie chcą iść z nami. Są gdzieś tam z tyłu. Gdyby nie drzewa i krzaki, pewnie mógłbyś ich jeszcze zobaczyć.

Nastąpiła chwila ciszy.

–Cóż, ruszajmy bez nich – powiedział Brian. Szarpnął Blancharda za uzdę.

Biały koń niechętnie zrobił jeden krok, potem następny. Ruszyli. Jim i Aragh szli obok.

W miarę jak szli naprzód, otaczająca ich posępność i odczuwalne przygnębienie zgasiły rozmowę. Pod owym wpływem nawet samo istnienie zdawało się wysiłkiem, a każdy ruch ciała wymagał wytężenia woli. Ich nogi i łapy stały się niczym ołowiane odważniki i ciężko, opornie stawiały krok za krokiem. Cisza jednak spowodowała coś gorszego, odizolowała ich od siebie i pozostawiła każdego w mętnej kałuży własnych myśli. Poruszali się jakby w półśnie, mówiąc coś od czasu do czasu i znów zapadając w milczenie.

Im dalej szli, tym węższa stawała się grobla. Z czterdziestu jardów skurczyła się do tyłuż stóp. Drzewa również stawały się karłowate, powykręcane i pełne sęków, a rzednąca trawa pod ich stopami odsłaniała glebę. Brakowało tłustego czar-

noziemu bagien bliższych stałemu lądowi, grunt był piaszczysty i jałowy. Chrząścił pod ich ciężarem i pod podkowami Blancharda, twardy i zarazem niepewny. Biały rumak zatrzymał się nagle. Potrząsnął łbem i zamiast iść naprzód, próbował się cofnąć.

–Co, u diabła! – wybuchnął Brian ciągnąc wodze. – Co za szatan wstąpił w niego...

–Posłuchaj – rzekł Jim, który również stanął. Przez moment Jim prawie uwierzył, że to, co przed chwilą usłyszał, było złudzeniem. Ale dźwięk zabrzmiał znowu i zaczął rosnać w siłę. Był wprost przed nimi i zbliżał się. Słyszeli pisk piaszczomroków.

Natężenie głosów rosło. Piaszczomroki znajdowały się nie tylko przed nimi, nacierały ze wszystkich stron. Po prostu nie wszystkie od początku wydawały głos, ale teraz brzmiał cały ich chór. Jim poczuł, że piski raz jeszcze wdarły się do najgłębszych obszarów jego podświadomości. Spojrzał na Briana i pod podniesioną przyłbicą zobaczył jego twarz; krew z niej odpłynęła, a kości obciążone były skórą niczym u dziesięciodniowego nieboszczyka. Pisk osiągnął crescendo i Jim zrozumiał, że traci zdolność myślenia.

Za nimi Aragh zaśmiał się bezgłośnie.

Wilk zadarł łeb, otworzył paszczę i zawył – długie wycie niczym ostrze przecięło piski piaszczomroków. Głos Aragha nie był zwykłym wilczym wyciem do księżyca, ale zewem, który zaczynał się niską nutą, przybierał na sile i wznosił się do maksimum przewyższającego wszystkie piski; potem opadał znowu, słabł... słabł i znikał. Był to zew łowiecki.

Kiedy zamilkł, zapadła cisza. Aragh zaśmiał się ponownie.

–Możemy iść dalej – rzekł.

Brian otrząsnął się niczym ktoś wyrwany ze snu i szarpnął cugle. Blanchard ruszył naprzód. Jim również raz jeszcze podjął podróż.

Piaszczomroki nie powtórzyły próby, ale kiedy posuwali się naprzód, Jim słyszał niezliczone pluśnięcia wody i szelesty wśród otaczających ich drzew, krzewów i wikliny; odgłosy towarzyszyły im niczym eskorta małej armii wyrosniętych szczurów. Jim starał się nie zwracać na nie uwagi. Jednak odgłosy te budziły podświadomy niepokój, a wypatrywanie stworzeń wywoływało w nim kolejne fale strachu.

Wypatrywanie stawało się coraz trudniejsze.

–Ściemnia się, prawda? – rzekł w końcu Jim. – I mgła nadchodzi.

Od chwili gdy przecięli linię, przeszli z półtora mili. Niebo rzeczywiście poczerniało. Nie była to jednak naturalna ciemność, ale rodzaj ciężkiej zawiesiny w powietrzu, z którą zdawała się nadchodzić przedwczesna noc. Jednocześnie nadciągały niskie chmury, a opary mgły wisiały tuż nad wodą po obu stronach grobli.



Nagle Blanchard znowu się znarowił. Stanęli. Wokół nich piaszczomroki zaczęły poruszać się z coraz większą gwałtownością. Przed nimi, po prawej stronie grobli, niespodziewanie rozległ się ciężki pojedynczy plusk, jakby coś wielkiego wylazło z wody na ląd. Aragh gwałtownie pociągnął nosem i zawarczał z głębi gardła.

–Teraz – rzekł.

–Co teraz? Co nadchodzi? – wypytywał Brian.

–Moje mięso! – mruknął Aragh. – Odsuńcie się! Sztywno zrobił kilka kroków i czekał z lekko opuszczoną głową, na wpół otwartymi szczękami i wygiętym w łuk ogonem. Jego oczy czerwono płonęły w półmroku.

Nozdrza Jima pochwyciły zapach, który wyczuł Aragh. Woń okazała się dziwnie znajoma – uświadomił sobie, że taki sam odór wydzielają dotrzymujące im towarzystwa piaszczomroki. Ten zapach był jednak bardziej intensywny. Posłyszał również odgłos wielkiego cielska zbliżającego się ku nim – stwór nie omijał krzaków, przedzierał się najkrótszą drogą.

Brian wyciągnął miecz. Aragh nie odwrócił głowy, ale zastrzygł uszami na dźwięk metalu trącego o metal.

–To moje mięso, mówię wam – powtórzył. – Zostańcie z tyłu! Ruszajcie, gdy wam powiem.

Jim czuł, że ma napięte wszystkie mięśnie, a oczy bolały go od wypatrywania w mroku zbliżającego się stwora. Wtem w jednej chwili ujrzeli, jak zmierza ku nim: wielki, czarny, czworonożny kształt; sierść błyszczała mu od ociekającej wody. Nie krył się wcale, ale szedł naprzód, aż znalazł się o niespełna trzy długości swego ciała od Aragha. Wówczas stanął na tylnych łapach i wydał z gardła obrzydliwy chichot – głuchą odmianę pisku, który dotychczas słyszeli trzej intruzi.

–Miejcie nas w opiece, apostołowie! – mruknął Brian. – Czy to jest piaszczomrok...?

To był piaszczomrok, ale wielokroć potężniejszy od tych małych stworów, które już trzykrotnie budziły w Jimie atawistyczny strach. Potwór ów przewyższał rozmiarami dorosłego niedźwiedzia grizzly; był niemal tak wielki jak brunatne niedźwiedzie z wyspy Kojak. Aragh w porównaniu z nim skurczył się nagle, wydawał się nie większy od małego psa.

Wilk jednak nie zamierzał się cofnąć. Z jego gardła dobiegł niespieszny, jednostajny pomruk. Przez dłuższą chwilę potworny piaszczomrok kołysał się na tylnych łapach, wydając swój niski chichot. Wtem – wciąż stojąc – ruszył naprzód i nagle rozpoczęła się walka.

Powstało niesamowite zamieszanie; ani ludzkie, ani smocze oko nie mogło dostrzec szczegółów. Mimo swoich rozmiarów wielki piaszczomrok poruszał się z nieuchwytną dla wzroku szybkością. Aragh jednak był szybszy. Jim zrezygnował z obserwowania ruchów wilka; wydawało się, że Aragh jednocześnie jest nad

i pod, z lewej i z prawej strony potężnego czarnego kształtu.

Równie nagle jak się ze sobą zwarli, odskoczyli od siebie. Aragh stał z nisko opuszczoną głową i wciąż uporczywie warczał, ogromny piaszczomrok zaś dyszał i chwiał się na tylnych łapach, a jego czarne futro znaczyły krwawe pręgi.

Aragh przestał warczeć, ale ani na chwilę nie spuszczał wzroku z przeciwnika.

–Ruszajcie! – rzekł nie odwracając głowy. – Dopóki igram z ich matką, piaszczomroki nie ruszą za wami. Ta hałastrą nie odważy się jej pomóc, bo wie dają, że gdy się do mnie zbliżą, pierwsza piątka zginie, a żaden nie chce w niej być.

Jim zawahał się. Brian przemówił w imieniu ich obu.

–Szlachetny wilku – rzekł – nie możemy zostawić cię samego w obliczu tych osobliwych...

Zanim jednak zdołał wypowiedzieć ostatnie słowa, walka rozgorzała na nowo.

Znów nie sposób było dostrzec ruchów rywali, ale tym razem starcie trwało dłużej, aż rozległ się przeraźliwy, ohydny trzask i Aragh odskoczył w tył ze zwisającą przednią lewą łapą.

–Ruszajcie! – warknął z furją. – Mówię wam, ruszajcie!

–Ale twoja łapa... – zaczął Jim.

–Czy prosiłem cię o pomoc? – Głos Aragha był ochryply z wściekłości. – Czy kiedykolwiek prosiłem o pomoc? Kiedy byłem szczeniakiem i złapała mnie niedźwiedzica, sam i na trzech łapach zabiłem ją. Sam też zabiję tę matkę piaszczomroków, znowu na trzech łapach! Ruszajcie!

Potwór miał teraz na całym ciele liczne krwawiące rany. Ale chociaż dyszał ciężko, nie wydawał się osłabiony. Wiedzieli też, że Aragh nie ustąpi. Nie mogli nawet myśleć o powstrzymaniu go. Gdyby wilk zginął, śmierć pozostałej dwójki byłaby tylko kwestią czasu.

Brian spojrzał na Jima.

–Ruszajmy – powiedział Jim.

Rycerz przytaknął. Pociągnął Blancharda za wodze i poprowadził konia naprzód. Oddalili się, a za nimi wilk i gigantyczny piaszczomrok znów zwarli się w walce.

Odgłosy starcia wkrótce umilkły w oddali. Otoczyła ich ciemność i mgła. W jednej sprawie Aragh miał rację: żaden piaszczomrok nie ruszył za nimi. Posuwali się z wysiłkiem i przez dłuższy czas żaden z nich nie przemówił. Wreszcie Brian zwrócił głowę w stronę Jima.

–Bardzo zacny wilk – wyrzekł z wolna rycerz.

–Jeśli ten wielki piaszczomrok zabije go... – zaczął Jim i reszta zdania zamarła mu na ustach.

Chciał przysiąc zemstę zabójcy, gdy uświadomił sobie, że nie będzie w stanie nic zrobić. Gdyby czarna matka piaszczomroków zabiła Aragha, w jaki sposób ponownie ją odnaleźć? A jeśli nawet to się uda, jak wówczas pokonać ją, nim

zabije Jima legion jej dzieci? Nie był angielskim wilkiem, by nie zważać na ich porażające umysł piski.

Z goryczą stwierdził, że jest bezsilny wobec tej okrutnej rzeczywistości. Nie do zniesienia. Nigdy w swym dotychczasowym życiu nie wątpił, że niesprawiedliwi w końcu muszą rozliczyć się ze swych postępów, a każda krzywda będzie naprawiona. Teraz musiał zadłużyć się u Aragha wiedząc, że może nigdy nie zdoła mu się odwdziżyć. Idąc wolno wśród tajemniczych, nienaturalnych ciemności, które pokrywały moczary, zapomniał na moment, gdzie jest i co mu grozi.

Trudno było rozstać się ze złudzeniami, ale nie miał wyboru. Kiedy to sobie uświadomił, osłabła w nim niezłomna dotąd wiara, że życie musi być uczciwe, bo inaczej stałoby się nie do zniesienia; ujrzał, jak pęka i niknie w niepamięci jeden z filarów jego siły duchowej.

–Ściemnia się, prawda? – wyrwał go z zamyślenia głos Briana.

Jim rozejrzał się. Uszli już pewnie z półtorej mili od miejsca, gdzie został Aragh i piaszczomroki. Istotnie powietrze nadal gęstniało, a wraz z nim gęstniały opary po obu stronach grobli. – Jeszcze trochę – rzekł Jim – i nie będziemy mogli iść.

Już teraz ich wzrok sięgał zaledwie do skraju wody po bokach, a przed sobą dostrzegali drogę nie dalej niż na dwanaście jardów. Wciągali w płuca lepkie, zimne powietrze, które dusiło ich i zatrzymywało w miejscu. W miarę jak wola gięła się pod nieustannym naciskiem przygnębia, marsz wymagał coraz większego wysiłku. Na domiar złego wraz z narastaniem ciemności nadeszła cisza. Odgłos kroków na piaszczystym gruncie niemal nie docierał do ich uszu, a nawet ich własne głosy wydawały się dobiegać z oddali.

–Brian? – zawołał Jim nie widząc w mroku rycerza.

–Tutaj, Jamesie... – Niewyraźna sylwetka rycerza w zbroi skierowała się w stronę Jima i niespodziewanie natknęła się na niego.

–Nie mogę dalej iść, nic nie widzę – rzekł Jim.

–Ani ja – przyznał Brian. – Myślę, że będziemy musieli zostać tutaj.

–Tak...

Stali patrząc na siebie, ale nie byli w stanie odróżnić swoich rysów, zniknęły w nieprzeniknionych ciemnościach. A ciemności stawały się coraz czarniejsze, aż ostatnie przebłyski światła zniknęły i zapanował zupełny mrok. Jim poczuł na lewej łopacie zimny uścisk twardych, żelaznych palców.

–Trzymajmy się razem – powiedział Brian. – Teraz, cokolwiek nas spotka, jednocześnie spotka nas obu.

–Tak – zgodził się Jim.

Stali w ciszy i ciemności, czekając nie wiadomo na co. Wkrótce otaczająca czerń odizolowała ich od siebie i przystąpiła do ataku na ich umysły. Nic nie docierało ze świata, ale z wnętrza Jima wypełzły – niczym białe, ślepe ślimaki

z bezdennej jamy – wszystkie obawy i słabości, wszystko, czego kiedykolwiek się wstydził i o czym chciał zapomnieć, wszystkie brudy jego duszy...

Otworzył usta, chcąc odezwać się do Briana, powiedzieć cokolwiek, co przerwałoby rzucony na nich urok. Uczuł jednak, że trucizna działa już w jego wnętrzu. Przestał ufać rycerzowi – skoro w' nim samym załęgło się zło, musi ono być również w Brianie. Powoli, skrycie zaczął usuwać się spod ręki rycerza...

–Spójrz – dobiegł go nagle daleki, obcy głos Briana. – Spójrz do tyłu!  
Jim odwrócił się. Jak w ciemnościach znalazł właściwy kierunek, sam nie wiedział. Ale odwrócił się i ujrzał w oddali – tak daleko, że wyglądało to jak migotanie gwiazdy odległej o niezliczone lata świetlne – drobny, jasny punkt.

–Co to jest? – spytał z zapartym tchem.

–Nie wiem – odpowiedział zniekształcony głos rycerza. – Ale przesuwają się w tę stronę. Patrz, jak rośnie!

Wolno, bardzo wolno dalekie światełko powiększało się i zbliżało. Było niczym ciągle rosnąca dziurka od klucza otwierającego drzwi do światła. Mijały minuty odmierzane uderzeniami serca Jima. W końcu światełko uniosło się i w miarę zbliżania wydłużało jak cięcie nożem po czarnej tkaninie ciemności.

–Co to jest? – znowu krzyknął Jim.

–Nie wiem... – powtórzył rycerz.

Obaj jednak poczuli, że zbliża się dobro. Wracало w nich życie i odwaga; była to moc przeciwstawiająca się ogarniającej ich ciemnej mocy beznadziejności. Gdy jasność sunęła ku nim, czuli rosnącą siłę, a Blanchard grzebał kopytami w twardym piasku i rżał radośnie.

–Tutaj! – zawołał Jim.

–Tutaj! – krzyknął Brian.

Światło strzeliło w górę, sięgając nieba, jakby ożywione ich głosami. Sunęło niby wielki pionowy pręt, rozszerzający się w miarę zbliżania do nich. Ciemność cofała się i uciekała do góry. Czerń poszarzała i stała się półmrokiem, potem półmrok zrzedniał i rozproszył się. Dobiegł ich niedaleki odgłos nóg powłóczących po piasku, a jednocześnie usłyszeli powolny oddech...

Znowu panował dzień.

Przed nimi stał Carolinus odziany w szatę czarodzieja i spiczasty kapelusz, trzymający przed sobą – jakby była to zarazem miecz i tarcza, włócznia i zbroja – długą, rzeźbioną w drewnie laskę.

–Na Moce! – rzekł spoglądając na nich. – Przybyłem do was w samą porę!

Jim i rycerz patrzyli na siebie jak ludzie wstrzymani na skraju urwiska. Blanchard potrząsał łbem i uderzał kopytami o ziemię, jakby upewniając się, że znowu stoi na twardym gruncie w znanym sobie świetle.

–Magu – powiedział Brian – dzięki ci!

–Szala Przypadku i Historii przechyliła się tym razem na waszą korzyść – rzekł Carolinus. – Inaczej nie zdołałbym dotrzeć do was w porę. Patrzcie!

Podniósł laskę i wetknął ją w piasek u swych stóp. Stała pionowo niczym nagi pień drzewa. Gestem ręki wskazał horyzont; rozejrzeli się.

Ciemności zniknęły. Trzęsawiska pojawiły się w całej okazałości, ciągnąc się wzdłuż przebytej przez nich drogi i dalej, ku odległej o pół mili ciemnej linii morza. Grobla podniosła się; znajdowali się teraz dwadzieścia stóp powyżej otaczającego ich terenu. W oddali niebo jarzyło się ogniem zachodzącego słońca. Oświetlało moczary, stawy i groblę czerwonym blaskiem, który krwawo padał na ziemię, trawę i karłowate drzewa. Ów blask rozlewał się wprost przed nimi, wokół niskich wzgórz wznoszących się na sto stóp ponad brzeg morza, gdzie wśród wielkich spiętrzonych głazów majaczyły ledwie tknięte resztką światła słonecznego rozpadające się ruiny czarnej jak węgiel twierdzy.

## Rozdział 21

Wszystko to ujrzeli w ostatniej minucie światła, gdy słońce znajdowało się już na samym skraju horyzontu i znikało w morzu. Noc – tym razem prawdziwa noc – szybkimi krokami nadchodziła ze wschodu.

Carolinus pochylił się nad czymś obok swej laski. Po chwili mały płomień wystrzelił spod jego dłoni. Odszedł nieco na bok i przyniósł kilka suchych gałęzi opadłych z karłowatych drzew. Rzucił je na płomień i wnet wybuchnął ogień, oświetlając i grzejąc ich wszystkich.

–Wciąż jesteśmy w zasięgu mocy Twierdzy Loathly – rzekł czarodziej.

–Dla własnego bezpieczeństwa nie odchodźcie dalej niż na dziesięć kroków od różdżki!

Podkasał szaty i ze skrzyżowanymi nogami usiadł przed ogniskiem.

–Połóż się, szlachetny rycerzu – powiedział. – I ty też, mój zaczarowany przyjacielu. Kiedy słońce wstanie, zobaczysz, że przyda ci się to wszystko, co zdołałeś zachować.

Brian z ochotą posłuchał czarodzieja, ale Jim niechętnie usiadł koło ognia.

–A co z Angie? – spytał. – Nie widzieliśmy żadnego śladu Bryagha. Czy sądzisz...?

–Twoja panna jest w twierdzy – przerwał mu Carolinus.

–Tam? – zerwał się Jim. – Ja muszę...

–Siadaj! Gwarantuję ci, że jest jej wygodnie i bezpiecznie – gniewnie powiedział Carolinus. – Przynajmniej na razie nie jest wmieszana w toczące się zmagania.

Skrzywił się i spod szaty wyciągnął buteleczkę i małą czarkę z ciemnego szkła. Z butelki nalał do czarki białego płynu i wypił go.

–Ki diabeł? – Brian wytrzeszczył oczy.

–Skąd wiesz? – Jim wypytywał czarodzieja. – Jak możesz mówić...

–Na Moce! – prychnął Carolinus. – Jestem Magistrem Sztuk. Skąd wiem?

Doprawdy!

–Wybacz – rzekł Brian wybałuszając oczy – ale czy ty pijesz mleko, Magu?

–Odrobina magii leczniczej, rycerzu, przeciw demonom wrzodu, które ostatnio mnie dręczą.

–Powiedz mi, skąd wiesz! – znowu zapytał Jim.

–Myślę raczej, że możesz dostać od tego puchliny – rzekł Brian spoglądając z ukosa. – Dzieci przecież...

–Nie powiem ci! – wybuchnął Carolinus. – Czy po to pracowałem sześćdziesiąt lat na mój tytuł, by przy każdej okazji wypytywano mnie o moje metody? Gdy mówię, że jesteśmy pod wpływem Saturna, to znaczy, że jesteśmy. Jeśli mówię, że dziewczyna jest całkiem bezpieczna, to znaczy, że jest. Na Moce!

Prychnął z obrażoną miną.

–Słuchaj, mój młody przyjacielu – tłumaczył Jimowi wycierając czarkę i chowając ją pod szaty. – Zdaję sobie sprawę, że posiadasz trochę praktycznej wiedzy o Sztuce i Nauce, ale nie łudź się bynajmniej, że wszystko rozumiesz. Jesteś tu w pewnym celu, a jutro po wschodzie słońca okaże się w jakim; podobnie ten rycerz.

–Ja też, Magu? – dopytywał się Brian.

–Czy sądzisz, że przypadkiem natknąłeś się na naszego wspólnego przyjaciela? – pytał Carolinus. – Wy, laicy, zawsze myślicie, że Przypadek jest czynnikiem działającym na oślep. Bzdura! Działanie Przypadku podlega najbardziej surowym prawom wszechświata. Przypadek w sposób nieunikniony zachodzi w miejscu, w którym istnieje największy opór innych Pierwotnych Sił, takich jak Historia i Natura – zwłaszcza Historia i Natura. Można rzec o czym wie każdy głupiec, że zmagania tych sił zmieniają sytuacje z godziny na godzinę. W przeciwnym wypadku wszechświat stałby się tak uporządkowany, że po prostu umarlibyśmy z nudów. Słuchaj więc...

Skierował długi, kościsty palec w stronę Jima.

–Natura bez przerwy pracuje nad ustanowieniem równowagi czynników, którą nieustannie narusza działanie Historii. Sęk w tym, że nowa równowaga może się ustalić w jednym z wielu punktów, a wybór tego punktu należy do Przypadku, który w ten sposób – jako element kompensujący – wchodzi do równania. Na tej prawdzie opiera się cała magia, która jest wytworem Sztuki i Nauki. Czy teraz rozumiesz naszą sytuację?

–Nie – odrzekł Jim.

–Och, idź już spać! – wykrzyknął Carolinus z irytacją unosząc rękę.

Jim przymknął oczy...

...i był już poranek.

Usiadł zdumiony ziewając. Po drugiej stronie lasu – czy też różdżki, jak zwał ją Carolinus – siedział Brian ze zdumioną miną. Carolinus był już na nogach.

–Co się stało? – spytał Jim.

–Kazałem wam zasnąć. Co się miało stać! – odpowiedział Carolinus. Wy

ciągnął buteleczkę i czarkę, nalał trochę mleka i wypił je krzywiąc się. – Za-

czynam nie cierpieć tego świństwa – gderał, chowając z powrotem naczynia. – Choć nie ma wątpliwości, że działa. Ruszamy! Odwrócił się nagle do Jima i Briana.

–Wstawać! Słońce świeci już od półtorej godziny, a nasze siły są największe przy wznoszącym się słońcu. Oznacza to, że największe szansę zwycięstwa mamy przed południem.

–Dlaczego więc nie obudziłeś nas wcześniej? – spytał Jim wstając; Brian również się podniósł.

Ponieważ mieliście zaczekać, aż oni was dogonią.

–Oni, jacy oni? – pytał Jim. – Kto ma nas dogonić?

–Gdybym dokładnie wiedział kto – rzekł Carolinus gryząc brodę – powiedziałbym.

Wiem tylko, że z dzisiejszej sytuacji wynika, iż jeszcze czwórka dołączy do nas... O, otóż i oni!

Spojrzał ponad barkiem Jima. Jim odwrócił się i ujrzał zbliżające się sylwetki Dafyddda i Danielle, a za nimi dwa smocze kształty.

–No, no... mistrz łuku! – serdecznie powiedział Brian, gdy Dafydd się zbliżył. – I panna Danielle! Dzień dobry!

–Istotnie mamy dzień, ale czy będzie dobry, czy nie, wolałbym nie zgadywać – odparł Dafydd. Rozejrzał się dookoła. – Gdzie jest wilk, szlachetny rycerzu?

Cień przemknął po twarzy Briana.

–Nie widzieliście go? – spytał Jim. – Musieliście go minąć. Kilka zwykłych piaszczomroków i jeden ogromny dopadło nas i Aragh został, by walczyć z tym wielkim. Musieliście mijać miejsce, gdzie zostawiliśmy ich walczących.

–Zostawiliście ich?! – krzyknęła Danielle.

–To wilk zażądał tego od nas – ponuro rzekł Brian. – Powinnaś, jak sądzę, wiedzieć, panienko, że w innej sytuacji nie opuścilibyśmy go!

–Nie widzieliśmy ani jego, ani żadnych śladów piaszczomroków czy też walki – powiedział Dafydd.

Jim stał w milczeniu. Odczuwał te słowa niby ciężkie ciosy w żołądek, choć przecież już wczoraj uświadomił sobie, że może nigdy nie ujrzeć Aragha żywego.

–Tylko dlatego, że zażądał – zapalczywie rzekła Danielle – nie musieliście zostawiać go sam na sam z...

–Danielle – przerwał Carolinus. Odwróciła się do niego.

–Magu! – zawołała. – Ty tutaj? Przecież gdy byłam dzieckiem, miałeś już ze sto lat. Nie powinieneś być tutaj!

–Jestem tam, gdzie muszę – rzekł Carolinus. – Tak jak wasz wilk, jak sir James i sir Brian. Nie oskarżaj ich. Zadaniem Aragha była samotna walka, żeby ci dwaj mogli o czasie dotrzeć do twierdzy. To wszystko i nie mówmy o tym więcej.

Utkwił w niej swe stare oczy; pochyliliła głowę i odwróciła się od niego.

–Poszukam go... – powiedział Jim na wpół do siebie. – Jak tylko wszystko się skończy, poszukam go i odnajdę.

–Może – sucho rzekł Carolinus. Znów przeniósł wzrok za Jima. – Witajcie, smoki!

–Secoh! – zawołał Brian. – A... to kto?

–Smrgol, panie Jerzy! – gniewnie rzekł stary smok. Wyraźnie kulał, a lewe skrzydło opierał na grzbiecie błotnego smoka. Lewą powiekę miał prawie całkiem zamkniętą. – Pozwólcie mi odsapnąć trochę! Nie jestem taki młody jak dawniej, ale przydam się w potrzebie. Patrzcie, kogo przyprowadziłem ze sobą.

–Ja... ja nie miałem na to zbyt wielkiej ochoty – wyjąkał Secoh. – Ale, jak wasza wysok... to znaczy, jak wiesz, twój stryjeczny dziadek potrafi tak przekonująco mówić.

–To prawda – zagrział Smrgol, który najwidoczniej odsapnął nieco podczas wypowiedzi błotnego smoka. – Nie nazywaj nikogo waszą wysokością. Nigdy nie słyszałem podobnych bzdur.

Zwrócił się teraz do Jima:

–I nie pozwalaj Jerzemu wtrącać się do spraw, których on sam nie śmie tknąć! Chłopcze, rzekłem do niego, nie opowiadaj mi, że jesteś tylko błotnym smokiem. Błota nie mają nic wspólnego z tym, jakim jesteś smokiem. Jaki byłby świat, gdyby wszyscy dookoła tak mówili?

Smrgol próbował naśladować kogoś mówiącego cienkim głosem, ale udało mu się wznieść ton jedynie do umiarkowanego basu.

–Och, jestem tylko polnym smokiem. Będziesz musiał wybaczyć mi... Jestem tylko na wpół górskim smokiem... CHŁOPCZE, rzekłem do niego, jesteś SMOKIEM! Uświadom to sobie raz na zawsze! A smok postępuje jak smok albo w ogóle nic nie robi!

–Brawo! – zawołał Brian.

–Słyszałeś, chłopcze? – spytał Smrgol małego smoka. – Nawet Jerzy to rozumie! Odwrócił się do Briana.

–Nie wydaje mi się, byśmy się spotkali.

–Brian Neville-Smythe – rzekł Brian – szlachcic rycerskiego stanu.

–Smrgol. Smok – odparł stryjeczny dziadek Gorbasha.

Z zainteresowaniem przyjrzał się zbroi Neville-Smythe'a. – Niezły rynsztunek! Założę się, że w walce pieszej nieco wyżej nosisz tarczę.

–Rzeczywiście tak robię. Ale skąd to wiesz?

–Błyszcząca plama na umbie w miejscu, gdzie ocierał się o nie nałokietnik. Dobra metoda przeciw innym Jerzynom, ale nie radziłbym stosować jej wobec mnie. W okamgnieniu wetknąłbym ci ogon między nogi i zwałiłbym cię na ziemię.

–Czy to prawda? – spytał Brian wyraźnie poruszony. – Niezwykle uczciwie, że mówisz mi o tym! Będę pamiętał! Ale czy nie utrudniasz sytuacji następnemu smokowi, z którym będę walczył, jeśli to nie będziesz ty?



–No cóż, powiem ci – zadudnił Smrgol odchrząknawszy. – Od pewnego czasu myślę, że chyba można zakończyć walki między wami, Jerzymi, i nami, smokami, i żyć w zgodzie. Naprawdę w wielu sprawach jesteście podobni do siebie...

–Jeśli pozwolisz, Smrgolu – przerwał Carolinus z kwaśną miną. – Nie mamy zbyt wiele czasu na pogawędki. Południe będzie...

Teraz jemu z kolei przerwał okrzyk Danielle. Wszyscy odwrócili się i zobaczyli ją biegnącą wzdłuż grobli. W ich stronę powoli, na trzech łapach, kuśtykał Aragh.

Danielle dobiegła do niego, uklękła obok i objęła go. Wilk usiłował polizać ją w lewe ucho, jedyną część ciała, do której mógł dosięgnąć swym długim językiem. Po chwili jednak wyrwał się z uścisków i podszedł do pozostałych, nie zważając na jej próby opatrzenia złamanej łapy. Gdy jednak dołączył do grupy, położył się i dał jej łapę.

–... powinieneś być mądrzejszy i nie chodzić na niej! – mówiła mu.

–Nie chodziłem na niej – rzekł Aragh. Złośliwie wyszczerzył zęby. – Chodziłem bez niej.

–Wiesz, o czym mówię! – wybuchnęła Danielle. – Mądrzej było tu nie przychodzić.

–A co innego mógłbym zrobić – zawarczał Aragh. – Zabiłem matkę, ale szczenięta są wszędzie dokoła nas. Mają chęć na wasze mięso, gdy już ci z twierdzy skończą z wami. Chcą dużo mięsa, żeby zacząć karmić nową matkę, a kiedy ja będę z wami, nie ośmielą się zbliżyć.

–Myśleliśmy, że jesteś martwy – rzekł posępnie rycerz.

–Martwy, szlachetny rycerzu? – Aragh spojrział na niego. – Nigdy nie uważaj angielskiego wilka za martwego, dopóki nie ujrzysz jego kości bielejących na słońcu.

–Znowu pogawędka! – sapnął Carolinus. – Czas ucieka, a Przypadek i Historia zmieniają się. Jak mówiłem, południe będzie za... Hej, wy, kiedy będzie południe?

–Za cztery godziny, trzydzieści siedem minut i dwanaście sekund od drugiego gongu – odparł niewidzialny głos, który Jim słyszał już przedtem. Nastąpiła krótka przerwa, po czym w powietrzu zabrzmiał miękki dźwięk kuranta. – To znaczy od drugiego kuranta – poprawił się głos.

Carolinus zamruczał coś pod nosem, po czym zwrócił się do wszystkich.

–Ruszajmy więc – rozkazał. – Trzymajcie się razem i za mną.

Wyciągnął laskę z ziemi i wszyscy ruszyli w stronę twierdzy. Brian znowu na grzbiecie Blancharda, gdyż koń najwyraźniej przestał odczuwać opory wobec marszu naprzód.

Gdy jednak zrobili pierwsze kroki, dzień, który zaczął się jasnym i przejrzystym porankiem, pociemniał, zachmurzył się, a powietrze zgęstniało tak, jak po-

przedniego dnia. Wkrótce opary przesłoniły brzeg morza i wody po obu stronach grobli. Chmury tworzyły wielką ławicę i obniżyły się, aż dotknęły wież twierdzy, po czym dosłownie zawisły nie wyżej niż sto stóp nad głowami wędrowców. Posępny, monotonny chłód poprzedniego dnia dopadł ich grupę i ponownie zaciążył Jimowi. Rozejrzał się dokoła.

Ku jego zaskoczeniu żadna z tych dziwnych postaci, które były jego towarzyszami, nie wydawała się poruszona tą nową demonstracją siły istot zamieszkujących Twierdzę Loathly. Aragh kuśtykał na trzech łapach, gderliwie zapewniając Danielle, że zaraz się położy, po czym rzeczywiście kładł się na chwilę, by mogła poprawić łupki na złamanej nodze. Carolinus, prowadzący całą grupę, wyglądał, jakby był na przechadzce, a jego różdżka służyła mu jedynie jako laska. Dafydd uważnie rozwiązywał linki u czegoś w rodzaju plastikowej rurki, która chroniła cięciwę łuku przed nocną wilgocią. Po chwili zastanowienia Jim uświadomił sobie, że musi to być kawałek zwierzęcego flaka – zapewne owcy lub świni – starannie oczyszczonego i wysuszonego.

Smrgol maszerował całkiem dzielnie; chore skrzydło i część ciężaru jego ciała spoczywała na grzbiecie błotnego smoka. Z drugiej strony starego smoka jechał Brian i obaj zajęci byli poważną rozmową.

–...w sprawie tego, by ludzie i smoki żyli w zgodzie – rzekł Brian. – Muszę powiedzieć, że to brzmi interesująco. Ale jest trudne do zrealizowania, nie sądzisz? Trzeba byłoby po obu stronach zwalczyć wiele zakorzenionych przesądów.

–Kiedyś musimy zacząć – stwierdził Smrgol. – Czasami wręcz warto ze sobą współpracować, jak chociażby teraz. Nie twierdzą, oczywiście, że nie masz racji. Na przykład widzisz, że nie zdołałem przyprowadzić tu żadnego smoka z naszej jaskini.

–No tak – potwierdził Brian.

–Zrozum, Jerzy, nie dlatego, że są bojaźliwi. Ani przez chwilę ich o to nie posądzam. Ale gdy żyjesz dwieście lat – przy odrobinie szczęścia – trudno jest ci zaryzykować wszystko przy pierwszej nadarzącej się okazji. Zrozum, że to nie jest usprawiedliwienie, po prostu tacy jesteśmy. Wśród was, Jerzych, trafiają się błędni rycerze. Błędne smoki byłyby dla nas zupełną bzdurą.

–W czym więc widzisz nadzieję?

–Nadzieja tkwi w nas, w tobie, Jerzy, i we mnie, w Gorbashu, w Magu, w młodym Secohu, w tym łuczniku i w tym Jerzym płci żeńskiej, w wilku, w nas wszystkich. Jeśli uda się nam – to znaczy jeśli pokonamy Ciemne Moce i odniesiemy zwycięstwo – historię tę opowiadać się będzie przez pięćset lat. Nie wiem jak wy, ale my, smoki, kochamy opowieści. To właśnie robimy w jaskiniach, miesiącami leżąc wokół opowiadających różne historie.

–Miesiącami? Naprawdę? – spytał Brian. – Trudno wyobrazić sobie...

miesiącami?

–Miesiącami, Jerzy! Daj smokowi kilka bryłek złota i trochę klejnotów do zabawy, beczkę wina do wypicia i opowieść do wysłuchania, a uczynisz go szczęśliwym. Gdybym mógł zliczyć, ile razy przez te lata opowiadałem o tym, jak pokonałem olbrzyma z Baszty Gormely... Młodsze smoki, oczywiście, jęczą i narzekają, gdy tylko o tym wspomnę, ale zwijają się w kłębek, napelniają dzbany i słuchają wciąż z takim samym zaciekawieniem, choć znają opowieść od dawna.

–Hmmm – mruknął Brian. – Pomyślałem teraz, że my, ludzie, też czasami lubimy zasiąść w kręgu i słuchać opowieści z dawnych lat. Szczególnie zimą, wiesz, kiedy trudno jest wyjść na świat, a jeśli wyjdiesz, nie ma zbyt wiele do roboty. Na świętego Denisa, zęby zjadłem na tych starych historiach – to one, między innymi, sprawiły, że chciałem zostać rycerzem.

–Otóż to – rzekł Smrgol. – To samo jest wśród smoków! Każdy smok słysząc opowieść o tym, jak pokonaliśmy Ciemne Moce w twierdzy, sam zapragnie wyruszyć wspólnie z Jerzymi, a może i z wilkiem czy innymi stworzeniami i przeżyć podobną przygodę. Tak więc jest to krok ku naszej współpracy...

–Powiedz mi coś – powiedział Jim do Carolinusa, opuszczając rycerza i smoka, by dołączyć do czarodzieja. – Jaką cenę trzeba zapłacić za magiczne rozpędzenie wczorajszych ciemności?

–Już zapłacone – odparł Carolinus. – Ten, kto pierwszy odwołuje się do czarów, ponosi ryzyko. Odczarowanie jedynie wyrównuje bilans. Ale z tym nie tak...

Podniósł laskę i potrząsnął nią w powietrzu przed oczami Jima.

–Musiałem przebyć długą drogę, żeby ją zdobyć – wyjaśnił. – Musiałem też zastawić w Wydziale Kontroli kredyt z całego życia, by odbyć tę podróż. Jeśli przegramy, jestem skończony jako czarodziej. Ale wtedy my wszyscy też będziemy zniszczeni, tak czy inaczej.

–Rozumiem – spokojnie stwierdził Jim. Myślał przez chwilę. – Co właściwie mieszka w Twierdzy Loathly?

–Co mieszka teraz, nie wiem jeszcze, podobnie jak ty. Jednak cokolwiek by było – żywe czy martwe -jest wcieleniem Zła. Ani my, ani nikt inny nie może nic uczynić, by całkiem pozbyć się Zła. Nie potrafisz go zniszczyć, tak jak istoty stworzone przez Zło nie potrafią zniszczyć Dobra. Możesz jedynie wstrzymać jedno albo drugie – jeśli masz dość siły – i sprawić, że chwilowo przestanie ono działać.

–Jak więc możemy zaszkodzić Ciemnym Mocom...?

–Mówiłem właśnie, że nie możemy. Ale możemy zniszczyć ich narzędzia, stworzenia, z pomocą których Zło wciąż realizuje swą wolę. Te stworzenia, ze swej strony, będą starały się zniszczyć nas.

Jim poczuł, że ściska go w gardle. Przełknął ślinę.

–Musisz mieć jakieś podejrzenia – powiedział – co do tych istot, które będą chciały nas zabić.

–Już wiemy, jakie są niektóre z nich – odparł Carolinus. – Sir Hugh i jego ludzie na przykład. Również piaszczomroki. W dodatku...

Przerwał i zatrzymał się tak gwałtownie, jak wyłączony automat. Jim stanął również, wpatrując się w twierdzę. Z okien, tuż poniżej rozpadającego się kre-nelażu, wyleciało co najmniej kilka tuzinów wielkoskrzydłych i wielkogłowych istot, które z wrzaskiem krążyły w powietrzu ponad wierzchołkiem wieży.

Przez chwilę roily się tam niby chmura olbrzymich komarów. Potem jedna z nich znurkowała w stronę ich grupy...

I zwała się w dół jak kamień, z długą strzałą tkwiącą w jej ciele. Ciężko spadła na groblę u stóp Jima, a jej martwa kobieca twarz zastygła w szaleńczym grymasie.

Jim odwrócił się i ujrzał Dafydd z nową strzałą nałożoną na cięciwę. Wrzaski nagle umilkły, jak ucięte nożem. Jim spojrzał w górę i zobaczył, że nad twierdzą nie ma już stada harpii.

–Nie będą, w rzeczy samej, żadnym problemem, jeżeli wszystkie są tak wielkie i powolne – rzekł Dafydd podchodząc do ubitej harpii, by wyciągnąć z niej strzałę. – Dziecko nie chybiłoby z tej odległości!

–Nie daj się zwieść, mistrzu łuku – rzucił przez ramię Carolinus, ponownie ruszając naprzód. – Z innymi nie będzie tak łatwo jak z tą...

Z powrotem zwrócił głowę na zachód i raz jeszcze przerwał, gwałtownie zatrzymując się. Przyglądał się kępie traw, pośród której coś leżało. Jego stara brodata twarz wykrzywiła się w grymasie. Jim ruszył do przodu, by sprawdzić, co wywołało taką reakcję czarodzieja.

Odwrócił głowę, gdyż poczuł ogarniającą go falę mdłości; podobnie zareagowali inni, gdy podeszli, by przyjrzeć się. W trawie leżało coś, co niegdyś było mężem w zbroi.

Jim usłyszał, że Brian siedząc na Blanchardzie głęboko zaczerpnął powietrza.

–Najbardziej plugawa śmierć – cicho rzekł rycerz – najbardziej plugawa...

Zszedł z Blancharda i ukląkł przed martwym ciałem na okrytych zbroją kolanach, składając stalowe rękawice do modlitwy. Smoki milczały, Dafydd i Danielle stali obok Aragha, żadne z nich nie odezwało się.

Spośród ludzi jedynie Carolinus przyglądał się ognistymi oczami tej scenie z uczuciem innym niż przerażenie. Czarodziej trącił laską szeroką wstęgę śluzu, która okrążyła ciało i zawracała do twierdzy. Podobny ślad zostawiają ślimaki, tyle że taki ślad mógłby zostawić ślimak, którego ciało stykałoby się z ziemią na szerokości dwóch stóp.

–Larwa... – powiedział do siebie Carolinus. – Ale to nie larwa zabiła w ten sposób tego człowieka. Larwy są bezrozumne. Coś z wielką siłą i powolną

systematycznością szarpało i miażdżyło to ciało...

Nagle spojrzął na Smrgola, który pokręcił swą potężną głową z dziwnym zażenowaniem.

–Ja nic nie powiedziałem, Magu – zaprotestował stary smok.

–Najlepiej jeśli żaden z nas nie powie, zanim się nie upewnimy – odparł czarodziej.  
– Ruszajmy!

Brian powstał znad zwłok, uczynił drobny, bezradny gest, jakby chciał równo ułożyć martwe członki, ale ujrzawszy całkowitą bezowocność próby uporządkowania szczątków z powrotem wsiadł na Blancharda. Idąc dalej groblą grupa zbliżyła się do twierdzy na odległość około stu jardów. Tutaj Carolinus zatrzymał się i raz jeszcze pionowo wbił w ziemię swoją różdżkę.

Aragh, ciężko dysząc, położył się, a Danielle uklękła obok niego i zaczęła opatrywać mu łapę, używając suchych gałęzi i porwanego rękawa swojego kubraka.

–Teraz – rzekł Carolinus, a słowo to zabrzmiało w uszach Jima jak bicie dzwonów.

Otoczyła ich mgła. Wokół siebie i nad głowami mieli mleczną biel. Widoczny pozostał jedynie niewielki obszar wokół miejsca, gdzie stali, u stóp najeżonego głazami wzgórza twierdzy, oraz sama twierdza. Czy jednak w pełni widoczna? Snujące się nad nią strzępy mgły i sączące się poprzez chmury światło łudziły wzrok i nie pozwalały dostrzec szczegółów.

–Dopóki jest tu moja różdżka i ja – powiedział Carolinus – żadna ich potęga nie pozbawi nas światła, powietrza ani siły woli. Ale nie wychodźcie z kręgu różdżki, bo wówczas nie ręczę za was. Niech nasi wrogowie sami tu do nas przyjdą.

–Gdzie oni są? – spytał Jim rozglądając się wokół.

–Cierpliwości – szyderczo rzekł Carolinus – wkrótce będzie ich tu aż nadto, i to nie takich, jakich się spodziewasz.

Jim przyjrzał się ostatniemu odcinkowi grobli, głazom i twierdzy. Żaden podmuch nie rozwiewał mgły. Powietrze było nieruchome i ciężkie. Nie, nie całkiem nieruchome; zdawało się lekko drżeć w nienaturalny sposób, niczym fale ciepła nad ogniskiem. Tu jednak powietrze było matowe, zimne i mrożące krew w żyłach. Gdy tylko Jim zauważył drżenie, do jego uszu dotarł – nie wiadomo skąd – wysoki, wibrujący dźwięk, jaki czasem towarzyszy wysokiej gorączce lub majakom.

Kiedy znowu spojrzął na twierdzę, wydało mu się, że widzi ją odmienioną. Choć wyglądała tylko na starą zrujnowaną budowlę, między jednym uderzeniem serca a następnym zaczęła się zmieniać. Stwierdził nagle, że widzi ją nie uszkodzoną i zaludnioną przez tłum na wpół widzialnych postaci. Serce zabiło mu mocniej, a grobla i twierdza drżały z każdym ruchem jego klatki piersiowej, zbliżały się i oddalały, zbliżały i oddalały...

Wtem zobaczył Angie.

Wiedział, że znajduje się zbyt daleko od twierdzy, by widzieć Angie tak wyraźnie. Z tej odległości i przy takim świetle z trudem powinien dostrzegać jej twarz. A jednak widział ją jakby z bliska, ostro i wyraźnie. Stała w półcieniu wiodącym na zniszczony balkon w połowie wysokości twierdzy. Jej bluzka unosiła się w powolnym rytmie oddechu. Jej błękitne oczy patrzyły wprost na niego. Jej wargi były na wpół rozchylone.

–Angie! – zawołał.

Nie uświadamiał sobie poprzednio, jak bardzo mu jej brak. Nie zdawał sobie sprawy, jak jej pragnął. Uczynił krok naprzód i zatrzymany został przez jakąś przeszkodę twardą jak żelbetowa zaporą. Spojrzał w dół. Była to tylko różdżka trzymana starczą ręką Carolinusa, ale pokonanie tej przeszkody przekraczało jego siły.

–Dokąd? – zapytał Carolinus.

–Tam! Na balkonie twierdzy, tam! Widzisz?! – pokazał Jim, a wszyscy skierowali głowy w tym kierunku. – W drzwiach! Nie widzicie?! Z boku twierdzy, w drzwiach!

–Nic nie widzę! – burknął Brian, opuszczając rękę, którą przysłaniał oczy.

–Może – z wahaniem rzekł błotny smok. – Może... tam z tyłu, w cieniu. Naprawdę nie jestem pewien...

–Jim – rzekła Angie.

–Tam! – krzyknął Jim. – Słyszycie ją?

Raz jeszcze naparł na laskę zagrządzającą mu drogę. Bezskutecznie.

–Słyszę cię, Angie! – zawołał.

–Nie musisz tak wyteżać głosu – odparła łagodnie. – Ja też cię słyszę, Jim. Nie martw się. To tylko tamci nie należą do naszego świata. Jeśli sam przyjdiesz po mnie, będę mogła odejść i wrócimy do domu, i wszystko się ułoży.

–Nie mogę! – krzyknął Jim, łkając niemal, gdyż laska Carolinusa wciąż go nie puszczala. – Oni mi nie pozwolą przejść!

–Nie mają prawa zatrzymywać cię, Jim. Spytaj Maga, jakie ma do tego prawo, a pozwoli ci pójść. Spytaj go i sam po mnie przyjdź.

Jim z wściekłością odwrócił się do Carolinusa.

–Jakim prawem... – zaczął.

–STÓJ! – Głos Carolinusa zagrzemiał w uszach Jima jak wystrzał armatni. Zachwiał się, ogłuchł i na wpół oślepl. Nadnaturalnie ostry obraz Angie i jej głos zniknęły, choć nadal mogło mu się wydawać, że ją widzi jako cień w cieniu drzwi prowadzących na balkon twierdzy.

–Dlaczego? – z furią odwrócił się do Carolinusa.

Czarodziej nie cofnął się ani o krok. Jego ciemne oczy lśniły ponad białą brodą.

–Na Moce! – krzyknął i słowa te wyraźnie dotarły do uszu Jima. – Czy będziesz ślepo wchodził w pierwszą lepszą pułapkę, którą One zastawią na ciebie?

–Jaką pułapkę? – spytał Jim. – Przecież właśnie rozmawiałem z Angie... Przerwał zdanie, gdy Carolinus wskazał mu coś swą laską. U stóp twierdzy, pomiędzy nią i głazami na zboczu, pojawił się ohydny łeb smoka, równie wielkiego jak Jim.

Grzmiący ryk Smrgola przeciął drżące powietrze.

–Bryagh! Zdrajco! Złodzieju! Glisto! Złaż tutaj! Bryagh otworzył paszczę. Jego hucząca odpowiedź stoczyła się ku nim.

–Opowiedz nam o Baszcie Gormely, worku starych kości! – ryknął. – Oślizły bękarcie przeszłości, tłusta jaszczurko, mocnyś tylko w gębie!

–Zaraz ci... – Smrgol uniósł się i pochylił do przodu.

–Zatrzymaj się! – krzyknął Carolinus; Smrgol pohamował się i opadł na ziemię, a jego pazury głęboko zaryły się w piaszczysty grunt.

–Słusznie... – zadudnił z płonącymi oczami.

–Stara ropucho! Wyśpij się na słońcu! – szydził Bryagh.

Ale stary smok nie odpowiedział, tylko odwrócił się do czarodzieja.

–Co tam ukryli, Magu? – spytał.

–Zobaczymy.

Głos Carolinusa był opanowany. Podniósł swą laskę i trzykrotnie uderzył jej końcem w ziemię. Za każdym razem wydawało się, że cała grobla się trzęsie.

Pośród skał ogromny głaz zachwiał się i odtoczył na bok. Oddech uwiązał Jimowi w gardle; usłyszał chrapliwe chrząknięcie Briana. Secoh krzyknął cienkim, ostrym głosem.

Z jamy odsłoniętej przez głaz wychynęła głowa jakby wielkiego ślimaka. Kiedy na nią patrzyli, uniosła się nieco wyżej – żółtobrązowa w rozproszonym świetle słonecznym – a wystające z niej dwie pary czułków chwiały się na wszystkie strony. Ukazała się cienka, płaska muszla z ledwie zauważalnym spiralnym wzorem. Czułki drgały, a oczy umieszczone na końcach pierwszej pary skierowały się ku stojącym niżej. Stwór zaczął powoli pełznąć w dół, zostawiając na głazach i piasku błyszczący ślad.

–Larwa – cicho rzekł Carolinus.

–... którą da się zabić – w zadumie mruknął Smrgol. – Chociaż niełatwo. Niech ją diabli. Chciałbym, żeby to był sam Bryagh!

–Nie tylko ta dwójka jest tutaj. – Carolinus ponownie trzy razy uderzył w ziemię.

–Wychodź! – zakrzyknął, a jego starczy głos piskliwie zabrzmiał w drżącym powietrzu. – W imię Mocy! Wychodź!

I wtedy zobaczyli.

Za wielkiej barykady ogromnych skał u szczytu wzgórze wolno uniosła się łyśa lśniująca czaszka pokryta szarą skórą. Kolejno ukazały się okrągłe niebieskie

oczy, pod którymi nie było nosa, a jedynie dwie dziurki do oddychania, jakby cała naga czaszka obciągnięta była pojedynczym kawałkiem grubej skóry.

Olbrzymi jak piłka plażowa łeb podniósł się, ukazując szerokie, głupawo uśmiechnięte usta pozbawione warg, ale z dwoma równymi, choć wyszczerbionymi rzędami ostrych zębów.

Ociężałym ruchem stwór uniósł się i stanął wśród głązów.

Miał kształty człowieka, ale jasne było, że nie pochodził z rodu ludzkiego. Liczył sobie dobre dwanaście stóp, a wokół pasa miał kilka nie garbowanych skór ozdobionych kawałkami kości, metalu i sznurami kolorowych paciorków – być może klejnotów – które tworzyły rodzaj spódniczki.

Ale nie to różniło go najbardziej od ludzi. Po pierwsze nie miał w ogóle szyi. Jego bezwłosa, niemal pozbawiona rysów głowa leżała niczym jabłko na kwadratowych, pokrytych szorstką skórą ramionach. Tułów był jedną prostą kolumną, z której wyrastały ręce i nogi, okrągłe i nieproporcjonalnie grube jak kawałki rury. Spódniczka – zakrywała kolana, łydki zaś zasłonięte były przez skały. Łokcie jego ogromnych rąk tworzyły potężne zawiasy, a przedramiona wielkością dorównywały ramionom. Dłonie były niezręczną, grubokościstą karykaturą ludzkich; miały tylko trzy palce, z których jeden był kciukiem wyposażonym wyłącznie w pojedynczy staw.

W prawej dłoni olbrzym trzymał okutą zardzewiałym żelazem pałkę, której – zdawałoby się – nawet taki potwór nie powinien dać rady podnieść. A jednak wielka ręka unosiła ją z taką łatwością, z jaką Carolinus trzymał swoją laskę.

Olbrzym otworzył usta.

–Hę! – wydał głos. – He! He!

Dźwięk ten zmroził ich. Był to niewiarygodnie niski chichot, jeśli można w ogóle coś takiego sobie wyobrazić. I choć głos ten brzmiał nisko niczym tuba, wyraźnie dobiegał z gardła stwora. Nie było w tym nic śmiesznego.

Po wydaniu głosu monstrum zamilkło i śledziło swymi okrągłymi, bladoniebieskimi oczami ruchy wielkiego ślimaka.

Jim otworzył swój smoczy pysk i dyszał jak pies po długim biegu. Z tyłu Smrgol poruszył się wolno.

–Tak – zadudnił ze smutkiem, trochę jakby do siebie – tego się obawiałem.

Olbrzym.

W ciszy, która później nastąpiła, sir Brian zsiadł z konia i zaczął poprawiać popręgi siodła.

–Spokojnie, Blanchard – powiedział cicho. Ale wielki biały rumak trząsał się tak gwałtownie, że nie mógł ustać w miejscu. Brian potrząsnął głową i puścił popręgi.

–Wygląda na to, że muszę walczyć pieszo – powiedział.

Pozostali obserwowali Carolinusa. Czarodziej wsparł się na swej lasce i wyglądał rzeczywiście staro, zmarszczki na jego twarzy pogłębiły się. Przypatrzył



się olbrzymowi, a potem odwrócił do Jima i dwóch pozostałych smoków.

–Cały czas miałem nadzieję – rzekł – że nie dojdzie do tego. Jednak – wskazał ręką zbliżającą się larwę, milczącego Bryagha i przyglądającego się im olbrzym – jak widzicie, świat nie zawsze toczy się w tę stronę, w którą chcemy, i trzeba go wstrzymać i na nowo kierować.

Skrzywił się, wyciągnął buteleczkę, czarkę i pociągnął łyk mleka. Chowając z powrotem naczynia zwrócił się do Dafydd.

–Panie łuczniku – powiedział niemal oficjalnym tonem. – Harpie wróciły do twierdzy, ale kiedy inni zaatakują nas, wylecą. Spójrz, jak nisko wiszą teraz chmury nad twierdzą.

Wskazał w górę. Była to prawda – warstwa chmur wybrzuszyła się jak strop w jakimś starym budynku, a delikatne, utrudniające obserwację opary wisiały już na wysokości trzydziestu stóp.

–Zza tej zasłony będą nurkować harpie – rzekł czarodziej – i prawie nie dadzą ci czasu na naciągnięcie łuku. Czy w tych warunkach dasz radę trafić je swymi strzałami?

Dafydd podniósł oczy w górę.

–Jeśli chmury nie obniżą się... – zaczął.

–Nie mogą – stwierdził Carolinus. – Potęga mej różdżki nie dopuści ich bliżej.

–Więc – odparł Dafydd – pod warunkiem, że nie będą szybsze niż ta, którą przed chwilą ustrzeliłem, mam spore szansę. Zważ, że nie mówię, iż żadna się nie przedrze. Jestem tylko człowiekiem – choć są tacy, co myślą, że jestem kimś więcej – zbrojnym w łuk i strzały. Ale mam nadzieję, że przeszyję każdą z nich, nim zdoła uczynić nam krzywdę.

–Doskonale! – rzekł Carolinus. – Nikt z nas nie może żądać więcej niż odrobiny nadziei. Nie zapomnij, że ich jad jest trujący, choćby sama harpia była już martwa.

Odwrócił się do Briana.

–Proponuję, sir Brianie – powiedział – byś zajął się larwą, zwłaszcza że musisz walczyć pieszo. W ten sposób najbardziej się przydasz. Wiem, że wolałbyś tego zdradzieckiego smoka, ale larwa stanowi większe niebezpieczeństwo dla tych, co nie mają na sobie zbroi.

–Wyobrażam sobie, że niełatwo ją uśmiercić – rzekł rycerz, odrywając się od oględzin swojej tarczy i zerkając na stok, po którym zbliżał się wielki ślimak.

–Jej żywotne organy ukryte są głęboko we wnętrzościach – wyjaśnił Carolinus – a jako istota bezrozumna będzie walczyć nawet śmiertelnie ranna. Jeśli zdołasz, odetnij jej najpierw czułki z oczami i oślepij ją.

–Czego oczekujesz... – zaczął Jim i poczuł, że głos uwiązł mu w suchym gardle. Przełknął ślinę, by móc dokończyć. – Czego oczekujecie ode mnie?

–Ależ, walcz z olbrzymem, chłopcze! Walcz z olbrzymem! – zaryczał Smrgol, aż gigant usłyszał to i przeniósł swe okrągłe oczy na starego smoka. – Ja zaś zabiorę się za tę wesz, Bryagha. Jerzy posieka larwę, łucznik zajmie się harpiami, Mag powstrzyma złe czary, a wilk odpędzi piaszczomroki i to będzie to!

Jim otworzył usta, by przestrzec stryjecznego dziadka Gorbasha przed -jak sądził - tanim optymizmem, gdy zdał sobie sprawę, że to nie o to chodzi. Smrgol rozmyślnie próbował bagatelizować sprawę, by dodać mu odwagi. I to w sytuacji, gdy stary smok sam był jedną nogą na tamtym świecie i bez wątpienia nawet nie mógł mierzyć się z potężnym, młodym Bryaghem.

Nagle Jim poczuł, że serce zamiera mu w piersi. Rozejrzał się po wszystkich. Skoro stary i niedołąży Smrgol nie może równać się z Bryaghem, to czy Brian poradzi sobie z ohydą larwą, która była już o trzydzieści jardów od nich? Czy to uczciwe, by Aragh na trzech łapach mierzył się – przy całej swej niewrażliwości na ich pisk – z hordą pozostałych przy życiu piaszczomróków? A jak Dafydd, choć jest wspaniałym łucznikiem, może mieć nadzieje, że zdoła bezbłędnie zestrzelić wszystkie harpie, które niespodziewanie zjawiać się będą tuż nad jego głową? Czy wreszcie można było spodziewać się, że stary czarodziej sam zdoła powstrzymać całe otaczające ich Zło, gdy rozgorzeje walka? Jim przynajmniej miał konkretny powód, by znaleźć się tutaj: Angie. Ale inni byli tu przede wszystkim dla niego, wciągnięci w tę beznadziejną walkę. Głębokie poczucie winy wstrząsnęło nim. Zwrócił się do rycerza.

–Briane – rzekł. – Ani ty, ani inni wcale nie musicie tego robić.

–Ależ tak, na Boga – odparł rycerz, zajęty swym rynsztunkiem. – Larwy, olbrzymy... Przecież zawsze walczy się z nimi, gdy staną na twojej drodze.

Przyjrzał się swej włóczni i odłożył ją na bok.

–Nie, za długa jest do walki pieszej – zamruczał pod nosem.

–Smrgolu – powiedział Jim odwracając się do smoka – czy nie widzisz tego? Bryagh jest znacznie młodszy od ciebie. A z tobą nie jest dobrze...

–Ee... – wymamrotał pospiesznie Secoh i przerwał, jakby poczuł się zmieszany i zażenowany.

–Mów, chłopcze! – huknął Smrgol.

–No... – zająknął się błotny smok – chciałem właśnie po... powiedzieć, że nie mógłbym zmusić się do walki z tą larwą ani z olbrzymem. Naprawdę, nie mógłbym. Czuję, jakbym rozpadał się na kawałki, gdy pomyślę, że zbliżam się do jednego z nich. No, ale mógłbym walczyć z innym smokiem. To nie jest takie straszne... takie przerażające, to znaczy... jeśli tamten smok złamie mi kark...

Urwał i znów zająknął się.

–Wiem, że to brzmi głupio...

–Nieprawda. Zuch z ciebie! – zaryczał Smrgol. – Cieszę się, że jesteś ze mną! Sam zupełnie nie mogę wzbić się w powietrze, ciągle jestem trochę sztywny.

Gdybyś jednak zdołał wlecieć w górę i sprawić, żeby ta jaszczurka morska zeszła tu, gdzie będę mógł go dostać, to sępy będą miały niezłą ucztę.

I dla wyrażenia swego uznania poczęstował błotnego smoka potężnym uderzeniem ogona, zwalając go niemal z nóg.

Jim ponownie zbliżył się do Carolinusa.

–Nie ma odwrotu – rzeki czarodziej, zanim Jim zdołał coś powiedzieć. – To jest partia szachów, w której wycofanie jednej figury oznacza klęskę graczy. Wy powstrzymajcie potwory, a ja powstrzymam moce, gdyż potwory skończą ze mną, jeśli wy padniecie, a moce skończą z wami, jeżeli dadzą sobie wpierw radę ze mną.

–A teraz słuchaj, Gorbash! – Smrgol krzyknął Jimowi w ucho. – Ta larwa jest już prawie tutaj. Pozwól, że na podstawie własnych doświadczeń powiem ci, jak walczyć z olbrzymami. Słuchasz, chłopcze?

–Tak – rzekł sztywno Jim.

–Wiem, że słyszałeś, jak inne smoki nazywają mnie starym zrzędą. Ale ja pokonałem olbrzyma jako jedyny z naszego rodu na przestrzeni ostatnich ośmiuset lat. A oni nie pokonali. Więc uważaj, jeżeli chcesz wygrać tę walkę.

Jim skinął głową.

–Dobrze – powiedział.

–Po pierwsze musisz wiedzieć – Smrgol spojrzał na zbliżającą się larwę i konfidencjonalnie ściszył głos -jakie kości ma olbrzym.

–Nie chodzi o szczegóły – rzekł Jim. – Co mam robić?

–Spokojnie, spokojnie... – odpowiedział Smrgol. – Nie gorączkuj się, chłopcze. Rozgorączkowany smok to smok zgubiony. Teraz o kościach olbrzyma. Trzeba pamiętać, że są potężne, i w istocie jego ręce i nogi składają się głównie z kości. Nic ma sensu próbować ich przegryźć. Powinieneś raczej sięgać do jego mięśni – dosc zylastycn – i ścięgien. To jest punkt, pierwszy.

Przerwał i znacząco popatrzył na Jima. Jim z trudem zachowywał cierpliwość i nie otwierał ust.

–Teraz punkt drugi – ciągnął Smrgol. – Też związany z kośćmi. Zwróć uwagę na łokcie tego olbrzyma. Nie przypominają kości Jerzych. Mają coś w rodzaju podwójnego stawu. Dlaczego? Po prostu dlatego, że gdyby były takie jak u Jerzych, to już przy wpełzniętej ręce górna część zderzyłaby się z dolną. A najważniejsze, że kiedy olbrzym macha swą pałką, to przy takim łokciu może robić to tylko w jeden sposób. To znaczy w dół i w górę. Jeżeli chce machać w bok, musi użyć stawu barkowego. Tym samym, jeżeli dopadniesz go, gdy ma pałkę w dole z przeciwnej strony ciała, to uzyskasz przewagę. Potrzebuje wtedy dwóch ruchów ręki – w górę i w bok – a nie jednego jak u Jerzych.

–Tak, tak... – powiedział Jim, obserwując zbliżającą się larwę.

–Nie niecierpliw się, chłopcze! Zachowaj zimną krew! Jego kolana nie mają takich podwójnych stawów, więc jeśli zwalisz go z nóg, zdobędziesz prawdziwą

przewagę. Ale nie próbuj, dopóki nie upewnisz się, że dasz radę to zrobić; gdyż jeśli cię pochwyci – przegrałeś. Jedyne sposoby walki to szybkie doskoki i odskoki. Czekaj na jego machnięcia, odskakuj, rzucaj się, gdy ma rękę w dole, szarp go na strzępy i odskakuj znowu. Jasne?

–Jasne – rzekł zdrętwiały Jim.

–Dobrze! Cokolwiek jednak będziesz robił, pamiętaj, nie pozwól się pochwycić. I nie zwracaj uwagi na to, co dzieje się z resztą z nas, choćbyś nie wiem co słyszał lub dojrzał kątem oka. Gdy wszystko się zacznie, każdy zdany będzie tylko na siebie. Skoncentruj się na swoim nieprzyjacielu. I, chłopcze...

–Co? – spytał Jim.

–Nie trać głowy! – Głos starego smoka stał się niemal błagalny. – Cokolwiek będziesz robił, nie pozwól ponieść się smoczemu instynktowi. To dlatego od tylu lat giniemy z rąk Jerzych. Po prostu pamiętaj, że jesteś szybszy niż olbrzym i że pokonasz go swą rozumą, jeśli nie stracisz głowy i nie postąpisz pochopnie. Mówię ci, chłopcze...

Przerwał mu nagły okrzyk radości Briana, który szperał w jukach przy siodle Blancharda.

–Słuchajcie! – zawołał Brian podbiegając do Jima z zadziwiającą, zważywszy ciężar zbroi, lekkością. – Co za wspaniały uśmiech losu! Patrzcie, co znalazłem!

Zamachał przed Jimem długą białą wstążką.

–Co to? – zapytał Jim, a serce mocniej mu zabiło.

–Kokarda Geronde! Właśnie w tej chwili. Bądź tak dobry – mówił dalej Brian, zwracając się do Carolinusa – i zawiąż mi ją wokół naramiennika, na tej ręce...  
Dziękuję, Magu.

Carolinus spojrzał groźnie, ale mimo to włożył różdżkę pod pachę i umocował wstążkę na opancerzonym lewym ramieniu Briana. Rycerz odwrócił się, wbił włócznię w ziemię i przywiązał do niej Blancharda. Następnie chwycił tarczę, znów się odwrócił i drugą ręką wyciągnął miecz. Nawet w tym mętnym świetle jasne ostrze zaśniło. Brian pochylił się, by przerzucić ciężar zbroi do przodu i podbiegł do larwy, która była już zaledwie o dwanaście stóp.

–Neville-Smythe! Neville-Smythe! Geronde! – zakrzyknął, gdy się zwarli.

Jim słyszał to, ale nie był świadkiem starcia, gdyż wydarzenia zaczęły następować po sobie błyskawicznie. Na wzgórzu Bryagh wrzasnął wściekle i wzbił się w powietrze, rozłożywszy skrzydła jak wielki bombowiec nurkujący ku ziemi. Z tyłu dobiegło gwałtowne trzepotanie skórzastych skrzydeł Secoha, który wylatywał naprzeciw. Wszystko jednak zagłuszył krótki, gwałtowny, nieartykułowany okrzyk, jaki wydostał się z głębi płuc olbrzyma. Stwór podniósł pałkę i ruszył prosto w dół, odrzucając głazy, ciężkimi krokami, pod którymi ugięła się ziemia.

–Powodzenia, chłopcze – rzekł Smrgol Jimowi do ucha. – Gorbash...

Coś takiego było w tym głosie, że Jim odwrócił się. Przed sobą miał srogi pysk i ogromne kły, ale ponad nimi w ciemnych smoczyc oczach dojrzał niezwykle uczucie i niepokój.

–Pamiętaj – rzekł cicho Smrgol – że jesteś potomkiem Ortosha i Agtvala, i Gleingula, który pokonał węża morskiego na mieliźnie Gray Sands. Bądź zatem mężny. Ale pamiętaj też, że jesteś moim jedynym żyjącym krewnym i ostatnim z mego rodu, bądź więc ostrożny!

Głos starego smoka był drżący i zdławiony. Wydawało się, że z wysiłkiem wypowiada następne słowa.

–I... ee... tobie też życzę szczęścia... ee... James!

Następnie Smrgol gwałtownie skierował się w stronę Sccoha i Bryagha, którzy

–splątani ze sobą – zbliżali się do ziemi i byli tuż nad nim. Jim odwrócił się do twierdzy i w ostatniej chwili wzbił się w powietrze, umykając biegnącemu olbrzymowi.

Uniósł się na skrzydłach zupełnie nieświadomie; to jego smoczy instynkt tak zareagował na atak. Ledwie zdawał sobie sprawę z obecności olbrzymia, który zatrzymał się i kopał w ziemię ogromną szarą stopą. Wtem zardzewiała pałka mignęła przed oczami Jima i poczuł ciężkie uderzenie w pierś, które odrzuciło go do tyłu.

Załopotał skrzydłami dla zachowania równowagi. Wielka głupawa gęba szczyrzyła się zaledwie kilka jardów przed nim. Pałka podniosła się do następnego ciosu. Przerażony Jim szarpnął się w bok, umykając w powietrze, i zobaczył, że olbrzym zrobił krok naprzód. Znow błyskawiczne machnięcie pałką! Jak coś tak wielkiego i niezdarnego mogło poruszać rękami z taką zwinnością? Jim poczuł, że wali się na ziemię, a ostry ból poraził mu prawy bark. Na chwilę zamajaczyło nad nim grubokościste ramię i bezwiednie chwycił je zębami.

Olbrzym potrząsnął nim jak terrier szczurem i wręcz cisnął go w powietrze. Jim uderzył skrzydłami i znalazł się szesnaście stóp nad ziemią. Spojrzał na olbrzymia, który wymamrotał coś i chciał uderzyć go pałką od dołu. Pałka świsnęła w powietrzu, a Jim doskoczył z boku i rozszarpał zębami wielkie ramię. Potwór odwrócił się w jego stronę, wciąż szczyrząc się. Teraz jednak z rozdartego kłami ramienia tryskała krew.

Nagle Jim zdał sobie sprawę, że panika minęła. Nie bał się już. Wisiał w powietrzu tuż poza zasięgiem ręki olbrzymia, gotów wykorzystać każdą nadarżającą się okazję do ataku, a w sobie czuł gorący strumień energii. Walcząc odkrywał

–jak przy wielu innych okazjach – że wszystko wyglądało groźnie tylko przed faktem. Kiedy zaś rozpoczął bój, zawiadnął nim wykształcony przez miliony lat instynkt i teraz każdą myśl i każdą chwilę poświęcał walce z przeciwnikiem.

Olbrzym znow ruszył na niego i była to ostatnia świadoma refleksja Jima w tym pojedynku. Wszystko inne zagubiło się wśród nieustannych wysiłków, by nie zostać zabitym i -jeśli to możliwe – zabić.

Były to długie chwile wypełnione zamazanymi obrazami, z których niewiele zostało później w jego pamięci. Słońce wznosiło się po nieboskłonie, minęło zenit i zaczęło się zniżać. Na zrytym, piaszczystym gruncie grobli Jim i olbrzym nacierali i cofali się, uderzali i przyjmowali ciosy. Jim obalił już potwora na kolana, ale nie zdołał tego wykorzystać. Innym razem, kiedy walczyli na stoku wzgórza, olbrzym przyparł go w szczelinie między dwoma ogromnymi głazami. Podniósł już pałkę do ostatniego ciosu, który rozłupałby czaszkę Jima. Ten wysliznął się jednak między nogami przeciwnika i bój rozgorzał na nowo.

Co chwila widział jak w kalejdoskopie fragmenty toczących się wokół niego zmagają. Brian opasany oślepieniem ciała larwy z odciętymi czułkami w milczeniu walczył o uwolnienie trzymającej miecz ręki, którą zwoje stworza przycisnęły rycerzowi do tułowia. Czasem oczom Jima ukazywał się splątany, ryczący kłęb trzepoczących skórzastych skrzydeł i powyginanych ciał Smrgola, Bryagha i błotnego smoka. Raz czy dwa przelotnie dostrzegł Carolinusa, który wciąż stał wyprostowany, z wzniesioną laską, z powiewającą białą brodą i wyglądał jak prorok w godzinie Apokalipsy. Potem jednak potężne cielsko olbrzymia przysłoniło mu widok i zapomniał o wszystkim, co nie działo się tuż przed nim.

Dzień powoli dogasał. Od morza nadciągała mgła i jej strzępy krążyły nad polem walki. Ciało Jima było już obolałe, a skrzydła ciążyły ołowiem. Szcherzący się olbrzym natomiast nie wydawał się osłabiony, a jego zataczająca szerokie łuki pałka nie poruszała się wolniej. Jim wzbił się na chwilę w powietrze dla zaczerpnięcia oddechu i w tym momencie usłyszał głośny krzyk.

–Czas mija! – wołał chrapliwy głos. – Przekroczyliśmy czas! Dzień już się kończy! Był to głos Carolinusa.

Jim nigdy przedtem nie słyszał w nim tak rozpaczliwej nuty. Zrozumiał jednocześnie, że wołanie skierowane było do jego uszu i że na grobli panowała cisza zakłócona tylko odgłosami walki między nim i olbrzymem.

Zepchnięty został ze stoków wzgórza do miejsca, gdzie stał poprzednio. U boku miał wbitą w ziemię włócznię, z której zwisały poszarpane końce cugli Blan-charda, przywiązanego tam przez Briana, zanim przystąpił on do walki z larwą. W pewnej odległości od drzewca, z którego przerażony koń zerwał się, stał Carolinus ciężko wsparty na lasce, z pomarszczoną twarzą, z której – zdawało się – niemal całkiem uszło życie.

Jim odwrócił się i ponownie ujrzał olbrzymia nad sobą. W gasnącym świetle dnia ciemna, ciężka pałka uderzyła z wielką siłą. Jim poczuł słabość ogarniającą łapy i skrzydła, słabość, która nie pozwoliła mu odskoczyć w porę. Zebrał wprawdzie resztkę sił i poderwał się, by uniknąć ciosu potwora, ale wpadł w jego grube jak lufy armatnie ręce.

Pałka ześliznęła mu się po grzbiecie i poczuł, jak obejmują go ręce olbrzymia, a kościste palce starają się sięgnąć mu do gardła. Jego impet zwałił jednak

olbrzyna z nóg. Razem tarzali się po piaszczystym gruncie; olbrzym wgryzł się swymi wyszczerbionymi szczękami w pierś Jima i starał się złamać mu grzbiet lub skręcić kark, a Jim tymczasem bezradnie wywijał ogonem.

Przetoczyli się przez sterczącą włócznię i złamali ją na pół. Olbrzym schwycił Jima za kark i, niby wielkiemu kurczęciu, zaczął go skręcać powolnym ruchem.

Dzika rozpacz ogarnęła Jima. Smrgol przestrzegał go, by nigdy nie pozwolił olbrzymowi pochwycić się. Zlekceważył tę przestrożę i teraz był zgubiony, wszyscy byli zgubieni. Trzymaj się z daleka, ostrzegał Smrgol, miej głowę na karku...

Nagle ożyła w nim szalona nadzieja. Głowę miał wykręconą do tyłu i nie widział nic poza szarzejącą mgłą. Przestał mocować się z olbrzymem i zaczął macać przednimi łapami. Przez chwilę długą jak wieczność nie znalazł nic, aż nagle potrącił prawą łapą coś twardego, a metaliczny odblask błysnął mu przed oczami. Uchwycił wymacany przedmiot i ścisnął go tak mocno, jak tylko pozwalały mu jego niezdarne pazury...

I każdą pozostałą w nim odrobiną siły głęboko wbił złamane drzewce włóczni w ciało olbrzyna, który przycisnął go już do ziemi.

Wielkie cielsko szarpnęło się i zadrżało. Tuż koło ucha Jima buchnęło z głupawej gęby potwora dzikie wycie. Olbrzym puścił go, zachwiał się i zatoczył, górując nad Jimem tak, jak kamienna twierdza górowała nad nimi oboma.

Potwór znowu ryknął, potknął się jak pijany i zaczął gmerać przy sterczącym z jego ciała ułamku włóczni. Wyrывая ostrze zawył raz jeszcze i pochwycił drzewce zębami, pochylając jednocześnie głowę jak ranne zwierzę. Rozłupał włócznię na drzazgi. Potem zawył ostatni raz i padł na kolana. Wolno, niczym kiepski aktor ze starego filmu, przetoczył się na bok i wyciągnął nogi w przedśmiertnych drgawkach. Z gardła dobył mu się bulgot i czarna krew trysnęła z ust. Legł bez ruchu.

Jim niepewnie podniósł się i rozejrzał dokoła.

Mgły ustępowały z grobli, a mdłe światło późnego popołudnia padało na pokryte głazami zbocze, na małą plaśń poniżej i na górującą twierdzę. W czerwonym świetle Jim zobaczył, że larwa jest martwa, dosłownie przecięta na pół. Aragh leżał z obandażowaną łapą i szczyrzył kły. Brian w zakrwawionej, pociętej zbroi ciężko wspierał się na mieczu. O kilka stóp dalej stał Carolinus. Dafydd leżał w poszarpanej koszuli, a jego pierś przykrywał nieruchomy kształt martwej harpii. Danielle stała nad nim, ciągle trzymając napięty łuk. Gdy Jim popatrzył na nią, wolno opuściła oręż, odłożyła na bok i przypadła na Walińczyka.

Nieco dalej Secoh pochylał zakrwawioną szyję i głowę nad nieruchomymi, szczepionymi ciałami Smrgola i Bryagha. Błotny smok spojrzał na Jima nieprzytomnym wzrokiem. Jim z trudem podszedł do niego.

Popatrzył na dwa ogromne smoki i dostrzegł, że Smrgol ma szczęki zaciśnięte na gardle Bryagha. Kark młodego smoka był złamany.

–Smrgol... – wycharczał Jim.

–Nie... – dyszał Secoh. – Niedobrze! On nie żyje... Doprowadziłem tu tamtego. Zacisnął mu kły na... i już do końca nie puścił... – Błotny smok wybuchnął płaczem i pochylił głowę.

–Wszyscy dzielnie walczyli – zachrypiał dziwny, skrzypiący głos.

Jim odwrócił się i zobaczył rycerza stojącego przy jego barku. Pod zmierzwionymi włosami, które ukazały się spod zdjętego hełmu, jaśniała twarz Briana, blada jak morska piana. Rysy wyostrzyły się jak u starca. Rycerz chwiał się na nogach.

–Zwyciężyliśmy – rzekł Carolinus. – Ale za jaką cenę!

Zwrócił się do Danielle. Jim i rycerz odwrócili się wraz z nim. Była wciąż obok Dafyddda i zdążyła już zrzucić z niego ciało martwej harpii. W rękę trzymała hełm Briana wypełniony wodą zaczerpniętą obok grobli i łagodnie przemywała krwawą smugę ciągnącą się od lewego obojczyka do śródźebra.

Jim, czarodziej i rycerz stanęli nad tą dwójką. Obnażone ciało Dafyddda wyglądało dwakroć masywniej niż w koszuli: pierś godna dłuta rzeźbiarza, szerokie kościste barki, potężne węzły mięśni na brzuchu. Całość jak ulepiony w glinie model posągu. Ale ciało było bezsilne i nieruchome.

–Ty naprawdę – powiedział Dafydd do Danielle tak cicho, że gdyby nie panujący wokół zupełny spokój, trzech obserwatorów tej sceny nie zrozumieliby go – chcesz, by spełniło się niemożliwe. Mag mówił, że ich ukąszenie jest śmiertelne i ja czuję teraz tę śmierć w sobie.

–Nie! – krzyknęła Danielle nadal przemywając poszarpaną ranę zadaną zębami harpii.

–Ale tak jest – upierał się Dafydd – choć nie chcę, żeby tak było, bo kocham cię. Na każdego łuczника przychodzi jednak kiedyś ostatni dzień. Zawsze o tym wiedziałem i nie chcę więcej.

–Nie jesteś już zwyczajnym łucznikiem. – Głos Danielle był mocny i opanowany. – Pasowałam cię na rycerza i jesteś rycerzem. A ja nie chcę, żebyś odszedł. Nie pozwolę ci odejść!

Z siłą, która zaskoczyła Jima – choć Brian mówił mu, że Danielle naciąga stufuntowy łuk – uniosła Dafyddda, położyła jego głowę na swym ramieniu i przyciągnęła go do siebie.

–Mam ciebie – powiedziała i chociaż jej oczy pozostały suche, a głos brzmiał spokojnie, prawie beznamiętnie, słowa te do głębi wstrząsnęły Jimem – i nigdy nie oddam cię nikomu, nawet śmierci, dopóki ty sam nie zechcesz mnie opuścić. Musisz mi powiedzieć, że chcesz mnie porzucić, gdyż w przeciwnym razie nie wolno ci umrzeć.

Dafydd uśmiechnął się blado.

–Naprawdę... – rzekł i w chwilę później Jim gotów był uwierzyć, że to z trudem wyszeptane słowo było ostatnim słowem Dafyddda.

Łucznik jednak przemówił znowu.



–Więc naprawdę chcesz, żebym żył. Skoro tak, to śmierć musi zabrać mnie wbrew mej woli. Zważ jednak, że czegoś takiego ani ona, ani nikt inny nie zdoła uczynić, gdyż nikt mnie nigdy do niczego nie zmusił i nie zmusi.

Zaniknął oczy, schylił nieco głowę, by ułożyć ją na piersi Danielle i nic nie mówił. Ale jego pierś zaczęła wznosić się i opadać miarowym ruchem.

–Będzie żył – rzekł Carolinus do Danielle. – Przychodząc tu nie pytał o żadną zapłatę, a teraz, gdy pomógł nam zwyciężyć, nawet Wydział Kontroli nie zażąda zapłaty za jego uzdrowienie.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała czarodziejowi, ale pochyliła głowę nad wolno poruszającą się pierśią Dafyddda i usiadła trzymając go tak, jakby gotowa była siedzieć przez wieczność, jeśli zajdzie potrzeba. Jim, Brian i czarodziej odwrócili się do Aragha i Secoha, który zwalczył już swój wybuch rozpaczony i siedział spokojnie przy ciele Smrgola.

–Zwyciężyliśmy – rzekł Carolinus. – Nigdy już za naszego życia miejsce to nie zgromadzi dość sił, by wystąpić przeciw światu.

Zwrócił się do Jima.

–A teraz, Jamesie – powiedział – chcesz pewnie do domu. Droga wolna.

–Świetnie – rzekł Jim.

–Do domu? – spytał Brian. – Teraz?

–Teraz – stwierdził Carolinus. – Od początku chciał wrócić do siebie, szlachetny rycerzu. Nie bój się. Smok, który jest właścicielem obecnego ciała sir Jamesa, będzie wszystko pamiętał i zostanie twoim przyjacielem.

–Bać się? – Brian w jakiś sposób zdołał wykrzesać odrobinę energii i wigoru. – Nie boję się żadnego smoka, do diabła! To tylko... Będzie mi ciebie brak, Jamesie!

Jim niespodziewanie ujrzał, że oczy rycerza wypełniły się łzami. Zapomniał już, czego uczył się o średniowiecznej Europie; ludzie wówczas równie swobodnie płakali, jak wybuchali śmiechem. Jego dwudziestowieczna osobowość poczuła się mocno zażenowana na taki widok.

–No wiesz... – wymamrotał.

–Wiem, wiem, Jamesie – rzekł Brian osuszając oczy wolnym końcem kokardy Geronde de Chaney. – Co być musi, to musi! W każdym razie przez pamięć tego dzielnego wojownika – wskazał martwego Smrgola – mam zamiar sprawdzić, co da się zrobić w sprawie współżycia ludzi i smoków. Będę więc często widywał się ze smokiem, w którego ciele teraz jesteś, i w jakiś sposób będziesz przy mnie mimo wszystko.

–On był wspaniały! – wybuchnął Secoh, spoglądając na leżące u jego stóp ciało starego smoka. – On uczynił mnie silnym, po raz pierwszy w moim życiu. Zrobię wszystko, czego on chciał!

–Bądź więc ze mną jako gwarancja, że smoki również skończą z tymi walkami – rzekł Brian. – Cóż, Jamesie. Myślę, że się zegnamy, więc...

–Angie! – wykrzyknął Jim, oprzytomniawszy nagle. – Och, wybacz mi, Brianie. Ale teraz przypomniałem sobie. Muszę wydostać ją z twierdzy. Odwrócił się błyskawicznie.

–Zaczekaj – powiedział Carolinus. Czarodziej stanął twarzą do ruin i podniósł różdżkę.

–Uwolnijcie! – krzyknął. – Zostaliście pokonani. Uwolnijcie! Czekali.

Nic nie nastąpiło.

Rozdział 22

Carolinus raz jeszcze uderzył swą różdżką w ziemię.

–Uwolnijcie! – krzyknął.

Raz jeszcze czekali. Sekundy przeciągały się w minuty.

–Na Moce! – Nagle wydało się, że nowe siły wstąpiły w S. Carolinusa.

Krzyczał pełnym głosem i wyglądał, jakby urósł o sześć cali. – Czy sobie kpicie?

Wzywam Wydział Kontroli!

Nastąpiło coś, czego Jim nigdy nie miał zapomnieć. Pamiętne było nie tyle samo zjawisko, co sposób, w jaki przebiegało. Bez żadnego ostrzeżenia przemówiła cała ziemia, morze przemówiło, niebo przemówiło! Wszystko krzyczało tym samym basowym głosem, który już przedtem w obecności Jima z powietrza odpowiadał Carolinusowi. Tym razem jednak głos nie usprawiedliwiał się i nie brzmiał zabawnie.

–UWOLNIJCIE! – żądał głos.

Prawie w tej samej chwili coś ciemnego wychynęło z czeluści łukowato sklepionego wejścia do twierdzy. Sunęło wolno w dół stoku, unosząc się w powietrzu, ale dotarło do nich dużo szybciej, niż się spodziewali. Był to materac spleciony z jodłowych gałęzi, wciąż świeżych i pokrytych zielonymi igłami. Na materacu z zamkniętymi oczami leżała Angie.

Materac zbliżył się i opadł na ziemię u stóp Jima.

–Angie! – wykrzyknął pochylając się nad nią.

Przez sekundę targnęła nim straszliwa obawa, ale zaraz obaczył, że Angie oddycha spokojnie i miarowo, jak edvby tylko spała. Istotnie, po chwili otworzyła oczy i spojrzała na niego.

–Jim! – zawołała.

Wygramoliła się z materaca, zarzuciła ręce na jego pokryty łuską kark i zawisła na nim. Serce załomotało w piersi Jima. Wyrzuty sumienia wgrzyły się w niego niczym ostre piły; przecież nie myślał o niej przez kilka ostatnich dni, przecież nie zdołał wcześniej dotrzeć do niej...

–Angie... – zamruczał łagodnie i nagle coś go zastanowiło. – Angie, skąd wiedziałaś, że to ja, a nie jakiś inny smok?

Puściła go, popatrzyła na niego i zaśmiała się.

–Skąd wiedziałam, że to ty! – wykrzyknęła. – Jak mogłabym się pomylić, będąc cały czas w twojej głowie...

Nagle przerwała i popatrzyła na siebie.

–Och, jestem znowu w swoim własnym ciele! Tak jest lepiej. Tak jest dużo lepiej.

Głowa? Ciało? Umysł Jima wahał się, której z tych niewiarygodnych rzeczy uchwycić się i w końcu zadał pytanie brzmiące bardziej rozsądnie.

–Angie, w którym ciele byłaś?

–W twoim, oczywiście – rzekła. – To znaczy w twoim umyśle, który znajdował się w twoim ciele – w ciele Gorbasha, dokładniej mówiąc. O ile nie śniło mi się wszystko, to byłam. Nie, są przecież wszyscy, tak jak powinni być. Brian, Dafydd, Danielle i reszta.

–Ale jak mogłaś znaleźć się w moim umyśle? – wypytywał Jim.

–Ciemne Moce, czy też jak tam one się same nazywają, wtłoczyły mnie – powiedziała Angie. – Początkowo nie mogłam się w tym połapać. Tuż po tym, jak Bryagh przyniósł mnie tutaj, poczułam się śpiąca i położyłam się na tych jodłowych gałęziach. A potem uświadomiłam sobie, że jestem w twojej głowie; widziałam wszystko, co się dzieje. Mogłam czytać w twoich myślach i niemal mogłam rozmawiać z tobą. Na początku pomyślałam, że zdarzył się jakiś wypadek albo że Grottwold próbował nas ściągnąć z powrotem i pomylił nas ze sobą. Potem zrozumiałam.

–Zrozumiałaś?

–Ze Ciemne Moce wtłoczyły mnie tu.

–Ciemne Moce? – spytał Jim.

–Oczywiście – rzekła spokojnie Angie. – Miały nadzieję, że będę tak bardzo pragnęła pomocy, iż spróbuję popchnąć cię samego do tej Twierdzy Loathly. Kiedy na wpół usnęłam, słyszałam jakiś głos mówiący do Bryagha o tym, jak cię bez towarzyszy ściągnąć do mnie.

–Skąd oni to wiedzieli? – zmarszczył się Jim.

–Nie wiem skąd, ale wiedzieli – rzekła Angie. – Tak więc, gdy przypominałam to sobie, nietrudno było zgadnąć, kto wtłoczył mnie w twój umysł i po co. Jak mówiłam, nie mogłam naprawdę rozmawiać z tobą, ale mogłam sprawiać, że czuleś to, co ja czułam – taki rodzaj silnego nacisku moralnego. Pamiętasz, jak Brian mówił ci, że musi uzyskać zgodę Geronde, by zostać twoim towarzyszem i że najpierw powinniście pojechać do Zamku Malvern? Pamiętasz, jak miałeś nieczyste sumienie, gdy myślałeś o zawróceniu w stronę twierdzy? Cóż, to byłam ja w twoim umyśle. Obudziłam się tam po prostu i nie bardzo wiedziałam po co. Potem uderzyło mnie, że mógłbyś znaleźć się w straszliwym niebezpieczeństwie samotnie idąc do twierdzy. Carolinus nalegał przecież, żebyś znalazł najpierw kilku towarzyszy; pamiętałam też, co usłyszałam zasypiając. Skojarzyłam te fakty

i wstrzymałam twoje pragnienie wyruszenia mi na ratunek. Udało mi się i zacząłeś z większą ochotą myśleć o podróży do Zamku Malvern.

Zamilkła. Jim wpatrywał się w nią pełen zbyt wielu pytań, by móc na początek wybrać któreś z nich. Zauważył, że Angie urosła po przeniesieniu jej do tego innego świata. Poprzednio Danielle wydawała się mu wysoka, ale teraz zobaczył, że Angie jej dorównuje. Nic też nie straciła na urodzie mimo tego powiększenia. Przeciwnie...

Carolinus mlasnął językiem.

–Dwa umysły w jednym ciele – powiedział potrząsając głową. – Wielce niezwykle! Wielce! Nawet dla Ciemnych Mocy było to ryzykowne. Możliwe do zrobienia, to jasne, ale...

–Zaczekaj! – Jim odzyskał głos. – Angie, mówiłaś, że Gorbash też był w moim umyśle? Jak mógł tam być?

–Nie wiem jak, ale był – rzekła Angie. – Był już, kiedy tam się dostałam. Nie mogłam jednak porozumiewać się z nim. Jak gdyby uwięziłeś go.

Jim skrzywił się w duchu. Teraz, kiedy Angie stwierdziła, że tym innym umysłem w głębi świadomości był Gorbash, Jim mocniej poczuł obecność pierwotnego właściciela ciała. Gorbash bez wątpienia wrócił do swego ciała wtedy, kiedy w jaskini smoków – będąc sam na sam z Angie – Jim został znokautowany przez jakies niewidzialne siły. Jim wyraźnie poczuł, że Gorbash pragnie odzyskać kontrolę nad swym ciałem.

–Trzy! – krzyknął Carolinus, patrząc na Jima.

–Co to znaczy „uwięziłeś go”? – spytał Angie, czując wyrzuty sumienia z powodu smoka.

–Nie umiem tego opisać – rzekła Angie. – Jakby przygniatałeś jego umysł swoim; tak chyba najlepiej potrafię to wyjaśnić. Zrozum, ja tego nie widziałam, ja po prostu czułam, co się dzieje. On nie mógł nic uczynić, chyba że dałeś się ponieść emocjom.

–Trzy! – powtórzył Carolinus. – Trzy umysły w jednym ciele. To już przekracza wszelkie granice; Ciemne Moce czy też nie...! Wydziale Kontroli, rejestrujesz te wszystkie...

–To nie ich wina – rzekł głos z powietrza.

–Nie...?

–To nie wina Ciemnych Mocy, że Gorbash tam się znalazł – wyjaśnił Wydział Kontroli. – Umieściły umysł Angie razem z umysłem Jima, ale odpowiedzialność za obecność umysłu Gorbasha spada na kogoś spoza obszaru działania Wydziału.

–Aha. Bardzo powikłany przypadek – powiedział Carolinus.

–Zdecydowanie. Dziwny splot okoliczności. Więc jeśli zaczniesz wyjaśniać nieporozumienia tak szybko, jak to możliwe...

–Możecie na mnie liczyć – rzekł czarodziej. Odwrócił się do Angie i Jima. – Dobrze. Czego więc chcecie? Mam was wysłać z powrotem?

–Tak jest – powiedział Jim. – Ruszajmy.

–Świetnie – odparł Carolinus. Spojrzał na Angie. – A ty pragniesz wrócić? Zanim odpowiedziała, spojrzała na Jima.

–Czegokolwiek by Jim chciał, ja też chcę... – powiedziała. Jim patrzył na nią z zakłopotaniem.

–Cóż to za odpowiedź? – zapytał. – Co miałaś na myśli?

–To, co powiedziałam – rzekła Angie z odrobiną uporu w głosie. – Chcę tego, czego ty chcesz... to wszystko.

–Cóż, ja oczywiście chcę wrócić. Właśnie to powiedziałem.

Angie odwróciła od niego wzrok.

–Świetnie – zgodził się Carolinus. – Jeśli zechcielibyście oboje podejść do mnie...

–Zaczekaj! – zawołał Jim. – Zaczekaj chwilę!

Spojrzał w twarz Angie.

–Co to wszystko znaczy? – spytał. – Przecież zamierzamy wracać tak szybko, jak tylko możemy. Co innego możemy uczynić? Nie mam żadnego wyboru!

–Ależ macie możliwość wyboru – rzekł Carolinus z irytacją.

Jim spojrzał na czarodzieja. Starzec wyglądał na zmęczonego i niezadowolonego.

–Mówię, że macie możliwość wyboru! – powtórzył Carolinus. – Macie teraz wystarczający kredyt w Wydziale Kontroli. Możecie zużyć go na powrót, ale możecie też pozostać i zachować go na urządzenie sobie życia tutaj. Zależy to od was. Zdecydujcie się. To wszystko!

–Pozostań, James – rzekł szybko Brian. – Malencontri może być twoje, twoje i pani Angeli, tak jak obiecywaliśmy wcześniej. Nasze rodziny i posiadłości będą razem zbyt potężne dla wszystkich wrogów.

Aragh zawarczał. Kiedy Jim spojrzał na niego, wilk odwrócił wzrok. Jim ponownie popatrzył na Angie. Czuł się zupełnie zdezorientowany.

–Chodź – powiedziała Angie, kładąc dłoń na jego potężnym smoczym barku. – Przejdźmy się i porozmawiajmy chwilę.

Poprowadziła go w stronę skraju grobli. Stanęli nad wodą i Jim słyszał, jak drobne fale pluskają o brzeg. Spojrzał w dół na jej twarz.

–Czy naprawdę wiesz o wszystkim, co robiłem? – spytał.

Potaknęła.

–Wszystko, co robiłem i myślałem? – Jim przypomniał sobie kilka swoich myśli dotyczących Danielle.

–Uhu. I dlatego uważam, że powinieneś się zastanowić.

–Ale co ty sądzisz? – nalegał.

–Powiedziałam, co myślę. Chcę tego, czego ty chcesz. Ale czego ty chcesz?

–No, oczywiście chcę wrócić do cywilizacji. Myślę, że oboje chcemy tego. Znów nic nie powiedziała. Było to bardzo denerwujące. Popatrzyła na niego, jakby wtlaczała mu jego własne słowa z powrotem do gardła.

–Hm! – mruknął do siebie.

Śmieszne było, pomyślał, przypuszczać, że mógłby chcieć czegoś innego niż powrotu. W Riveroak czekała na niego praca, a wcześniej czy później znajdą jakieś mieszkanie – nie ma co ukrywać, że nie żaden pałac – ale przynajmniej pokój z kuchnią. Później, skoro oboje mają posady nauczycielskie, mogliby przeprowadzić się do lepszego lokum. Oprócz tego mieli tam wszystkie błogosławieństwa cywilizacji: lekarzy, dentystów, księgowych do obliczania ich długów, wakacje każdego lata...

Ponadto wszyscy ich przyjaciele tam żyli: Danny Cerdak i, no tak, Grot-twold... Tutaj była tylko garstka dziwnych osobników, których spotkał raptem tydzień temu: Brian i Aragh, Carolinus, Danielle, Dafydd i smoki...

–Do diabła z tym! – rzekł Jim.

Zawrócił, by zakomunikować swą decyzję Carolinusowi, a Angie dreptała obok niego. Teraz jednak nikt na nich nie patrzył. Wszyscy zwrócili się w stronę zbliżających się postaci Gilesa z Wrzosowisk i jego ludzi. Ta mała armia przedstawiała żałosny widok, wielu nosiło ślady ran, ale wszyscy pomimo zmęczenia wesoło opowiadali o ostatecznej rozprawie z ludźmi sir Hugh'a, którzy zmykali teraz w stronę Zamku Malencontri.

–A sir Hugh? – spytał Brian.

–Na nieszczęście żyje – powiedział Giles. – Chociaż chwiał się w siodle, gdy ostatnio go widziałem. Jeden z moich ludzi przeszył go strzałą, więc straci sporo krwi. Wróci z nim niespełna połowa jego ludzi.

–Więc możemy zdobyć Malencontri, zanim otrząśnie się po poniesionych stratach! – wykrzyknął Brian. Potem zrobił niepewną minę i zwrócił się do Jima. – To znaczy moglibyśmy, gdybyśmy mieli powód...

–Zostanę tutaj – odburknął Jim rycerzowi.

–Hura! – zawołał Brian, podrzucając i łapiąc swój hełm niczym nastolatek.

–Świetnie – powiedział z rozdrażnieniem Carolinus. – Jeżeli taka jest twoja decyzja. Pamiętaj, że gdy zużyjesz swój kredyt w Wydziale Kontroli na sprowadzenie twojego ciała tutaj, nie pozostanie ci go tyle, by zmienić decyzję i powrócić tam, skąd przybyłeś. Będziesz miał dość kredytu, by zacząć życie tutaj, ale nie dosyć, żeby wrócić.

–Rozumiem. Pewnie, że rozumiem to.

–W porządku. Odsuńcie się wszyscy! Będziemy zaraz mieli dwa ciała tu, gdzie teraz jest jedno. W porządku, zatem... – Carolinus podniósł swą laskę i uderzył jej końcem w ziemię... – oto jesteś!

I oto był.

Jim zmrużył oczy. Patrzył wprost na najeżoną ostrymi zębami paszczę smoka, znajdującą się nie dalej jak sześć cali od jego nosa. Przycisnął kurczowo poduszkę do swojego ciała, które ubrane było w coś w rodzaju szpitalnego szlafroka.

–Kim ty właściwie jesteś? – zapytała smocza paszcza.

Jim cofnął się o kilka kroków, częściowo po to, by nie ogłuchnąć, a częściowo po to, by lepiej się przyjrzeć.

–Gorbash? – spytał.

–Nie próbuj udawać, że mnie nie znasz – rzekł smok, którego Jim widział teraz w całej okazałości.

Gorbash był bardzo wielkim i dziko wyglądającym zwierzęciem. Większym i dzikszym, niż to sobie wyobrażał z wnętrza smoczego ciała.

–O... oczywiście, znam cię – rzekł Jim z zapartym tchem.

–Z całą pewnością znasz! I ja znam ciebie. Jakżeby inaczej. Kim ty jesteś, żeby zagarniać cudze ciało, robić z nim, co ci się podoba i traktować smoka, do którego to ciało należy, jak intruza? Cały czas używać ciała wedle swej woli, źle się z nim obchodzić, narażać je. Czy ktoś uwierzyłby, co ten Jerzy wyrabiał z moim ciałem w ciągu tych kilku zaledwie dni?

Gorbash zwrócił się do pozostałych stojących.

–Wyłączył mnie zupełnie. Wyobraźcie sobie, że w moim własnym ciele nie mogłem niczym ruszyć! Potem rzucił się w przepaść i zaczął tak łopotać skrzydłami, że z trudem zdołałem opanować sytuację i uratowałem nas od rozbicia się o skały. Następnie tak zdenerwował Maga, że chciał nas zamienić w żuka. Wreszcie tak zmęczył moje mięśnie długotrwałym lotem, że zesztyniały. Potem zamiast odpocząć, pływał – wyobraźcie sobie – pływał we wszelkich wodach na moczarach. Ani pomyślał wtedy o jadowitych żółwiach morskich i olbrzymich węzach morskich, które przychodzą tam z przyływem. A to zaledwie początek. Potem...

–Ja... ja nie znalazłem się w twoim ciele z własnej woli – zaprotestował Jim.

–Ale od chwili, gdy się tam znalazłeś, postępowałeś tak, jakby należało do ciebie! I nie przerywaj! – zaryczał Gorbash kontynuując swe oskarżenie. – I to był zaledwie początek. O mało nas nie pożarły piaszczomroki, pozwolił tamtemu Jerzemu prawie zabić nas rogiem i to wszystko bez kęsa strawy i napoju... eee, poza tym jednym razem w karczmie. Ale tego prawie nie można liczyć!

–O nieprawda, nieprawda! – krzyknął Secoh. – Słyszałem o twojej uczcie w karczmie. Mogłeś się opychać tam wspaniałym mięsem prawie bez odrobiny kości! I mnóstwo, mnóstwo wina! To nie James chciał do sucha opróżnić piwniczkę, wiesz o tym równie dobrze jak ja...

–C00000? Zamknij się, błotny smoku! – zagrzmiął Gorbash.

Secoh podskoczył gwałtownie i wylądował przed nosem Gorbasha, który cofnął się instynktownie.

–Nie zamknę się! – zaryczał Secoh. – Nie chcę się zamknąć! Jestem równie dobrym smokiem jak każdy inny, błotny czy nie.

–Błotny smoku, ostrzegam cię... – złowieszczo zaczął Gorbash, prężąc się i otwierając paszczę.

–Nie boję się ciebie! – krzyknął Secoh. – Już nigdy więcej. To twój stryjeczny dziadek nauczył mnie, że nie muszę giąć karku przed byle kim. Lepsza śmierć niż hańba! Właśnie pokonałem smoka równie wielkiego jak ty – zabiłem go! No, w każdym razie pomogłem twemu dziadkowi pokonać go, nie przestraszyłem się go i ciebie się nie boję. Ty niczego nie dokonałeś; wszystko, co uczyniłeś, zdarzyło się, gdyż James kierował twoim ciałem. A teraz będziesz się pysznił przez najbliższe sto lat i opowiadał, jak walczyłeś z olbrzymem! W porządku, opowiadaj, ale nie próbuj mnie poszturchiwać. Rozszarpie ci skrzydła!

I Secoh naprawdę wyszczerzył kły na większego smoka. Gorbash cofnął głowę i spojrzał niepewnie.

–Tak, i jeszcze jedno – rzekł Secoh. – Powinieneś się wstydzić! Gdyby żył twój stryjeczny dziadek, powiedziała by ci na pewno to samo. On był prawdziwym smokiem! Ty jesteś jedną z tych tłustych jaskiniowych jaszczurek. Ten oto James uczynił cię sławnym, a ty potrafisz się jedynie skarżyć...

–Ha! – powiedział Gorbash, ale w jego głosie nie było już takiej siły jak przed chwilą. – Nie muszę przejmować się tym, co myśli jakiś błotny smok. Wy wszyscy byliście wokół i widzieliście, co ten Jerzy robił z moim ciałem...

–I dobrze robił! – ostro przerwała mu Danielle. – Nie mówisz jak ktoś, kto mógłby zmierzyć się z olbrzymem.

–Ja...

–Gorbash – rzekł groźnie Aragh – nigdy nie miałeś za wiele rozumu...

–Aleja...

–Ja też nie będę stał i słuchał oszczerstw rzucanych na sir Jamesa – oznajmił Brian. Twarz rycerza znieruchomiła i pociemniała. – Jeszcze jedno słowo, smoku, przeciw temu dzielnemu rycerzowi, a po raz kolejny w dniu dzisiejszym znajdę robotę dla mego miecza poszczerbionego na ciele larwy.

–Pomogę ci – rzekł Secoh.

–Dość! – warknął Carolinus. – Smoki, rycerze, czy według was na świecie nie istnieje nic poza bijatyką, dla której najbliższy powód jest dobry? Dość już tego! Gorbash, jeszcze jedno słowo i w końcu zostaniesz żukiem.

Gorbash nagle załamał się. Ciężko usiadł na tylnych łapach i zaczął pociągać nosem.

–Nie musisz zaraz płakać – powiedziała Danielle nieco łagodniej. – Po prostu przestań opowiadać takie głupstwa.

–Ale wy nie wiecie! – załkał Gorbash swym zdławionym basem. – Nikt z was nie wie! Nikt z was nie rozumie, co to było. Oto liczę sobie moje diam... to



znaczy czyszczę swoje łuski, a za moment jestem w jakiejś małej komnacie czarodzieja i tamten Jerzy – nie wiem, czy to był Mag, czy nie – pochyła się nade mną. Zrywam się oczywiście, by go rozszarpać na strzępy, ale przebywam w ciele Jerzego, nie mam żadnych pazurów, nie za wiele zębów... Gromada innych Jerzych wpada i próbuje mnie złapać, ale ja uciekam i wybiegam z tego wielkiego zamku, w którym jestem, i jacyś inni Jerzy, odziani na niebiesko, z pałkami, zapędzają mnie w ciemny kąt. Jeden z nich uderza mnie w głowę swoją małą pałką. Moja głowa Jerzego nie może wytrzymać nawet tak lekkiego ciosu i następnie uświadamiam sobie, że wróciłem do mojego ciała, ale ten Jerzy zwany Jamesem już tam jest. Wciska mnie w najciaśniejszy kąt i nic nie mogę zrobić, chyba że jest bardzo zajęty i zapomina o mnie. Nie mogę nic uczynić nawet wtedy, gdy śpi, bo kiedy on idzie spać, ciało idzie spać i ja też muszę spać. Wtedy w karczmie, gdy wypiliśmy trochę wina, jedyny raz odzyskałem całkowitą swobodę i gdybym nie był taki głodny i spragniony...

–Gorbash – rzekł Carolinus. – Dość.

–Dość? No dobrze – powiedział Brian trochę ochryple w ciszy, jaka zapanowała. – Czy możesz coś uczynić? Minęła już noc i dzień od czasu, gdy ostatnio jedliśmy. Dzień od czasu, gdy piliśmy... i nie mamy nic poza wodą ze stawów.

–A poza tym – dodał dźwięczny głos Danielle, która wciąż siedziała na ziemi obok łuczniaka – Dafydd potrzebuje schronienia na noc i ciepła; jest w stanie wykluczającym jakąkolwiek podróż. Czy ten twój Wydział Kontroli nie może zrobić czegoś dla niego po tym, co on uczynił dla nich?

–Jego kredyt dotyczy innej sprawy – wyjaśnił Carolinus.

–Słuchaj – rzekł Jim – mówiłeś, że nawet po sprowadzeniu mojego ciała pozostanie mi jeszcze jakiś kredyt w Wydziale Kontroli. Użyjmy go, by dla wszystkich zdobyć jedzenie, picie i dach nad głową.

–Cóż, może... – odparł Carolinus żując swą brodę. – Jednakowoż Wydział Kontroli nie prowadzi jadłodajni z wyszynkiem. Ale mogę użyć części twego kredytu i przenieść wszystkich w miejsce, gdzie będzie jedzenie i picie.

–Ruszajmy – zaproponował Jim.

–Dobrze więc... – Carolinus podniósł laskę i raz jeszcze uderzył jej końcem w ziemię... – Zrobione!

Jim rozejrzał się. Nie byli już na grobli wśród trzęsawisk obok Twierdzy Lo-athly. Znowu znajdowali się przed zajazdem Dicka Karczmarza. Zachód słońca różowił się ponad wierzchołkami drzew i łagodny półmrok obejmował wszystko. Z otwartych drzwi karczmy dochodził zapach pieczonej wołowiny, od którego ślina napływała do ust.

–Witajcie, witajcie, podróżni! – wołał Dick krzątając się przed drzwiami.

–Witajcie w mojej karczmie, kimkolwiek jest...

Przerwał i szczęka mu opadła.

–Pomóżcie mi niebiosa! – wykrzyknął i zwrócił się do Briana. – Szlachetny rycerzu, szlachetny rycerzu, tylko znowu nie to! Nie stać mnie! Po prostu nie stać mnie, choćbyś nie wiem ile razy był zaręczony z naszą panią z zamku. Jestem tylko biednym karczmarzem i moja piwnica nie jest taka pełna. Widzę tu niejednego smoka, lecz dwa i co najmniej jednego więcej... e... – spojrzał niepewnie na Angie i na Jima, wciąż ubranego w szpitalny szlafrok. – Szlachcica i damę? – zakończył pytającym tonem i dodał pospiesznie. – Plus Mag, oczywiście. I cała reszta...

–Wiedz, Dicku – rzekł Brian surowo – że ten szlachcic to baron James Eckert of Riveroak, uwolniony już spod czaru, który zamknął go w smoczym ciele. Uśmiercił on olbrzyma z Twierdzy Loathly i pokonał Ciemne Moce, które zagrażały nam wszystkim. To jest jego dama, pani Angela. Tam zaś widzisz smoka, zwanego Gorbashem, w którego ciele przebywał sir James. Możesz nawet zobaczyć bliźnię po włóczni sir Hugh'a. Za nim stoi smok z błot i moczarów, zwany Secohem, który pomimo mizernej postury walczył dziś nadzwyczaj mężnie...

–Niewątpliwie, niewątpliwie! – Dick załamał ręce. – Zaczyna kompania, istotnie. Ale panie rycerzu, tym razem ktoś musi zapłacić. Ja... ja muszę zażądać.

–Niestety, Dicku – rzekł Brian – aczkolwiek wczuwam się w twoją sytuację i rozumiem kłopoty, jakimi grozi ci nasza obecność, to – jak wiesz – nie jestem bogaty. Niemniej jednak, podobnie jak uprzednio, ręczę honorem.

–Z całym szacunkiem, szlachetny rycerzu, ale za poręczenie nie kupię żadnego towaru! – wykrzyknął Dick. – Czy mogę nakarmić innych podróżnych poręczeniami, prócz których nic mi nie pozostanie po pobycie twoim i twoich przyjaciół? A skoro nie będę miał czym nakarmić podróżnych, to co stanie się ze mną i moją rodziną?

–Carolinus – zaproponował Jim – pozostało mi jeszcze trochę kredytu, prawda? Dlaczego nie użyć go na zapłacenie Dickowi?

–To nie jest kredyt tego rodzaju – gderliwie rzekł Carolinus. – Przerażająca jest czasem twoja ignorancja, James, chociażżeś wszak wykładowcą sztuk wyzwolonych.

–Karczmarzu – powiedziała Danielle, a głos jej zabrzmiał tak ostro, że wszyscy spojrzeli na nią – nie interesuje mnie, czy nakarmisz i ugościsz mnie i resztę, z jednym wyjątkiem. Dafydd potrzebuje ciepła i dobrego wyżywienia, więc ostrzegam cię uczciwie, że jeśli to będzie konieczne...

–Nie będzie konieczne – zawarczał Aragh. – Choć gdyby doszło do tego, angielski wilk byłby po twojej stronie. Ale nie ma żadnego problemu. Gorbasha stać, by zapłacić za wszystkich i on zapłaci!

–Ja...? – Gorbash jęknął, jakby otrzymał cios w żołądek od wyjątkowo potężnego olbrzyma. – Ja? Ja praktycznie nic nie mam, żadnego skarbu, o którym warto wspominać...

–Kłamiesz! – krzyknął Secoh. – Byłeś najbliższym krewnym wielkiego

smoka, twojego stryjecznego dziadka. Jako najbliższy krewny wiedziałeś, gdzie znajduje się jego skarb. A ponieważ był bardzo stary, przez całe swoje życie zebrał olbrzymie bogactwa. Masz dwa skarby, a niechby tylko jeden; jesteś bogatym smokiem!

–Aleja... – zaczął Gorbash.

–Gorbash – rzekł Aragh. – Byłem twoim przyjacielem, gdy nie miałeś nikogo poza stryjecznym dziadkiem. Dzisiaj straciłeś go. Masz wielki dług u Jamesa i pozostałych, którzy uczynili twoje życie bezpiecznym i opromienili cię cząstką swojej chwały. Żeby choć częściowo spłacić ten dług, możesz przynajmniej – przynajmniej powtarzam – przestać jęczeć nad wydatkami, które tu poniesiesz. Jeżeli tego nie zrobisz, nie będziesz dłużej moim przyjacielem; zostaniesz sam na świecie.

–Aragh... – zaczął Gorbash, ale wilk odwrócił się. – Poczekaj, Aragh! Ja oczywiście nie miałem na myśli... Oczywiście jestem szczęśliwy mogąc zaprosić wszystkich na... no, tego... na uroczystą ucztę dla uczczenia pamięci mojego stryjecznego dziadka, który uśmiercił olbrzyma z Baszty Gormely, a dziś w podeszłym wieku... No, co jeszcze powinienem powiedzieć? Karczmarzu, daj, co masz najlepszego, a nim odejdziemy, zapłacę ci złotem.

Oszołomiony Jim wprowadzony został do karczmy tuż za Danielle i Dafydem, którego ostrożnie przeniesiono do najlepszego łóża, otulono pościelą i pozostawiono pod opieką Danielle. W innym pokoju Jim zmagał się ze odzieżą przyniesionej z komory znajdującej się w po niczeniu karczmy i w końcu, dostatnio odziany, wyszedł u boku Angie na zewnątrz, gdzie zastał przygotowane do uczyty ławy i stoły, zastawione najróżniejszym dobrem.

Kiedy byli w środku, zachód słońca zgasł zupełnie i zapadła noc. Wielkie pochodnie umieszczone na wysokich stojakach buchały płomieniami i tworzyły przytulną, jasną grotę w ciemnościach nocy. Ogień trzaskał i sypał iskrami na długi stół, wzdłuż którego stały ławy. Stół ugiął się od pieczonych udźców, owoców, serów i wszelkich innych potraw, w końcu stołu zaś stała potężna beczka wina – już odszypuntowana – a przed nią szereg naczyń dla ludzi i smoków.

–Dobra robota! – zawołał z zachwytem Brian zza ich pleców; Jim i Angie odwrócili się i zobaczyli wychodzącego z karczmy rycerza, którego oczy utkwiły w stole. – Dick Karczmarz posłał wiadomość Geronde, że jesteśmy tutaj. Wkrótce dołączy do nas. Dick naprawdę dobrze to urządził, prawda, Jamesie?

Brian również przebrał się. Był bez zbroi i miał na sobie szkarłatną szatę, której Jim nigdy przedtem nie widział. Podejrzewał, że rycerz również skorzystał z dobrodziejstw komory Dicka. W szacie tej, przewiązanej w pasie szeroką, złotem przetykaną szarfą, ze sztyletem w złotej, inkrustowanej kością słoniową pochwie sir Brian Neville Smythe wyglądał imponująco. Widok ten przypomniał Jimowi jego własne niedoskonałości.

–Brianie... – zaczął niezręcznie. – Muszę ci coś powiedzieć. Widzisz,

ja nie mam wielkiego pojęcia o władaniu mieczem, tarczą, włócznią czy innym takim orężem. Nie jestem pewien, jak spiszę się w roli przyjaciela teraz, kiedy tu zostaję. Nie uczyłem się nawet takich spraw, które dla ciebie są oczywiste. Nie dysponuję już smoczym ciałem i Jego potężnymi mięśniami... Brian roześmiał się.

–A zatem, Jamesie – rzekł – będzie to dla mnie naprawdę wielka przyjemność uczyć cię szlachetnej sztuki władania bronią i innych rzeczy, które przystają tak dostojnemu szlachcicowi. A co do mięśni, dziwne byłoby, gdyby ktoś tak rosły i krzepki nie zdołał stać się człowiekiem czynu.

–Rosły...? – Kiedy Jim powtórzył to słowo, uświadomił sobie, że Brian napomynał o tym od jakiegoś czasu, a dokładniej od chwili, kiedy Jim wrócił do swego ciała.

Nie zwracał jednak na to uwagi aż do tego momentu. Zauważył, jak bardzo Angie urosła w tym świecie. Ale gdy porównał się teraz z Brianem, ujrzał, że rycerz wygląda przy nim jak cherlawy młodzieniaszek.

Zrozumiał wszystko.

Całkiem zapomniał o kilku sprawach; średniowieczne zbroje, które oglądał w muzeach, plany średniowiecznych łodzi, budowle, meble... W Europie wieków średnich przeciętny wzrost kobiety i mężczyzny był znacznie mniejszy niż w jego rodzinnym dwudziestym stuleciu. W swojej epoce Jim zaledwie należał do przeciętnie wysokich. Tutaj był olbrzymem.

Otworzył usta, żeby to wyjaśnić, ale zanim zdołał coś powiedzieć, poczuł, że Angie ścisnęła go za rękę. Za Brianem ukazały się następne osoby wychodzące z karczmy: Danielle, Giles z Wrzosowisk, a tuż za nim Carolinus. Dwaj synowie Dicka Karczmarza nieśli drewniane tace i puchary. Zwaliste kształty Gorbasha i Secoha również wynurzyły się z ciemności panujących poza kręgiem światła, a za chwilę wśliznął się Aragh. Na złamanej łapie miał założony świeży opatrunek.

–Karczmarz mówi, że wszystko gotowe – zawarczał.

–Bogu niech będą dzięki! – stwierdził Giles. Ogorzała twarz wodza banitów pofalowała się w rzadko goszczącym na niej uśmiechu. – Przysięgam, że wszyscy już prawie umieraliśmy z głodu i pragnienia.

–Amen! – rzekł Brian i odrobinę kulejąc powiódł wszystkich ku ławom i stołom. – Zajmujcie miejsca, przyjaciele, i radujmy się wszyscy, albowiem w życiu spotyka nas tyle cierpień, że nie powinno brakować ochoty do godziwej uciechy, na którą sobie rzetelnie zasłużyliśmy.

This file was created with BookDesigner program  
bookdesigner@the-ebook.org  
2010-10-29

*LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/*